

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy

DZIAŁ CZASOPISM

Gi 630

Naród Którego Hasłem Walka o Niepodległość Polski.

Red. Leon Fuk.

Lwów

R.1905-1906



Г.і.630/

1905-1906

Народ

1905/6.

Prenumerata wynosi:

rocznie 4 K.
półrocznie 2 „
kwartalnie 1 „

Numer pojedynczy
8 groszy.

Redakcja i Administracja
ul. Ossolińskich 1. 9.

NARÓD

którego hasłem:

„walka o niepodległość Polski“.

Ogłoszenia: wiersz petitowy
czterospaltowy lub jego
miejsce 20 groszy.

Listów nieopłaconych Re-
dakcja nie przyjmuje i re-
kopisów nie zwraca.

Reklamacye wolne są od
opłaty pocztowej.

WYCHODZI W PIĄTEK WIECZOREM.

NACZELNY REDAKTOR: LEON FUK.

Oddajcie pokłon!...

Poległym w Królestwie
w dniach majowych.

Oddajcie pokłon!... na ofiarnym stosie
Naród znów złożył ofiarę,

Skonfiskowano!

Oddajcie pokłon!... trumien szereg długi
Na wieczne idzie posłanie —
W nich śpią nie wielcy — lecz nie carskie sługi!
Tam śpią wolności hetmani!
Pod ziemią matka, pod tą polską ziemią
Spoczną, aż grób się zakwieci —
Ciała ich tylko w tym grobie zadrzemią,
Duch między naród poleci!
A tam, w narodzie, z krzemienia jest serce —
Duch stał o nie uderzy —
Zapalna iskra padnie w przeniewierce,
Ogień się w okół rozszerzy!

Oddajcie pokłon!... wy, którzy sądzicie,
Że przed caratem bić czołem
To nie jest zbrodnią, że na czynów życie
Trzeba iść z Bożym aniołem —

Skonfiskowano!

Oddajcie pokłon!... bo ci, którzy legli,
Życie idei oddali,
Honor narodu przed haubą ustrzegli
Ojczyznę, wolność kochali!

Skonfiskowano!

Nas nie złamiecie! — za nasze ofiary
Zemsty głosimy przysięgę!...
Krwawą koszulę ojców przybieramy,
Stryczek kładziemy na szyję,
Umrzeć pójdziemy, ale nie skonamy —
Aż chwila zemsty wybije!

We Lwowie, 10. maja 1905.

JÓZEF BACZYŃSKI.

Rzeź warszawska.

Znów wymierzone w bezbronny tłum lufy
karabinów — znów trupy.

Nie o wiele zmieniły się czasy od najazdów
potwornych Hunów i dzicy tatarskiej. Jeśli jest
jaka różnica — to w sposobie mordowania ludzi.
Dawniej pięścią powalano słabszego i kłękawszy
na piersiach, nożem rżnięto gardło lub rozpru-

wano brzuch, — dzisiaj to raźniej idzie! Jedno
pociągnięcie za stalowy języczek i kilka przecho-
dów martwych na ziemi. Dawniej za włosy wiąza-
no kobiety do siodła i zostawiano po drodze ka-
wałkami ich ciała, dziś spędza się je w gromadę
i kłuje, gdzie się da, bagnietami, lub kolbą mia-
dzy głowy.

Skonfiskowano!

— przypatrzmyż się, jak wygląda ta
część społeczeństwa, której to bezpośrednio nie
dotyka, która kordonami jak silnie ściśniętym
bandażem oddzielona jest od środowiska naro-
dowego życia i do której krew z szaleńcem dziś
tętniącego serca dawnej Polski, z Warszawy, nie
dopływa. Jak zachowuje się sławna nasza Galicya?
Oto jest jak uschnięta ręka, co się ani ruszyć już,
ani uczuć bólu, wstrząsającego cierpiącym ciałem
nie może, jak ręka, która powinna odbić cios
mordercy i napastnika — lecz od bezbronnej ofi-
ary odrzucić. Ta ręka ani drgnęła, bo nic niema
w niej — czucia!

Ani jeden silny protest nie prze-
biegł dreszczem oburzenia po kraju
naszym na wieść o podłym znęcaniu
się nad spokojną ludnością warsza-
wską w dniu 1. maja. Bo cóż za znaczenie
posiada ten stek dziennikarskich sprawozdań, zmo-
czonych przy końcu krokodylami łzami urzęd-
owej etyki? Jaką wartość ma ten sztuczny okrzyk
grozy, po którym zerwał się grad kamieni na
kierowników ruchu rewolucyjnego w Królestwie?
Komuż przemówią do duszy te ustawiczne na-
rzekania na ucisk rosyjskiego rządu, kiedy po
każdym krwawym starciu, które przecież jest ko-
nieczeniem następstwem chęci wydobycia się z pod
tego ucisku, wznoszą się okrzyki, wzywające do
spokoju, do uległości, do zgody z losem i zbro-
dniażkami!

I rzeczywiście spokój i cisza — o jak bło-
ga, ale i jak podła! — obejmuje rozkosznymi
ramionami nasz obiecany kraj — Galicyę. Wśród
ciszy tej pękają tylko z hałasem słowne bomby
wiernopoddanego patriotyzmu, którym już nikt
nie wierzy i na które nikt już uwagi nie zwraca.
Dziś wierzy się tylko czynom i ofia-
rom!

Zbyt silny i zbyt prawdziwy jęk wydarł się
w dniu 1. maja nekanej Warszawie, aby w pier-
siach galicyjskiego obywatela, podszytego strachem
i przesiąkniętego kłamstwem i obłudą, mógł
znaleźć żywy i głośny oddźwięk. Tu echo od-
zwie się tylko na okrzyk: „służmy najjaśniejszym!”
— to też posłuch zyskują odrazu i stają na czele
największych stronnictw ludzie, którzy po tamtej
stronie kordonu zniesławieni, tam, na ziemi cię-
żkich walk okryci pogardą, wypchnięci poza próg
każdego uczciwego domu, na naszej niwie wy-
rastają do rozmiarów półbogów, dosiegają go-
dności przodków społeczeństwa.

Biedna Galicyo! Takim to ludziom i stron-
nictwom, które zasadę bierności i uległej pokory
rządom zaborczym wszczepiają do idei odro-
dzenia narodowego i tą słodką trucizną karmią syny
polskiej Macierzy, którzy w nadętą powagę i w
głupią trzeźwość ubierają tchórzostwo i samo-
lubstwo swoje, takim to ludziom zawdzięczasz to
poniżające cię w oczach całego świata znieczu-
lenie na ból i rozpacz walczącego po drugiej
stronie kordonu narodu.

I nie dziw, że na głos wołający o pomoc
i pomstę za krzywdy najświeższe i najboleśniej-
sze, odpowiadają jedynie ci, którzy dążą do

wprost przeciwnych celów, aniżeli Polacy dążyć
powinni, ci, dla których wskrzeszenie Polski jest
sprawą podrzędnej wartości, którzy jeśli o jej
niepodległość walczą, to tylko przypadkowo, dla-
tego, że my i oni mamy na razie, chwilowo
wspólnego wroga: carat.

Wstyd nam, że ci ludzie, prawie że nam
obcy, chwycili w swe dłonie ster tak wielkiej i
drogiej nam sprawy, że się o naszą dolę dobi-
ją ofiarą własnej krwi, kiedy my w czas ten
niebezpieczny pochowaliśmy się do ciemnych
piwnic i przez zakratowane okienko wyglądamy
chwili, w której nam wolność sama z niebios
spadnie.

Skonfiskowano!

Teraz już widać ten znamieny ruch, który
wyrównując wszelkie błahé różnice klasowe, roz-
dzieli naród na dwie tylko klasy: zdrajców i bo-
haterów. Teraz już z miejsca „złotego środka”
skąd było można wyciągać pojednawczą dłoń do
patriotyzmu z jednej, a do despotyzmu z dru-
giej strony, poczynają tchórze za śladem swych
dziennikarskich chorągwi zmykać w miejsce nieco
bezpieczniejsze — pod osłonę policyjnych ba-
gnietów. Ale tam pod temi opiekuńczymi skrzy-
dlami trzeba być cicho, cicho i jeszcze raz cicho!
To też ci, którzy w czas pokojowy donośnym
krzykiem narzucali się społeczeństwu na prze-
wodników, którzy chcieli mieć nieograniczoną nad
niem władzę, dziś, kiedy pierwsze strzały padły,
kiedy trysnęły pierwsze strumienie krwi, kiedy
zrobiło się trochę gorąco, natychmiast przycupnęli
milczkiem do ziemi, zrzucając z siebie całą za-
dalsze wypadki odpowiedzialność i oddając kie-
rownictwo ruchu, który według tych zaprzęzców
jest nierozsądkiem i niegodziwością — w ręce
najmniej stosowne — w ręce socjalnej partii
demokratycznej.

Z takich to powodów nikczemna rzeź war-
szawska nie znalazła w Galicyi żadnego oddzwie-
ku, a te trupy, które padły walei Jerozolimskiej,
przeszyte kulą, niosące śmierć szlachetnym i go-
dnym najwyższych uwielbień dążeniom, docze-
kały się u nas za swoje męczeństwo — potępie-
nia. „Czciście? A poco? Wszak to ludzie nie z
naszej — partii! Wszak to nie staniczy, nie
narodowi demokraci, ale — socjaliści! Wszak
oni wyzionęli ducha nie 19. maja, w rocznicę za-
wiązania konfederacji Targowickiej, ale w dniu
1. maja i nie pod kościołem, ale na środku ulicy!
Hańba im i potępienie!” To słowa, które dla nich
mają wszechpolacy i wszechklerykali.

Dla nas są oni święci! Dla nas to obojętne,
jakich oni byli przekonani, do jakich należeli obo-
zów, dość, że byli Polakami, że piersi
swoje nadstawiali pod cios brutalnej
przemocy. Oni zastąpią nam wszelkie progra-
my i dogmata, one — te zimne szczątki ludzkie
— są teraz naszą najdroższą relikwią narodową,
my kładziemy te krwawe zwłoki na ołtarz, przed
którym czoła nasze pokłon biją. Oni są teraz
przewodnikami naszymi, w których ślady prędzej
czy później wszyscy wstąpimy, bo wstąpić mu-
simy!

Można boleć nad tem, że te ofiary nie oku-
piły większych korzyści, można pragnąć, aby na
przyszłość trupy te padały na drodze celowo
wytyczonego działania, ale twierdzić, że
strumienie krwi spłynęły zupełnie bezpotrzebnie,
że narażać się na blizny i śmierć dla idei nie-
podległości jest nierozsądkiem, szerzyć zasadę,
że wygodniej jest dla przewleczenia niewolnicze-

go życia o lat kilka, przyjmować obelgi i baty bez szemrania, niż tym upokorzeniem ze wszystkich sił się sprzeciwić — to podłość!

Nikt nie zaprzeczy, że naszym nieprzedawnionym nigdy obowiązkiem jest odebrać skradzioną ziemię i wydarte prawa. Ale też i tych praw nie można niczem innym odzyskać, jak tylko siłą, wynikającą z poświęcenia. Przypomnijmy sobie, w jaki sposób powstała ta straszliwa potęga, która nas teraz gniecie. Było bagno; odludne, cuchnące, przepaściste bagno. Ale oto zjawił się duch krnąbrny i zuchwały, który na tym trzęsawisku chciał zbudować swoją granitową, wieki przeżywającą sławę. To Piotr wielki. I począł w błotniste przepaści spędzać nahałami tyśiączne rzesze, które grzęzły w tej kałuży i z kości swych utworzyły twardą, niewzruszoną opokę. Na tej to podwalinie stanęła dumna stolica państwa, na którego imię dreszcz przepływa po skórze polskiej — Petersburg.

Nasz kraj jest dzisiaj takim samym bagnem. Aby na niem wnieść przyszyły gmach wolności nieuniknionem jest tę otchłań błotnistą zapelnąć trupami ofiar, które schodząc w milczeniu śmierci do ciemnego trzęsawiska, podniosą pokładem swych kości dno jego do tych wyżyn, na których świat zatyka hołdowniczą chorągiew z napisem „niepodległość“. Setki, tysiące, pokolenia całe zginąć muszą krwawą śmiercią. Tylko że nas do tego wspólnego grobu spędzać będzie nie nahał, ale ta myśl, że przygotowujemy dzieciom naszym lepszą dolę, że plonem naszych bólów będzie szczęście!

O cześć Wam, wy cisi bohaterowie, wy skromni, a tak wielcy poprzednicy nasi, powaleńi zbrodniczą kulą w proch warszawskich ulic. Przed Waszą biedną trumną my padamy smutni, lecz pełni otuchy, na kolana z tą niemą przysięgą, która zrozumiała jest tylko dla dusz szlachetnych i wolnych.

Po waszej stracie i po Waszych łzach przedśmiertnych my przywdziewamy żałobę, która dotąd trwać będzie, aż na nas, leżących pod stopami potworów, zawoła krwawą naszą męką wezwana wolność: „wstańcie!“

Leon Fuk.

Do rzesz robotniczych.

— A jednak się porusza!...

Kiedy przed laty kilkunastu w tej prowincjonalnej stolicy wystrzelił pierwszy kwiat socjalizmu, kiedy ukazały się pierwsze numera „Robotnika“, powstał ogólny szmer oburzenia i to nie u o. k. patryotów, ale w kołach najskrajniejszych.

Powodem był artykuł „Robotnika“, który głosił, że „robotnik nie zna narodowości“ i grubiańskie wypowiedzianie się niektórych mowców partyjnych o Polsce i Polakach — a cynicznie, wprost herostratowe słowa byłego posła z V. kurii, rzucone na podwórze ratuszowem, „że socjaliści demokracji żadnej Polski nie znają i o żadne jej granice walczyć nie będą“ lub, że „Polska to mierzadnica, która się trzy razy oddawała“ nie mogły już chyba obudzić sympatii.

Na bluźnierstwa te reagował naród cały, poruszyły się wszystkie jego odłamy, a wynikiem tego była długa walka bratnia, która tylko wrogom przynosiła korzyści.

Zapaleńcy idei międzynarodowej starali się usunąć patryotyzm na drugi plan — a według słów, pisanych z Paryża przez Dr. Hermana Lib.... do Dr. Ol. wówczas studentów w Stryju, uważało go „za wąską ścieżkę prowadzącą do obszerniejszego patryotyzmu wszechświata“. Wobec podobnych hasel nie dziw, że powstał między nami przedział, że szliśmy przeciw sobie wbrew inte-

resom własnym, zataczając główny cel: walkę z rządami o prawa obywatelskie i o prawo człowieka.

Ostatecznie jednak pod wpływem świeżych ludzi, którzy weszli w szeregi socjalistów z naszego obozu, zmieniły się prądy w partyi i dziś nikt nie może jej zarzucić tego, co dawniej, że jest ona „beznarodową“, owszem przyznać musi, że czerwona jej barwa nie przeszkadza wcale być jej „polską partią socjalistyczną“.

A więc się porusza!

Dla nas to jednak za mało — od robotników naszych żądamy takiej siły, patryotyzmu jaką okazuje robotnik warszawski, żądamy, ażeby wszędzie i na każdym kroku nie tylko czuł się, ale był Polakiem, kością z kości tego narodu, który rozszarpany, dziś rwie się do życia.

I pomimo nawoływań kilku demagogów, pragnących koniecznie proletaryat polski uczynić tylko małą gminą międzynarodowego morza proletaryatu, idea odrębności narodowej u nas zdobywa coraz szersze tereny, coraz goręcej biją tam serca, coraz żywiej.

Oslabić dziś tego ognia nie potrafi nikt, podsycać go nie potrzeba, sam z siebie on wybuchnie wielkim płomieniem narodowej rewolucji — potrzeba jednak jednego, aby młodzież ucząca się pozbyła się swojego arystokratyzmu, aby robotnikowi podała bratnią a nie szlachecką dłoń, aby to braterstwo jej z ludem roboczym nie było jałmużną, daną z łaski, ale drgnieniem duszy, w której zrodziła się prawdziwa miłość.

My dawno zrezygnowaliśmy z jakiejś urojonej wyższości, — wobec narodów wolnych Polacy wszyscy są proletaryuszami — niechże więc proletaryusz ci, wszystkich ziem polskich łączą się w jedno ciało, niechaj stają pod naszym sztandarem pracy i walki, a zwycięstwo nad wrogami przyniesie wolność Ojczyźnie, narodowi chwale, a masom pracującym zapewni równe z innymi stanami prawa obywatelskie i byt materialny.

Nie za wrogów nas zatem miejcie serdeczni towarzysze, nie za ludzi, pragnących błyszczenia, za braci i przyjaciół nas uważajcie, ukochajcie nas sercem, a wtenczas, złączeni razem, powie my tym, którzy płaszczać się u stóp tronów, odmawiają ludowi patryotyzmu: patrzcie! wyście zwątpili — a jednak wolą ludu Ojczyzna się porusza!

Józef Baczyński.

Dwa pokolenia.

Dwie przeciwne, pędzące z łomotem przeciw sobie fale — to dwa pokolenia w dziejach. Jedno z nich musi pochłonąć drugie — musi przejść po niem zwyciężką stopą, aby zgasić na widnokręgu ludzkości czy też społeczeństwa dawne światła, a rozniecić nowe — własne zorze.

Ten los spotkał już niejedno pokolenie.

Na gruzach złotej wolności szlachty saskiej zatknęto zwyciężki swój sztandar grono młodych patryotów, twórców konst. 3. Maja, a strzyżony cyprys klasycyzmu runął pod surowym cięciem wschodzącego romantyzmu.

Dziś znowu Polska jest świadkiem nowego przełomu — dziś już zawrzała walka między starym pokoleniem bierności i rezygnacji, a młodem pokoleniem czynów.

Omdlałość ducha, rezygnacja i bierność, władająca starym pokoleniem, rozpoczyna swój byt od upadku powstania 1830 roku, a trwa dotychczas. Mylą się ci, co twierdzą, że upadek ducha rewolucyjnego w Polsce datuje się dopiero od 63 roku. Rok ten krwi i chwały jak i rok 46 i 48 były tylko krótką przerwą słodkiej drzemki

w kajdanach, były wysiłkiem tylko szczupłej części społeczeństwa. Reszta, większość narodu w ruchu nie wzięła udziału, natomiast stała się jego grabarzem, a po śmierci lżycielem!

Hasło zgody z losem rzucone jeszcze przez Staszica błąkało się z początku cicho, nieśmiało, dopiero po tem ostatnim konwulsyjnym drgnieniu duszy polskiej, rwącej się do wolności, po powstaniu styczniowym hasło uległości wobec przemocy wystąpiło z nagą bezczelnością przed narodem i kazało im oddać pokłon. I schyliły się czoła karmazynów, oddały hołd birety i togi, cała Polska płazów i zajęcy legła u stóp tronów, piejąc hymn wiernopoddanych i obracając pobożnie białka ku trójcy cesarskiej w oczekiwaniu czy co z góry nie spadnie.

A było to pokolenie, co zrodziło się w dzień chrztu krwawego, pokolenie zroszone krwią bohaterów. Lecz krwi tej było za mało, by mogła zmieścić pancerz zwątpienia, nałożony już w kolebce na dusze młode przez ręce trupów moralnych.

Sumienie i poczucie godności narodowej uśpiono w tem pokoleniu piosnką pracy organicznej. Ślady świeżej krwi zakrył oczom dym fabrycznych kominów, a jęki katorg i cytadel zgłuszył brzęk rubla i hałas giełdy. Trzeba być trzeźwym. Precz z marzeniami! wołano jak ongiś Mikołaj I. — a zakłęcie to zamykało uszy na krzyk sumienia.

Lecz tak być dalej nie mogło. Człobitność nie przyniosła prócz brązowych medali, które można mieć półdzikie afrykańskie plemiona, a fabryczne kominy za szczupły zakreslają widnokrąg dla ducha.

Zjawiają się więc zwiastuny nowego pokolenia i idą szukać orzeźwienia do krynicy swojej — do ludu. I gdy przyzwyczajone do dymu oczy spojrzęły na kryształ tej krynicy zachwyt ogarnął patrzących. Kulturę ludową podnoszą do znaczenia ogólnego — narodowego, bo ta kultura jednaka we wszystkich częściach rozszarpanej Polski stać się może podwaliną i cementem do odbudowania całości. Lecz widząc jak na każdym kroku kultura ta jest niszczonej przez najeźdźcę, rzucają hasło obrony czynnej a w programie stawiają cel: Niepodległość Polski. Cel ten tak święty i drogi dla nas, a osiągnięcie jego tak niezbędne dla rozwoju naszej narodowości, skupiły ogromny zastęp młodych sił pod sztandarem tych, co to hasło rzucili. Zdawało się że ruch wszechpolski dokona ostatecznej sprawy i to mniemanie przykuło do niego najmłodsze pokolenie.

Lecz od czasu, kiedy ruch ten przeniósł się i do Galicji, jakby tehnięty zarazą zgnilizny austriacko — galicyjskiej naszego kraju zniżył lot, opuścił zmarniałe skrzydła i spadł, w bagno konserwatyzmu, klerykalizmu, a co najsmutniejsze tak się przystosował do austriackich wymagań państwowych, że radzi to samo uczynić cierpiącym pod knutem.

S k o n f i s k o w a n o !

Ta smutna zmiana świadczy że ci ludzie są jedynie pokoleniem przejściowym, zwiastującym narodziny nowego. Połowa ich ducha zarażona została paraliżem rezygnacji, bałwochwalstwem przemocy. Fakty i warunki posiadają u nich moc niezmienną. Nie doceniają siły woli świadomej narodu, dlatego poddają się biernie biegowi wypadków i zawsze lamentują że, ich fakty zaskoczyły nieprzygotowanych.

Z tem wszystkim my pokolenie wstępujące dziś w życie — zrywamy! Niemożliwości dla nas niema! Przepaści między wolą a czynem, między ideą a rzeczywistością nie uznajemy! Idea sprawiedliwości społecznej nie stoi w sprzeczności z naszą bezgraniczną miłością Polski! Wie-

W PIEKLE.

Widziałem piekło!...

Co prawda było to we śnie. Śniłem, że znalazłem się w środowisku ludzi, którzy pogardzają snem i martwością, że z piersi wolnej od dekadentyzmu i indyferentyzmu rzucałem gromy na mniejsze i większe bożki światowe, że nie uznawałem władzy, pochodzącej rzekomo od Boga, że nawet pozwoliłem sobie być Polakiem nie c. k. ale Polakiem z krwi i kości.

Jako taki rzucałem hasła skupienia siły i życia — siły narodowej, która konieczna jest nam do walki o niepodległość — i tego życia narodowego, które co chwila przygaszają brudną wodą z swojej sikawki nasi wielcy politycy o małych głowach i wielkoduszni ludzie, nieposiadający właściwie żadnej duszy.

Na taki sen zlecieli się wszyscy dyabli, ubrani w mundury austriackich policajów, wywiekli mnie z łóżka i nie żałując szturchańców kazali iść z sobą do piekła.

— Ależ szanowni panowie dyabli... zacząłem.

— Małczat! — huknął na to jakiś kapral dyabelski — strojsia i wpierod! — przyczem nie omieszkiał zaaplikować mi razu w kark.

— Pozwólcie piękne duchy, ale ja nie jestem — przygotowanym do tak dalekiej podróży... próbowałem tłómaczyć.

— Schweigen — zaskrzeczał mi tuż nad uchem kusy dyabeł, zapewne wachmistrz piekielny. — Rebellant! politisch verdächtiges Individuum! Marsch!

I pomimo oporu z mojej strony porwali mnie na rogi, wsiedli na miotłę czarownicy z placu Smolki i gnali ku piekłu, wśród ogromnego wrzasku ucieszonych gawronów i nietoperzy z rodziny pani Opinii publicznej.

Zanim miałem czas się opamiętać, znalazłem się już nad Styksem, podobnym bardzo do naszej wonnej Pełtwi. Rudobrody przewoźnik z krągłym nosem, oczekiwał na nas z promem, za parę chwil stanęliśmy u bramy, nad którą dwugłowy potwór trzymał w szponach blaszaną wstęgę z napisem „c. k. Piekło“.

Kusy dyabeł rozpędził się parę kroków, pochylił, i rogami grzmotnął o bramę. Mimowoli zapytałem.

— Zaczny panie dyable, czy pan przy takiej operacji nie rozbije sobie łebka?...

— Insurgent!... Schweigen!... keine Besprechung! vorwärts!

Brama rozwarła się na oścież, popchnięto mnie w głąb. Z początku nie dojrzałem nikogo,

począłem zbierać myśli, jednak z głębi ozwał się ostry głos:

— Nie wolno myśleć!...

Teraz dopiero dostrzegłem, że stoję przed sądem piekielnym. Naprzeciw mnie za zielonym stołem na prezydyalnym miejscu siedział uszlifowany Lucyfer zupełnie podobny do pewnego małego podróżnika i mowcy z nad Sprewy, obok Imci panowie dyabli Minos i Belzebub, na trybunie prokuratora, z długą na dwie połowy podzieloną brodą, zasiadł Wielmożny dyabeł Mefisto.

— Moi Jaśnie wielmożni dyabli — zapytałem słodziutko, czego właściwie żądacie odemnie?...

— Czego?... zaraz się dowiesz buntowniku! — Mamy tu sporo na ciebie. Pisarz, pisać generalia. Jak się nazywasz?

— Jacek Niepoprawny.

— Niepoprawny?... jedna zbrodnia więcej! nie wolno się tak nazywać!... Jakiej narodowości?

— Polak.

— Co?... a ty gałganie?... zanotować to!

nie wolno być Polakiem.

Do dyabła — pomyślałem — czy to w piekle nie ma żadnego dygnitarza Polaka? wszak są oni na wszystkich dworach. Przepraszam — odezwałem się — czy Imci pan dyabeł Boruta nie jest tutaj obecnym?...

— Was?... Boruta?... to zdrajca! zdezerterował do Japończyków i poszedł bić bratnich

rzymy, że nie pieniądz i bagnet, lecz duch nowe światy tworzy, nowe zorze nieci,

S k o n f i s k o w a n o !

K. Wojcicki.

Głos obcy o Polsce.

W sprawozdaniu z wiecu, odbytego w Paryżu w dniu 23 lutego b. r. w sprawie ostatnich wypadków w Królestwie, „Courrier Européen“ między innymi cytuję mowę słynnego profesora-historyka na uniwersytecie paryskim, Karola Seignobosa z przekonań — gorącego liberała i republikanina. Chcąc zaznaczyć ogół nasz ze zdaniem tak cenionego profesora — przytaczamy choć kilka charakterystyczniejszych ustępów, — a to z tem większą przyjemnością, że ogół nasz, aż nazbyt surowo sędzi ostatnie zajścia w Warszawie i na prowincyi. A nawet dalej idąc, wprost rzuca kalumnie. — Na wiele wywodów sławnego historyka nie godzimy się — jednakże przyznać musimy, iż jest to głos uczciwy i w każdym razie nam przychylny. Na wstępie swej mowy stwierdza Seignobos, że hasła rewolucyi obecnej nie z Warszawy wychodzą, lecz z Petersburga i że to jest powodem, że sytuacja nasza nie jest tak korzystną, jak być powinna. Dalej mówił: „pragnąłbym, aby Polska mogła działać sama, od innych niezależnie“. Następnie omawia mowca stopniowe ograbianie naszego narodu z szeregu najżywniejszych instytucyj. „Lecz mimo to wszystko naród polski przetrwał i żyje“.

S k o n f i s k o w a n o !

nam Moskali!... Pisarz, zanotować, zna się z Bo rutą!... Już?...
— Już? — odparł pisarz.

— Gut! No a teraz ty nędzna ziemska istoto, ty... ty Polaku, ty żądać śmiesz wskreszenia Polski? Ty śmiesz wołać „Wstań Polsko!“... Ty śmiesz pisać artykuły przeciw naszym kuzynom na ziemi?

— Toż to nie jest grzechem, każdy człowiek powinien kochać swoją ojczyznę, a każdy naród, któremu wydarto ziemię zbrodnią i podstępem dąży do jej odzyskania — odparłem z mocą.

Lucyferos porwał się z miejsca.

— Słyszycie panowie sędziowie? — przyznaje się! Donnerwetterelement! On chce wolnej Polski? na szubienicę z nim! do kotła! do smoły!.. niech z niego wysmażą te ideje. Prokurator masz pan głos.

Prokurator podniósł się z powagą, skierowawszy ku mnie ostrze paragrafu.

— Panowie — mówił — osobnik ten jest najniebezpieczniejszym indywiduum na świecie, chce wywołać przewrót polityczny, chce zorganizować szlachetne i czyste jednostki, wobec czego piekło straciłoby nowych obywateli... potrzeba więc dać odstraszający przykład i na podstawie paragrafu 14. księgi ustawy piekielnych, za zbrodnię wyznawania polskości i dążenia do wydarcia Polski z piekielnej mocy skazać go na śmierć! Skończyłem.

Brak życia — brak idei.

Dzielnica Łyczakowska, silnie zaludniona przeważnie przez rękodzielników, a zbyt oddalona od centrum miasta, by pozostawać w ciągłej styczności ze środowiskami życia umysłowego i narodowego, jest wolnem polem do pracy dla czytelnika.

I dziwnem wydawać się może, dlaczego założona niedawno czytelnia im. Głowackiego nie rozwija się, ale obecny jej wydział myśli na seryo o rozwijaniu tej tak potrzebnej placówki narodowej?

Tę zagadkę wytłumaczy nam jedynie brak idei, brak życia prawdziwie młodzieńczego wśród członków. Wina tego spada na kierowników. Ci zaślepieni celami partyjnymi, mimo woli tłumili gorętsze uczucia i popędy młodych dusz. Zabronili urządzić seryę odczytów o obecnej, przełomowej dla nas chwili, jedynie dlatego, że prelegenci nie mieli marki narodowo-demokratycznej, chociaż ogół członków był bardzo dla nich przychylnie usposobiony.

I może być, że również obawa przed wpływem tych ludzi popchnie ich tak daleko, że czytelnię rozwiążą.

Ale choćby się tak stało, ogół członków czytelnia nie zapomni o swoim obowiązku i potrafiłby samodzielnie na własną rękę założyć nowe ognisko dla wspólnej pracy, gdzie z pewnością żywszem tętnem zabłoby życie a prawdziwa przyjaźń, oparta na wspólności celu, silnieby związała młode dusze.

Tymczasem jednak sądzimy, że o ile to będzie w waszej mocy, młodzi przyjaciele, nie powinniście dopuścić do rozwiązania czytelnia. Ludzie wami kierujący tak, jak ich stronictwo, nawykli już do rezygnacyi. Mogli zrezygnować „na dziś“ z walki o niepodległość Polski, potrafią też przeboleć utratę czytelnia.

Nam jednak niczego tracić nie można! Czytelnia nie rozwiążcie, raczej postarajcie się, by wnet zapanował inny duch. Nie odgradzajcie się chińskim murem od ludzi, którzy was potrafią jaśniejszą drogą poprowadzić tam, gdzie i Wy w głębi duszy dojść pragniecie!

Korespondencje.

Warszawa 5. maja 1905.

Z zaboru rosyjskiego.

Pierwszy numer „Narodu“, a wraz z nim zaproszenie do współpracownictwa — dziś otrzymałem. Tak za „Naród“ jak i zaufanie serdeczne „Bóg zapłać“ — śląc z serca płynące „Szczęść Boże“ w narodowej pracy.

Wypadki majowe, a raczej brutalności żołdactwa moskiewskiego, dziesiątki trupów i setki rannych na ulicach Warszawy; wywołały u Was u jednych współczucie u drugich gromy na nas. Te ostatnie czy słuszne? — Nie! — Czyż ciągle mamy być społeczeństwem biernym z pokorą liżącym nogi naszych katów? Jednak tego pragną i sami w czyn wprowadzają i to Polacy — mam tu na myśli niektóre oddziały „rozsądnych“, „lojalnych“, stańczyków i ugodowców i t. p. panów — którzy głoszą „urbi et orbi“ spokój legalnego postępowania Jakimi wrogami społeczeństwa polskiego są oni, dowodzą fakta. Jak liberya lokajska starła z ich czoła wstyd, poczucie narodowe — mówią ich czyny, nie już lojalne ale wprost podłe.

Owa „szlachetna denuncyacja“ uprawiana przez Straszewicza, Pilza et touti quanti. — dziś wydaje owoce.

Biedne nasze społeczeństwo zamiast w chwili tak przełomowej jak obecna spotkać się z po-

— Podsądny — warknął Lucyferos — co masz na swoją obronę?

— Nic... wy piekielne duchy możecie się znieść nademną, możecie zabić ciało moje, dusza u was nie zostanie! Zabijcie! nie straszną Polakowi śmierć! Polak rodząc się, jest na nią przygotowany, a konając, powie jeszcze „Wstań Polsko!“

Na te słowa wachmistrz piekielny ducnął mnie rogiem w grzbiet. Panowie sędziowie spojrzeli groźnie i zaczęli naradę.

Po chwili łmci dyabeł Belzebub odczytał wyrok.

— Ponieważ Jacek Niepoprawny przyznał się sam do winy, ponieważ jednak nie boi się śmierci, a zatem śmierć to za mało dla niego, przeto Wysoki Sąd piekielny skazuje go na skonfiskowanie i oddanie w ręce lwowskiego prokuratora, aby tenże obmyślił dla niego karę.

Na taki wyrok zrobiło mi się zimno, chciałem już sam skoczyć do kotła ze smołą, ale czereda dyabłów porwała mnie znów na rogi, rzuciła przez Styks tak silnie, że się aż przebudziłem na swoim łóżku.

Przekonał się zatem, że byłem w piekle, a czarownica z Placu Smółki, która dostarczyła dyabłom miotły do podróży, może wam to poświadczyć.

Józef Znicz.

mocą, uznaniem, otrzymuje mnóstwo nauk, rozpraw legalno-ugodowych, a w reasumé, „uczciwą“ radę siedzenia cicho i nadstawiania piersi na strzały i bagnety moskiewskie. Ileż boli więcej ta tak zwana polityka trzeźwości, a właściwie szkalowanie narodu, niż bagnet i kula moskiewska, czyż mówić trzeba? Niemam zamiaru stwarzać rozdwójnia, wykazując błędy drugich — lecz zwracam się do Was P. P. Ugodowcy i Wszecpolacy jako do synów jednej matki Polski a naszych braci z prośbą z serca płynącą — zrzucicie liberye dworskie, pozbędziecie się owej trzeźwości — a raczej manii szkalowania — i bądźcie prawdziwymi synami jej biednej szarpanej przez wrogów i synów własnych wspólnej matki naszej Polski.

Mimo woli i chęci wylałem trochę nagromadzonej złości — na usprawiedliwienie swoje jedno powiedzieć mogę, że i ból jaki całe uczciwe społeczeństwo nasze, a w szczególności lud warszawski odczuwa do owych „trzeźwych“ rzucających gromy i udzielających rad przy zielonych stolikach ot tak „pour passer le temps“ jest tak wielki jak wielką jest uczciwość niezgangrenowanej części naszego społeczeństwa jak wielkim jest patriotyzm i miłość ojczyzny u tych maluczkich nierozumujących lecz z całym zapalem poświęcających życie i wolność za odrobinę swobód.

Dodać, jeszcze muszę, że silne starania nadania ruchowi obecnemu charakteru czysto socjalno-międzynarodowego jest i podtem i głupim. Jest to chęć zochylenia naszych szlachetnych porywów — i stworzenia opinii że rozruchy warszawskie są jedynie burdami uliczników. Tu panowie ugodowcy przeszli nawet moskali-gdyż oni sami nie mieli tyle czelności, jak wzdzięcznym jest rząd moskiewski owym panom łatwo sobie wyobrazić — nie będzie też prawdopodobnie praca ich bez nagrody. Posypią się orderzy i uznania dla pracy tak „szlachetnej“ jaką uprawiają. — A wraz z nią i pogarda moskiewska. Bo i moskał choć daje order lecz czuje wstręt i pogardę dla „pierekińczyków“.

Pismo Wasze powitaliśmy z entuzjazmem. Program wasz jest naszym programem Bo czyż uczciwy Polak nie musi solidaryzować się z tak szlachetnymi dążnościami?

S k o n f i s k o w a n o !

Program „Narodu“ i hasło: Walka o niepodległość Polski — znalazły silny oddźwięk u nas — licząc więc na poparcie nasze jak również przychylcie się do ogólnego głosu „chodźcie pracować do nas, a my was niezapoznamy bo cele i dążenia wasze są naszymi — są tak wspólnymi, że nie może nigdy między nami rozdzźwięk nastąpić. — Nie wiercie panom „trzeźwym“ nie burdy uliczne dla spokoju „uczciwych obywateli“ — słumia rząd moskiewski — ale najszlachetniejszą część społeczeństwa oddaje swe życie i wolność za sprawę wspólną: Polski, Polski niepodległej. To wierni synowie swej matki nie „warcholy“ jakimi starają się nas zrobić wobec świata — giną, — giną, nieznani bez oklasków, bez efektów, cicho, spokojnie idą; na śmierć pewną z myślą, że krew przez nich przelana, że cierpienia ich nie będą bezowocne, że wydadzą one obfite plony. Plonem tym zaś będzie nie podległa Polska.

Wiemy wszyscy aż nazbyt dobrze, że bez ofiar się nie obędzie i że każda sprawa wielka wymaga ich wiele. To też śmiało idźmy naprzód nie licząc strat mając przed oczyma cel tak wzniosły, tak szlachetny.

Głos mój nie jest odosobnionym jest on głosem ogółu wraz z wami wołającego. „Komu wolność droga niech staje pod sztandarem „Narodu“.

Nie płaczem, nie lokajstwem — jedynie siłą i poświęceniem dojdziem do wolności.

Nalęcz

P. S.

W następnej korespondencji postaram się przestać wam szczegóły sprawdzone wypadków, a raczej rzezi majowej.

DROBNE SPRAWY.

Pierwsza konfiskata. Zaledwie na widnokręgu swobodniejszych dążeń i śmielszych porywów pojawił się pierwszy numer „Narodu“, a już wygląda tak, jak sztandar bojowy, poszarpany nieprzyjacielskimi kulami.

O, bo walka o niepodległość Polski już się rozpoczęła! — nieubłagana, zażarta, krwawa!

Jeszcze nie kule stalowe, ani ołowiane świszczą nam koło uszu, choć i ta chwila nieda-

leka; pierwszy, dotkliwszy o wiele atak — to strzelanie ostrymi nabojami kar i zakazów, złożonych w arsenałach księgi ustaw.

Walka społeczna dostarcza bowiem kul wszelkiego rodzaju. Są kule, które nie ciał, ale myśl drugocą i zabijają, które łamią odrazu całe kolumny złożonych mozolnie czcionek i wyrwywają z szeregu zdań słowa najsilniejsze. Pociski takie spadają z biurka prokuratora za jednym machnięciem niebieskiego ołówka. Lecz my się tych pocisków nie lękamy. Myśl nasza w ten, czy w inny sposób przejdzie w dusze bratnie cała i nietknięta; raz zrodzonej i wypowiedzianej nie już, nawet oówek najemnika rządowego zniszczyć ani okaleczyć nie zdoła, bo myśl jest nieśmiertelna!

Są dalej kule, ciskane miłością, z za płótów na pierwsze jawnie w bój idące szeregi. Tych się ustrzedz niepodobna, gdyż nie wiedzieć skąd i kiedy nadleca, odczuć jedynie można, że pochodzi z rąk s w o j s k i e h, z rąk mnóstwa — jak się Ujejski wyraził — żyjących wśród nas kainów. Lecz i tych się pocisków nie lękamy, gdyż przeszywają one grotem śmierci tylko serca słabe i zakazane zwątpieniem.

Są wreszcie kule stalowe, pod którymi padają krwią oblane ciała. Te już są zapowiedzią i znakiem zupełnego zwycięstwa, to już jest ostatni i najbrutalniejszy wysiłek przemocy, która porażona i osłepła piorunami myśli, chwytając się martwych narzędzi obrony w nadziei, że stosem mordowanych ciał przysięgnie i zmiążdży wyzwolonego ducha. Tych kul już się nie lękamy, ale pożądamy ich, tęsknimy do nich, bo one nam wybiją choćby przez piersi tysięcy ofiar wyłom na szersze i wolniejsze widnokręgi.

Pod sztandar więc „Narodu“! Przy nim jedynie walka, a co za tem idzie i zwycięstwo. Poznać go łatwo wśród wszystkich innych, nadających się tylko do procesji i parady, ale nigdy do przodownictwa w ogniu bojowym. Tamte całe i spokojne, nasz od kul postrzępiony i rozwiany wiohrem zapału; tamte trzymane dłońmi tohórzów i bałwochwalców, nasz spoczywający w silnie zaciśniętych rękach, które ślubowały nie puścić go, choćby ostatnim skurezem obejmować go miały, choćby w nich zostało samo drzewce: tytuł — i godło na nim zatknięte: „walka o niepodległość Polski“!

Raz jeszcze powtarzamy wstępny okrzyk nasz: komu wolność droga, niech staje pod sztandarem „Narodu“!

Wiec narodowy. W celu omówienia wypadków w Królestwie polskim i powzięcia uchwały, jak społeczeństwo galicyjskie wobec tych gwałtów powinno się zachować, Redakcja nasza urządza w niedzielę dnia 14 bm. wiec narodowy. Wiec ten odbyć się miał początkowo publicznie, na otwartym miejscu, u stóp kopca Unii lubelskiej. Ponieważ jednak w ostatniej chwili otrzymaliśmy z policji pisemny zakaz, przeto wiec ten przenosimy do sali p. Danki, przy ul. Szajnoch 1. 5, na godzinę 4. po południu. Wstęp za zaproszeniami, które otrzymać można w naszej Redakcji.

Przytaczamy w dostownym brzmieniu pismo c. k. Dyrekcji policji, usprawiedliwiające wydany zakaz:

Do
Panów Józefa Baczyńskiego i Leona Fuka
we Lwowie.

Podaniem z dnia 10 bm. prosiliście Panowie imieniem redakcji „Narodu“ o zezwolenie na urządzenie w dniu 14 t. m. o godzinie 4 po południu „wiecu narodowego“ pod gołym niebem na polance pod kopcem „Unii lubelskiej“ z porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Galicya wobec zajęć w Królestwie.
3. Żałoba narodowa i pomoc dla ofiar.
4. Wnioski i uchwały.

C. k. Dyrekcja Policji na podstawie przepisu § 6. ustawy z 15. listopada 1867 Nr. 135 Dz. p. p. odmawia powyższej prośbie Panów i ze względu na dobro ogółu zakazuje urządzania tego zgromadzenia, ponieważ wobec dodatkowego oświadczenia, jakieście Panowie w sprawie tej tu złożyli, tudzież wobec sposobu, w jaki w numerze 1. powyższego czasopisma sprawy te omawiano, nie ulega wątpliwości, iż na zgromadzeniu tem dyskusya prowadzona by była w tonie podburzającym ze szkodą dla stosunków międzynarodowych Państwa.

Przeciw temu zakazowi wolno wnieść rekurs do Prezydium c. k. Namietnictwa na ręce c. k. Dyrekcji Policji w przeciągu dni ośmiu (8), od dnia doręczenia.

Podpisano: *Schechtel*.

Rekursu nie wnosimy.

Karty udziałowe. Celem powiększenia funduszu naszego wydawnictwa, puściła Redakcja „Narodu“ w obieg karty udziałowe na kwotę 10 koron. Kto taką błękitną kartę z herbem polskim kupi: 1) otrzymuje przez przeciąg jednego roku czasopismo „Naród“ bezpłatnie; 2) nabywać może wszelkie wydawnictwa „Narodu“ po połowie ceny, broszury zaś pomniejsze za darmo; 3) raz w miesiącu umieszczać może w „Narodzie“ bezpłatnie, pięciowierszowe ogłoszenie; 4) ma wolny wstęp na wykłady i zebrania, urządzone staraniem „Narodu“; 5) po upływie pół roku ma prawo żądać zwrotu włożonej kwoty za oddaniem niniejszej karty.

Kto by zapragnął stać się właścicielem karty udziałowej na tak dogodnych warunkach, raczy zgłosić się do naszej Redakcji.

Kapral z pod Mukdenu! Senzacja, trąbienie na wszystkie strony! interwiewy i rozpisywanie się w całospaltowych artykułach o tem, że do Lwowa zawitał — tym razem nie jakiś arcyksiążę, ale — kapral, żołdak moskiewski!

S k o n f i s k o w a n o !

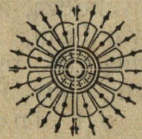
Taki osobnik budzi entuzjazm naszych fabrykantów opinii publicznej, bo mówi dobrze po polsku i po niemiecku, bo jak się przyznaje, podstępnie, skrytobójstwem zgładził jednego Japończyka i za to dostał order św. Jerzego! Jakiż więc dla człowieka, który w każdym innym społeczeństwie budziłby odrazę, dla takiego osobnika stępią się pióro wszystkich redakcji „polskich“ pism we Lwowie? Więć z tego, któremu się należy pogarda, robi się bohater dnia? — Toż wy panowie, gdy przyjdzie wspomnieć o narodowych obchodach, o ile one nie są inspirowane przez „lepsze osobistości“, raczyście za ledwie kilka wierszy poświęcić, a w ostatnich czasach zupełnie otwarcie żądacie za podobne „komunikaty“ wynagrodzenia — wy

panowie nie nie żądacie za to, że trąbą dziennikarską rozgłaszacie sławę moskiewskiego — kaprała? — To już zanik wstydu! Ciesz się narodzić, że taką masz opinię publiczną, konsul moskiewski cieszy się razem z tobą, bo niedługo i do tego przyjdzie, że pojawi się na szpaltach „Boże caria chrań“!

Meningitis epidemica obrała swoje siedzisko w głowiznie niemieckich uczonych. Świeżo nam jeszcze tkwi w pamięci szczeknięcie Mommsena, któremu prof. Balzer dał po łbie, a tu wyłazi z budy teutońskiej inny kundel, prof. Buchholz. Do licha! ta „garstka“ na „Ostmarku“ t. j. w Poznańskim musi być bardzo niebezpieczną, skoro aż z Saksonii, w Lipsku odzywa się pium desiderium profesora uniwersytetu, ażeby dla Polaków ustawowo zarządzić niemiecką spowiedź i niemieckie kazania. Nam się zdaje, że wobec tych objawów meningitis polega nie na zeszywnieniu karku, bo parobek nawet z tytułem prof. uniwersytetu kark złamie, jednak się ukłoni karykaturom królów — ale w zeszywnieniu mózgowicy. Ostatecznie ani p. Mommsen, ani p. Buchholz nie powstrzymają biegu historii, żadne ograniczenia, rozkazy, ukazy itp. befele nie potkną Polaka. Na takie psie szczekanie najlepszym jest kij — a że p. Buchholz jest za daleko od nas, aby mógł poczuć na sobie raz polskiego kija, zostawiamy tę przyjemność naszym kolegom tam na miejscu, sami zaś wyrażamy mu tylko... pogardę.

Zapowiedziany na niedzielę dnia 14. bm. wiec kupców i przemysłowców odkładamy z powodu spraw o wiele ważniejszych i bardziej naglących do jednej z najbliższych niedziel, o czym szanownych Czytelników naszych nie zaniebdamy zawiadomić.

Natomiast zebranie Delegatów Towarzystw polskich celem naradzenia się nad jednolitością działania, odbędzie się jak postanowiono: w piątek, dnia 19. bm. o godz. 8. wieczorem w sali Tow. im. Kilińskiego.



Podziękowanie.

Towarzystwo polskiej młodzieży rekozielniczej im. Jana Kilińskiego we Lwowie składa publiczne podziękowanie wszystkim Rodzicom chrześnym, Mieszczaństwu lwowskiemu, Stowarzyszeniom, Korporacyom i Delegatom za poparcie, jakiego doznało przy poświęceniu swojego sztandaru. Również serdeczne dzięki należy się od nas Dyrekcji Akcyjnego Towarzystwa browarów, W Panu Ludwikowi Stadtmüllerowi, firmie Braća Didolić, S. M. Töpferowi (Naftuła) i Karolowi Witoszyńskiemu za bezinteresowne dary na przyjęcie delegatów, oraz pani Maryi Komyniewskiej, za wprost wspaniałe wykonanie sztandaru. Wszystkim razem wyrażamy staropolskie „Bóg zapłać“!

POPIERAJMY SWOICH!

Stroje polskie,

męskie, damskie i dziecięce, mundury studenckie, stroje sokole, konfederatki po najniższych cenach.

Również poleca się warsztat reperacyjny dla przerobienia, nicowania, czyszczenia z plam wszelkie reperacje starannie, tanio i w najkrótszym czasie.

Wykańcza znana pracownia krawiecka

Wilhelma Jabłońskiego
ul. Ossolińskich 1. 9.

Polecam wielki wybór materjałów na ubrania.

DRUKARNIA „POSPIESZNA“

(OSTRUSZKI)

Lwów, ul. Sykstuska 1. 14.

Zaopatrzona świeżo w wielki wybór czcionek najnowszego kroju, jakoteż maszyny pospieszne pędzone siłą elektryczną, poleca się w wykonaniu wszelkich druków od zwyczajnych do najwykwintniejszych i to w jaknajkrótszym czasie.

STANISŁAW POCHMARSKI

L W Ó W

PASAŻ MIKOLASCHA

poleca swój

POKÓJ do ŚNIADAŃ

spokojny lokal dla rodzin i przyjezdnych znakomita kuchnia, tanie ceny - - -

Przyjmuje abonament na obiady i kolacje.



Prenumerata wynosi:

rocznie 4 K.
półrocznie 2 „
kwartalnie 1 „

Numer pojedynczy
8 groszy.

Redakcyja i Administracyja
ul. Ossolińskich 1. 9.

NARÓD

którego hasłem:

»walka o niepodległość Polski«.

Ogłoszenia: wiersz petitowy
czterospaltowy lub jego
miejsce 20 groszy.

Listów nieopłaconych Re-
dakcyja nie przyjmuje i re-
kopisów nie zwraca.

Reklamacje wolne są od
opłaty pocztowej.

WYCHODZI W PIĄTEK WIECZOREM.

NACZELNY REDAKTOR: LEON FUK.

WSTAŃ POLSKO!

Wstań, Polsko!

Wołają na Cię piersi, które duch wolności
rozpiera, serca, które w zmartwychwstanie Twoje
jak w słońce — wierzą! Wstań!

Zaświtał dzień, który Cię z ciemni grobo-
wych rękami całego narodu wydrze, tchnie nowe
życie w skostniałe łono i wzniesie Cię znów
tam, skąd w proch upadłaś: — na czoło ludzkości.

Oto wieki, które stopą zdrady i zwątpienia
deptały po Twojej mogile, szukając Ciebie w chmu-
rach i na gwiazdach — przeszły. Ludzie, którzy
plwali na imię Twoje, lub wabili niem w ciemne
zasadki zropanych po Twojej stracie współ-
ziomków, aby ich ograbić — wyginęli; reszta
ich na wymarcu.

U sennych Twoich mar staję inna drużyna,
inny zastęp, który wciąż rośnie i rośnie! To
Twoi wskrzesiciele! Przybyliśmy spełnić cud,
w który nikt dotąd prawdziwie nie wierzył.

Przewijało się przed trupem Twoim wiele
małodusznych pokoleń, wielu fałszywych proro-
ków, a każdy z nich wołał na Ciebie inaczej,
a każdy szukał zaklęcia, któreby Cię zbudzić
mogło.

Aleś Ty pod żadnym ich słowem, pod za-
dnym hasłem nie drgnęła. I utwierdził się w tej
myśli, że Ty już nigdy nie wstaniesz.

O Polsko! Czem oni Cię wskrzesić chcieli?
Niewiarą, która wypływa jak ze źródła
z serca, czującego lęk przed batem.

Lenistwem, które nie chce wyteńczyć woli,
ani utrzymać ducha na szczytach poświęceń —
tylko szuka dla spoczynku ciała wygodnego łoża,
choćby nie puchem, ale ciepłem błotem wyście-
lonego.

Przewrotną filozofią, która mówi, że mor-
derstwo, na Tobie dokonane — to konieczność
dziejowa.

Pokorą, która woła: męczarnie, spływające
na nas z krwawych rąk rozbastwionych zbrod-
niarzy — to woła Boga, z którą się zawsze
zgadzać trzeba.

Tchórzostwem, które radzi w milczeniu
przyjmować bolesne cięgi i ani syknąć w obawie,
aby się ciosy nie zdwoiły.

Chytrą, która szepce: czynmy tak, aby
wróg nie nie widział; pełzajmy jak żmije cicho,
bez szelestu i śpiącego olbrzyma ukąśmy od
czasu do czasu w pięte jadowitym zębem, aby
gniotącą nogę zesunął nieco z naszych karków.

Służalstwem, które godzi się na wszystko
i mówi: róbmy to, co nam wolno. Nie sprze-
civiamy się żadnym paragrafom, żadnym przepi-
som, którymi przemoc jak postronkami związała
nam dłonie, jak kagańcem zamknęła usta. Pra-
cujemy powoli i bez hałasu, idąc otwartą drogą
ustaw, a może..... może..... po tysiącach lat, po
niedocieczonych wiekach dźwignie się naród
z upadku i odzyska utraconą niepodległość.

Tem oni Cię, Polsko, chcieli wskrzesić.
A Tyś ani drgnęła!

O! nie takimi lekami Ty odżyjesz! Nie po
tysiącach lat, nie kiedyś, po wiekach, ale Ty
wstać musisz — dzisiaj!

Minął czas węzowych pełzań — nadeszła
pora lwich skoków.

Jak lwy musimy być odważni i ufnie w swe siły.

Jak lwy musimy być królewsko-dumni i nie
pozwalający na pohańbienie godności swojej.

Jak lwy musimy być nieubłagani i okrutni,
kiedy nam Matkę mordują i męczą nasze dzieci.

Jak lwy musimy być bystrzy, które prze-
nikliwą żrenicą wyszukują wprzód miejsca naj-
lepsze, a potem błyskawicznym skokiem ciskają
się na zdobycz, choćby z tą pewnością, że czeka
je stałowe ostrze, skierowane w samo serce!

To jest owa moc, która swym rozkazem
dźwiga z mogiłnych popiołów — trupy.

Tą mocą my dziś wołamy: Wstań Polsko!

Niech zamilkną samolubne kwilenia, niech
zamilkną stronnice swary! — Głos nasz wybija
się ponad krzyk osobistych bólów, ponad zgłęb

bratobójczych waśni, ponad jęk zniewieściałego
pokolenia. Głos nasz, to echo dziejowych prze-
znaczeń narodu polskiego, to żywiołowy wybuch
natury, która tyle lat tłumiona, znalazła dzisiaj
dość siły, aby brzemie, które ją gniecie, rzucić
i rozsadzić. Takiego głosu nikt dzisiaj ze siebie
nie dobył.

My jesteśmy narodem — nie liczbą jeszcze,
lecz ideą, nie całością cielesną, lecz całością
duchową.

I z tych wyżyn widzimy jasno drogę, którą
mamy lud prowadzić. A droga ta nie kręci się
węzową linią, nie omija każdego kamyczka, nie
jest rozliczoną na czas bez końca, ale jest prostą,
krótką — i krwawą. Przepaście rozwarte przed
nami co parę kroków — ale my je przejdziemy,
choćbyśmy mieli własnymi trupami je wypełnić.
Niebotyczne skały piętrzą się przed nami, ale
my je pod nogi zwalimy, choćbyśmy je mieli
rozszarpać prochem razem z naszymi ciałami!
Przejdziemy i dojdziemy!

Pierwszą naszą zaporą najboleśniejszą, bo
najbliższą — jest nasze własne społeczeństwo.
Nie całe, lecz ta jego część olbrzymia, ten mar-
twy odłam, ci ludzie bezduszni i zacofani, któ-
rzy zgodzili się już na wszystko, przyrośli jak
polip całą istotą do organizmów zaborczych
i nie należą już do istotnego narodu. Ci pierwsi
wysunęli przeciw nam ostrze nienawiści i strasząc
nas łachmanem władzy, wyzbranej od tyranów,
którym służą, zazdrośni o cień swojej powagi,
krzykną: kto wy? A my im odpowiemy: Naród!
I zmierzmy się! — A potem powstaną przeciw
nam ludzie, którym się zdaje, że posiadli dusze
tłumów i sądzą, że oni przewodzić powinni,
choć sami wiedzą i czują, że droga ich błędna.
Ci znów zapytają nas: kto wam dał prawo
do mianowania się narodem, do stawiania na
czele dziejowego pochodu? A my im odpowiemy:
prawo nasze — to prawda, to obowiązek, to
poświęcenie! I zapytamy ich nawzajem: coście
wy zrobili przez lat tyle? Gdzie choć jedno zwy-
cięstwo, gdzie choć jeden krok stanowczy, gdzie
gwiazda przewodnia?

My idziemy bez wahania i bez powrotu.
Po tę skradzioną koronę, którąście wy opłakali
już łzami zwątpienia, my sięgamy zuchwałą dło-
nią do czoł złodziejskich, aby ją zedrzeć i wło-
żyć znów na skronie Rzeczypospolitej polskiej.

Zmierzmy się! Spróbujmy sił swoich! My
się niczego nie lekamy! Władzę nad narodem
posiedzie ten, kto sercem wchłonie większą wiarę
w zmartwychwstanie Ojczyzny, ten, na kim spo-
cznie duch umarłej Polski, błędzący teraz po
niebiosach.

Nie odmawiając nikomu prawa do współ-
zawodnictwa w tem, kto silniejszą wiarą pocią-
gnie za sobą cały naród, jednych tylko odsuwa-
my jak zdrajców, od udziału w pracy nad przy-
szłością, tych, którzy się wyrzekli niepodległego
bytu i pragną tylko ulgi w prześladowaniu. Ci
nawet nie wari są lepszych warunków istnienia,
niż obecne. Idea swobody, nie jest naszą wła-
snością, abyśmy nią mogli rozporządzać i jej się
wyrzekać. To spadek po wiekach przeszłych,
który obowiązuje i jesteśmy grabieżcom odebrać
i przekazać w całości późniejszym pokoleniom.
Każdy więc nikczemnik, który wchodzi w jakie-
kolwiek układy i porozumienia z przemocą, za-
miast ogniem i mieczem domagać się zwrotu —
co do szelazka! — zrabowanego skarbu, jest
winien śmierci!

Kłątwa tym, którzy w słabości ducha wy-
ciągają do wroga rękę po kęs zbroczonego krwią
naszych ojców chleba! Kłątwa tym, którzy cze-
piją się splugawionych tronów! Nam odciąć
się milczącą pogardą od gnębicieli, a jeśli pa-
trzeć na nich, to okiem, które mówi: szukam,
gdzieby Cię ugodzić! Nam zamknąć się w sobie,
związać się w samoistne ciało, które się samo
potrafi wyżywić i obronić, a wtedy nie będzie-
my się oglądać bezradni za obcą pomocą, wtedy
chwila, przynosząca w dłoni koronę Piastów —
nie zaskoczy nas, na to wielkie święto niepo-
gotowanych.

Dlatego dziś wzywamy wszystkich, którym
sumienia nie wygryzła z piersi rdza cesarskiej
łaski, do stawienia się pod naszym bojowym
sztandarem. Dla każdego znajdzie się placówka,
znajdzie się cel i grób, opleciony wieńcem bo-
haterskim.

Śmiało do dzieła! Oto przechodzi nad nami
chwila wielka, która niesie w swem łonie piorun
dla najokrutniejszego z trzech potworów. Nie
dajmy się jej wymknąć z rąk! Oto godzina wy-
biła! Dziś — albo nigdy!

Zaprawdę, śmierci się poślubił ten, kto
z nami zawołał dzisiaj: Wstań, Polsko!

Redakcyja.

JUTRZENKA SWOBODY!

„Gdy wrócimy do Polski, gdy
ją wyjarzmy całą z pod obcej
przemocy, natenczas rozwijając
główną myśl ustawy 3. Maja, be-
dziemy tylko egzekutorami testa-
mentu, którym naród w sejmie
czteroletnim sam siebie reorga-
nizował przed śmiercią.”

M. MOCHNACKI.

„O rewol. społecznej w Polsce”.

Witaj! jasny, promienny dniu 3. Maja. Ty
światłista pochodnio przyszłości dla licznych po-
koleń! Pomniku sławy na grobowcu umęczone-
go narodu! Ostoje granitowa, o którą się fale
błuznierstw przeciw naszej przeszłości rozbijają!
Witaj jutrenko swobody, chwilo Odrodzenia!

Płyniemy do Ciebie myślą, wspomnieniem
czarowny dniu, lecz czoła nasze w proch się
chyla — w proch pod brzemieniem wstydu
i hańby za wiekową martwość, za to, żeśmy nie
czuli dumy, chyba wobec biedy, „którąśmy peł-
nym brzuchem beczekielików potracali”, za to,
żeśmy waszym myślom, wielcy twórcy wieko-
pomnej Ustawy Majowej, — rozwiać się pozwolili
i za to, żeśmy dziś jeszcze niewolnikami!

Pamiętamy przewodnie idee dzieła 3. Maja:
„Równość, Wolność, Niepodległość”! Lecz wo-
bec rzeczywistości, czyż nie jest ironią mówić
o równości stanów — dziś, kiedy nienawiść kla-
sowa tak rośnie, że rozpiera i łamie solidarność
narodową, że szlachta, potomkowie autorów kon-
stytucji 3. Maja broni ludowi dostępu do świa-
ła, do praw politycznych na wspólnie z rządem
zaborczym? Czyż nie jest hańbą, że są dziś je-
szcze przewodcy narodu, co nie pojęli myśli sej-
mu czteroletniego, że nie mniejszość, ale wię-
kszość powinna być narodem? Czyż nie jest
zbrodnią, że prawdą są słowa poety:

„lud Twój, Panie, co wicherzy spodem,
jeszcze się dotąd nie nazwał narodem”.

Nikczemni, skartowaciele potomkowie wiel-
kich ojców! głuszyście swoje sumienia kapelami
narodowymi i beczkami waszą obłudą pamięć
chwili wielkiej i wzniosłej. Wdziwacie kontusze,
by je potem zamienić na strój niewolników
i wznosić okrzyki na cześć tego, co wam wydał:
Wolność i Niepodległość. Nie pamiętacie o tem?
A przecież sejm czteroletni wszystkie swoje
prace i uchwały do tych dwóch celów kierował!
Wszak rewizya konstytucji co 25 lat, uchwalona
przez sejm, zmierzała do postępowego rozsze-
rzenia wolności obywatelskiej, a uchwalenie armii
stutysięcznej zapowiadało stanowczą walkę
z najeźdźcami. Jeśli więc mamy być „egzekuto-
rami” dzieła 3. Maja, nie wolno nam tracić z oka
ani na chwilę tego najpierwszego i najniezbę-
dniejszego celu — zupełnej Niepodległości
Narodu.

Nie łudźmy się więc dziś obietkami,
a nawet rzeczywistymi „reformami”, bo jakąż
one mieć mogą wartość, jeśli ich wykonawcą
nie stróżem mają zostać rządy obce — rządy bar-
żańskie!

Lecz dziś ci, co dzierżą narodowy kadu-
ceńs otrąbiają po całej Polsce politykę przyna-
le-

Libiańska Biblioteka

122380

122380

żności do państw zaborczych! I stała się niezwykła rzecz. Oto ci ludzie pierwsi od początku naszej niewoli w imieniu narodu dali aprobatę rozbiórcom!

„Zmartwychwstaje się z pod gromu
Lecz nie zmartwychwstaje się z pod sromu”.
Rumieniec wstydu musi oblać każdego, kto nie stracił sumienia i godności narodowej. Każdy Polak, nie godzący się na niewolę, a nie pozbawiony odwagi obywatelskiej, musi dziś, zawołać: „świętości szargać nie wolno”, musi stanąć do walki z małodusznością i tchórzostwem, które podłość nazywa „rozumem politycznym”. Dziś w święto Odrodzenia naszego Narodu musimy sobie powiedzieć, że obecny stan społeczny i polityczny naszego Narodu jest dla nas hańbą i klęską, że wyzysk i niewola Narodu nie może dalej istnieć, że my nie chcemy przynależeć nie tylko do Rosyi, ale do Prus i Austrii.

Kazimierz Wójcicki.

1. Maj i 3. Maj.

Dzień tylko jeden dzieli te dwie największe chwile w roku. A jednak jaka pomiędzy nimi przepaść!

Naprzeciw siebie stanęły dwie potężne zamierania idee, dwie rywalki, które spierają się ze sobą o panowanie nad światem.

W okół nich pustka. Ucichły spory religijne; religia nikogo dziś do czynów zapalić nie jest zdolna. Żadna inna teoria, których liczyć można na setki, pragnąca dać wytrąconej z równowagi ludzkości stały punkt oparcia, nie dorosła ani do kostek tym dwóm o żywiołowej mocy zasadom, z których jedna głosi ideę wszechbraterstwa, a druga ideę odrębności narodowej.

Do nich należy przyszłość świata. Tylko zachodzi właśnie pytanie: do której z nich? Bo obie równocześnie rządzić nie mogą. Jedną zwyciężyć musi. Ta, która padnie, wykaże całą niemożliwość ludzkich wysiłków, które nie wiążą się z życiem rzeczywistym, które nie wypływają bezpośrednio z natury. Ta, która zwycięży, udowodni swą nieśmiertelną wartość i wskaże prawdziwy kierunek postępu ludzkości. Przedstawicielką jednej zasady jest międzynarodowa socjalna demokracja, przedstawicielką drugiej — Polska.

Ale już dziś, chociaż wynik walki tej nie jest pewny, możemy stwierdzić z całą stanowczością, po czyjej stronie leży istotna przewaga.

Idea wszechbraterstwa nie jest nowa. Miała ona wielu apostołów od początku dziejowego istnienia ludzkości. Najdobitniej i najdoskonalej wyraził ją w swej nauce Chrystus, który zniósł wszelką różnicę pomiędzy narodami, który zrównać chciał i złać w jedną rodzinę wszystkie plemiona. Siegnął on o wiele głębiej w naturę człowieczą, niż Marks, twórca naukowego socjalizmu. Bo swoją teorię związał ściśle z wiarą w Boga, przed którym drży mimowolnie każde serce choćby największego niedowiarka. Prócz tego z wysokości, na którą on się wzbil, znika wszelki przedział między stanami, wyrównują się wszelkie stopnie warstw społecznych. Bogacz i nędzarz, król i kmiotek stoją wobec jego olbrzymiej, boskiej postaci na jednym poziomie. On pod ramiona swoje, rozpięte na krzyżu, zgarnął wszystkich ludzi.

W inną stronę i to o wiele słabszą, uderzył socjalizm. Socjalizm wyciął z całego ciała ludzkości jedną tylko część, co prawda najboleśniej, najbardziej zaniedbaną i wziął ją w swą opiekę. On chce ją uleczyć i podnieść — i to jest jego chwalebna i godna poparcia dążność. Ale on się na tem nie ogranicza; on usiłuje tę częśćkę drobną i błądzącą bądź nie najważniejszą, rozdać do rozmiarów całego ciała, wykarmić ją sokami całego organizmu i zastąpić, przyniesić ją wybujałą naroślą wszystkie inne członki delikatniejsze, bardziej wyrobione, a temsamem potrzebniejsze do rozwoju społeczeństw. I to jest dążność chorobliwa, grożąca zwyrodnieniem ludzkości, dążność, którą bezwzględnie zwalczać należy. W tem tkwi zarodek śmierci przechodzącego obecnie z wieku dzieciństwa do wieku dojrzałego — socjalizmu.

Ale nie koniec na tem. Inny cios, o wiele niebezpieczniejszy i szybszy czyha na życie wszechbraterstwa. Jak Chrystus stanął na fundamencie nieśmiertelnej idei i ku tym wyżynom ciągnął wszystko, co znikome, tak socjalizm odwrotnie, przeniósł punkt zaczepienia na to, co najbardziej przemijające i nietrwałe: na dobrobyt materialny i tą siłą chce prowadzić ludzkość do szczęścia. Chrystus zapalił wysoko na niebie ideałów ogniste, nigdy nie doścignione słońce, które wszyscy i zawsze widzą, — socjalizm w mrokach dziejowych zapalił latarkę, którą zamiast umieścić w dali, dał ją tłumowi do ręki. Latarka nie tylko że nie rozświeca ciemnej drogi postępu, ale jeszcze bardziej oślepia i tak już ślepe tłumy. Jeśli więc Chrystus, mając o tyle większą moc, zawartą już w samej swojej nauce, nie zdołał urzeczywistnić tej mrzonki: zespolenia wszyst-

kich ludów w jedną, niczem się nie wyróżniającą rodzinę, — kosmopolityzm bowiem istnieje tylko w hierarchii kościelnej, ale nigdy w całych narodach katolickich — to o ile mniejszą powinni się socjaliści chełpić nadzieją, że oni to marzenie ucielesnią.

Jak zwoźnicze to światło — przyszłość niewątpliwie wykaże. Niech tylko uciśnione klasy otrzymają te prawa, te swobody, te środki do życia, które im się słusznie należą, całą potęgą i wspaniałością marksowskiego gmachu runie odrazu w gruzy.

Socjalizm więc jest tylko przejściowym okresem, jest tylko wykwił z chwilowych stosunków i potrzeb roślinną, odwracającą obecnie swym jaskrawym kwiatem przechodzące do lepszych czasów rzesze, ale nie jest drogową wskazówką wiodącą ludzkość do szczęścia.

Tym drogową wskazówką jest idea polska.

Ostatni wiek, skąpany we krwi rewolucji francuskiej, zdobył dla obecnego pokolenia bardzo ważne twierdze, do których ludy i lata całe pogrążone w ciemności niewolnictwie napróżno szturmowały. Tą zdobyczą jest: wolność sumienia i przekonania, wolność słowa i druku, wolność, pracy i zawodów, prawo głosowania i wyboru ciał rządzących, konstytucja. Świat pochylił czoło przed człowiekiem, jako odrębną jednostką, uznał jego indywidualność.

Ale na tem postęp ludzkości się nie skończył. Nowe, jeszcze wznioślejsze hasło, jeszcze wyższa idea wysuwa się naprzód z pośród wielu drobniejszych hasła i dążeń.

Tą ideą jest indywidualność narodów.

Tak jak jeden człowiek odróżnia się od drugiego tą lub ową cechą charakteru, tą lub ową zdolnością czy skłonnością, tak i plemiona całe mają swoje odrębne cechy, zwyczaje, usposobienia i uczucia, które razem wzięte tworzą charakter narodowy. Tę odrębność, indywidualność narodów musi świat tak samo uznać i prawami ubezpieczyć, jak ubezpieczył indywidualność człowieka.

Każdy naród, każde plemię, choćby najdrobniejsze, musi zdobyć zupełną samodzielność, musi otrzymać takie warunki bytu, w których się może swobodnie rozwijać i żyć tak, jak mu natura jego nakazuje. Kto bystrzejszym okiem w przyszłość patrzy, ten widzi ludzkość całą zespoloną i szczęśliwą. Tak, — ale to zjednoczenie nie przeprowadzi się z góry narzuconym programem, do czego dąży socjalna demokracja, nie będzie panowaniem jednej warstwy nad drugą, jednej części tylko nad całością, ale będzie dobrowolną zgodą wszystkich ludów, będzie konstytucją świata.

Wskazówką, że połączenie takie jest nie tylko możliwe, ale i konieczne, że do niego dążyć bezwiednie i poszczególni ludzie i całe społeczeństwa, jest Napoleon. Tylko Napoleon upadł, bo łączył ludy w imię swej pychy, a nie w imię ich uszczęśliwienia, bo on jedną nogą posunął się w nieodgadniętą przyszłość, w wolność ludzkości, a drugą cołnął się w zamierzchłą przeszłość — w czasy despotyzmu jednostki. Nie jeden człowiek będzie rozporządzał losami świata, ale zgromadzenie wysłanników wszystkich ludów, grono najgodniejszych synów każdej niepodległej ojczyzny. W państwie, gdzie każdy naród będzie się mógł swobodnie rozwijać, uzyska każda jednostka jeszcze większe prawa i większą wolność, niż to jest w dzisiejszych warunkach możliwe. Wówczas zniknie nędza materialna, na której socjalizm dzisiejszy wygrywa żałosne swoje treny; góry złota, które pochłania dziś wojsko i wojna, obrócone będą na wypełnienie nierówności w stanie posiadania, na zapewnienie ogólnego dobrobytu. Armie będą zupełnie zbędne, wojna będzie niemożliwą, bo na złodziejskie zabory, na uszczuplenie praw narodowych, nie pozwoli świadoma swego szczęścia i zgody ludzkość. To jest owo dalekie słońce, które nam w dzisiejszym działaniu przyświeca i do którego zbliżamy się każdym naszym czynem, choćby on był napozór nieznaczny i zasklepiony tylko w miłości własnej Ojczyzny.

Wierzmy bowiem silnie, że praca nasza oparta jest na nieśmiertelnej idei, że przeznaczeniem Polski jest nadać nowe prawa i stanąć na czele ludów, które z pod wstrętnego jarzma niewoli wywieść ma własnym przykładem i czynną pomocą. Przez własną wolność do ludów wolności — przez własne szczęście do szczęścia ludzkości!

I oto na jakiej podstawie twierdzimy, że dzień 3. maja, to wielkie święto odrodzenia narodowego, jest dniem ważniejszym od dnia 1. maja, że idea, wyrażająca się trzecim maja, przerośnie, pokona i zniszczy ideę, wyrażoną dniem pierwszego maja.

Wszelako z postępowania tych, którzy skupiają się pod tymi dwoma przeciwnymi sztandarami, słusznieby wnosić można, że zwycięstwo przechyli się na stronę czerwonego sztandaru. Tam czujność — u nas sen, tam siła — u nas niemoc; tam jedność — u nas rozstrój; tam czyn — u nas słowa; tam walka — u nas bierność.

Tak jest, przyznać musimy, że daleko, daleko pozostaliśmy w tyle za naszymi rywalami. I to nas właśnie najmocniej boli, to nam goręczą zalewa serca, to nam kładzie w usta grom potępienia na tych ludzi, którzy tłumia szlachetne porywy, na te pisma, które gaszą zapal i rodzą zwątpienie, na te stronnictwa, które hołdują zasadzie: *ibi patria, ubi bene*, tam O czyzna, gdzie — brzuch pełny! Zdrajcy! Leon Fuk.

Święta narodowe w szkołach.

Czczyć jawnie i wszędzie, choćby wbrew zakazom i prześladowaniom to, co sercu drogie, co według przekonania godne hołdu i uwielbienia, — to cecha charakterów silnych i szlachetnych. I odwrotnie. Klaniać się bożkom, do których człowiek wstręt czuje, i śpiewać bałwochwalcze hymny na cześć ludzi, którymi się z całej głębi gardzić powinno i to wszystko czynić tylko z obawy grózb i kar — to znamię dusz słabych i nikczemnych.

Nasze stosunki dają nam co krok sposobność do oceny charakteru każdego Polaka. Bo na każdym kroku przemoc zmusza nas do oddania sobie niewolniczego hołdu. Czy śpiewem, czy słowem, czy pismem, czy czynem wreszcie podłym możemy się wszędzie i w każdej chwili podchlebić, przyłascić obcemu panowaniu, które nas za to nagradza — judaszowymi srebrnikami.

A wiecie wy, Czytelnicy, jaką tacy ludzie o miedzianych czołach znaleźli wymówkę na swoją hańbę, choć ich nikt o to nie pyta? Powiadają: żyć trzeba; popęd do życia mocniejszy jest od ideałów, od cnoty, od honoru.

Głupcy! Czyż to oni nie wiedzą, że życie tam tylko jest, gdzie jest siła i zdrowie, a zdrowie i siła tam tylko, gdzie szlachetność, że śmierć i zatracenie tam, gdzie podłość?

Lecz nietylko ludzie na rządowych stanowiskach, nie tylko starsi, którym odwagę odbierają potem ciekawe zapasy o chleb codzienny, pokon czynią bałwanowi przemocy. Na to straszne niebezpieczeństwo narażone są od najmłodszych lat dzieci, młodzież nasza. I to gdzie najbardziej? Oto tam, gdzie się powinny wykuwać granitowe charaktery, skąd wychodzić powinny nie złamane, pokrzywione karły, bezwolni służalcy despotyzmu, ale samodzielną pracownicy, orły o nadobłocznych skrzydłach i stalowych dziobach. Tam — w szkole.

Szkola galicyjska, to największy wróg narodowego odrodzenia. Tego wroga pokonać — to połowa zwycięstwa. Lecz któż ma to zwycięstwo odnieść, kto ma walkę rozpocząć? Z pewnością nie armia nauczycieli, drżących przed inspektorem, nie ci czarni niewolnicy, którzy przesiąkli na wskroś przekonaniem biblijnym, że niebo i ziemia przemina, ale władza c. k. rady szkolnej nie przemienia.

Walkę rozpocząć i wytrwale ją prowadzić mają sami uczniowie.

O młodzieży! Gdybyś ty wiedziała, jaką krzywdę wyrządzają ci twoi nauczyciele, ile mocy, ile szczęścia, ile kwiatów, zdolnych wydać wiekopomne dzieła, wydzierają ci z serca okrutną ręką twoi wychowawcy, zostawiając same chwasty i nagie łodygi, o dawnobys już albo wyrzekła się szkolnego wykształcenia i gdzieś w zacisznej izdebce przy niepewnym płomyku świecy wspólnymi siłami szukała zdrowego ziarna nauki, albo te mury, w których zakażają młodociane dusze — z ziemiabyś zrównała!

Lecz nie wszystko jeszcze stracone. Opuszczać rąk i dziś nawet, choć tyle lat przeszło marnie — nie wolno. Na walkę zawsze czas!

Oprzeć się stanowczo wszelkim rozporządzeniom, naruszającym waszą godność i uczucia narodowe, żądać większego uwzględnienia języka, literatury, historii i geografii polskiej kosztem monstrualnej greczyzny, niemieccyzny i historii austriackiej, żądać uroczystego święcenia nieśmiertelnych rocznic narodowych — to wasz najważniejszy obowiązek, od którego nie was uwolnić nie może — młodzi obywatele! Zewnętrzną oznaką waszego zwycięstwa będzie zaprowadzenie świąt narodowych t. j. dni wolnych od nauki i przeznaczonych na uroczyste obchody, dni, które ogół narodu czci jako drogie i promienne pamiątki wielkiej przeszłości. Jedną z takich najwznioślejszych chwil jest dzień 3. maja, dzień, o którym szkoła jakby nie wiedziała, dzień, w którym wasi patryotyczni światłodawcy rozwodzą się przed przepętną klasą nad genialnymi dziełami Maryi Teresy, Fryderyka Wielkiego i Katarzyny drugiej.

Tak dalej być nie może! To świętokradztwo spełniane bezkarnie na naszej Ojczyźnie! — i ty, młodzieży, powinnaś tym wstrętnym nadużyciom tamę położyć!

W następną rocznicę Konstytucji 3. maja szkoły galicyjskie muszą być zamknięte!

Leon Fuk.

Rozbieżność w działaniu naszych towarzystw.

Nie wszystkie towarzystwa polskie działają. Mało które. Ale te, które coś robią, wyęzają swoje siły tylko na to, aby przeszkodzić drugiemu w robocie. Zwykle tak się dzieje, że jakieś nowe stowarzyszenie o braku najmniejszej wytycznej myśli zawdzięcza powstanie swoje jedynie tylko niezgodzie zarządów albo ambicji członków, niezdolnych podporządkować się duchowej władzy, wypływającej z wolnego wyboru.

I tworzy się nowe ognisko. Nie ognisko — raczej fajerwerk, który natychmiast gaśnie. Wybrany został prezes, zastępca prezesa, sekretarz, zastępca sekretarza, skarbnik, zastępca skarbnika, gospodarz, zastępca gospodarza, bibliotekarz, zastępca bibliotekarza, bufeciarz, zastępca bufeciarza, kilku wydziałowych, kilkunastu zastępców wydziałowych — i pycha polska została nasyconą, cel osiągnięty, nowy potworek układa się do snu i spi. Jeżeli macierz, od której się niesforne dzieciaki poodrywały wykazywała pierwsi jakąś żywotność, to od chwili przełomu pozbawiona części zazwyczaj najruchliwszej, członków najdzielniejszych — usycha, obumiera. Przestaje żyć. Tak więc za jednym zamachem dwa źródła sił narodowych zasypały się, dwie armie, zdolne do boju, wpadły w bezwładność.

I towarzystw coraz więcej — a życia coraz mniej.

Dziwną zaślepione bezmyślnością, przyjmowało społeczeństwo tę towarzystwomanię jako objaw pocieszający, jako znak rozszerzającego się uświadamienia narodowego. I stąd to wszystkie towarzystwa, byle tylko pieczętowały się herbem polskim, osłaniały jakby ogniska obozu powstańczego, jakby zarzewia nieśmiertelnego znicza wolności, przemożną swą opieką ogół galicyjskich patriotów. Na żadne towarzystwo nie wolno było rzucić kamieniem potępienia, nie wolno było dotknąć ostrzem ironii, bo na tych zbutwiałych podpórkach spoczywała całym swoim ciężarem nadzieja lepszych czasów, bo pod tym nienaruszonym baldachimem śniło galicyjskie społeczeństwo o niepodległości Polski.

I tak trwało aż do ostatnich dni.

Az oto nagle, przypadkiem przy sposobności poświęcenia sztandaru w Towarzystwie im. Kilińskiego zebrała się spora garstka przedstawicieli rozmaitych towarzystw i trzymając toastowe kieliszki w dłoniach, spojrzawszy sobie pierwszy raz zupełnie otwarcie w oczy. I wydarł się ze wszystkich prawie piersi wspaniały, pamiętny i błogosławiony okrzyk: „dla Boga! my nic nie robimy!“

Chwała wam, chwała wam, panowie delegaci za to serdeczne wyznanie, za to mocne i szczere uderzenie się w piersi, za ten szloch zału za przemarnowanymi latami!

Przestąpiłście próg cmentarnej ciszy. Przyszłość, leżąc pod grobowym kamieniem gnuśności, przeszłość z bekrwistym obliczem, z przymknietymi na świat oczyma, ze złożonemi w krzyż na piersiach dłońmi — po za wami. Wejdźcie w krainę czynów, wysileni i życia!

Aby jednak rozpocząć nowy okres istnienia, trzeba przedewszystkiem pojąć dokładnie, jak i czem towarzystwa prawnie dozwolone i zatwierdzone mogą się przyczynić do wielkiego dzieła — odbudowania Polski.

Towarzystw powinno być tylko tyle, ile jest oddzielnych zadań odrodzenia narodowego, ile jest warstw społecznych o odrębnych zapatrzeniach, zwyczajach i warunkach życia. Stąd ilość istniejących dzisiaj towarzystw powinna się zmniejszyć przynajmniej o połowę, a natomiast nabrznieć kilkakrotnie większą liczbą członków i energią działania.

To jedno. O wiele ważniejszym warunkiem istotnego pożytku z towarzystw dla sprawy niepodległości jest jednolity kierunek postępowania, jest podział pracy, dokonany w ten sposób, aby jedno towarzystwo nie wchodziło w drogę drugiemu, aby jedno wspierało drugie.

Do tego konieczne jest wzajemne porozumienie się i wybór naczelnego ciała, w którego skład wchodziłoby przedstawiciele wszystkich patriotycznych towarzystw i którego uchwały obowiązywałyby powinny każde z osobna stowarzyszenie.

Aby nie rzucać tylko projektami, aby już raz zakończyć okres pustych frazesów, a rozpocząć okres rzeczywistej pracy, Redakcja „Narodu“, podejmując się przeprowadzić owo porozumienie się w pierwszym rzędzie tu we Lwowie, a potem na prowincyi i w tym celu wyznacza dzień 19. maja, godzinę 8. wieczorem i salę Tow. Kilińskiego na zebranie przedstawicieli wszystkich lwowskich stowarzyszeń, do których wyszły w tych dniach osobne, pisemne zaproszenie.

Dzień próby nadszedł. Przekonamy się, czy społeczeństwo polskie dojrzało już do poważnej wytrwałej i czynnej obrony swoich nieprzedawnionych nigdy praw i swobód!

WIEC

polских kupców i przemysłowców.

Był czas, jak zwykle u nas, bardzo krótki i bardzo wrzaskliwy, kiedy po wszystkich miastach, po wszystkich pismach, po wszystkich sklepach i domach rozbrzmiewało piorunujące hasło: „uprzemysłowienia kraju, popierania wyrobów krajowych!“

A kiedy zineczyły się już roznamiętione gardła i inna nowość ściągnęła wszystkie oczy i serca na siebie, wróciły milczkiem na lady sklepowe pochowane po kątach przez czas burzy obce towary, przybrane już w polskie napisy, szatańsko-kuszące i odrazu zapędziły rubasznym, nieokrzesanym „wyrób krajowy“ w najciemniejsze schowki, gdzie je coraz grubszą warstwą cierpliwy czas zapyla. Zalały się nową falą zagranicznych fabrykatów nasze rynki, falą tem gwałtowniejszą, że przez chwilę w swym zwyczajnym pochodzie powstrzymaną; otwarły się na nowo żyły, złotym krwotokiem wyrzucające ostatek naszych pieniężnych zasobów do zagranicznych krajów; nowozałożone fabryki nasze wałęsały się w coraz szybszym tempie jedna za drugą jak domki z kart stawiane; kupcy i przemysłowcy nasi, ci, którzy całą nadzieję swego dorobku oparli na słomianym zapale i cały swój kapitał utopili w „wyrobach krajowych“, dziś swój jedyny ratunek widzą, — w kiju żebraczym. Nędza, ta straszna zmora galicyjska w oczach rośnie.

Już też chyba nie wiele wiary znajdują zapewnienie tych nadętych, domorośliwych polityków, którzy po kilku okrzykach „dążmy do uprzemysłowienia kraju“ zemdlawszy, starają się teraz w społeczeństwo wmówić, że uda im się u rządu wyjednać różnorodne zasiłki i subwencje na podniesienie galicyjskiego dobrobytu. Po tylu dotkliwych porażkach i upokorzeniach jeszcze wyciąganie ręki po jałmużnę do tych, którzy naszą krewią się pasają!

Nie jest jeszcze położenie nasze tak rozpaczliwe, abyśmy mieli zupełnie zwątpić w ekonomiczne dzwignięcie się naszego kraju, abyśmy nie mogli pokusić się o te dostatki, nadające społeczeństwu niezawisłość i pewność siebie, w które opływają Czesi i Węgrzy. A jak my podziwiamy sprawność, odwagę i przedsiębiorczość tych narodów! Jaką czcigę przejmują nas Madziarzy, którzy pnąc się po szczeblach wytrwale wywalczanych przywilejów, myślą już dziś o własnym tronie.

Czyż my nie moglibyśmy im dorównać, a nawet przewyższyć? Czy i my nie potrafilibyśmy rzucić pod swoje górne plany granitowej podstawy kapitału? Od kogoż to zależy? Tylko od nas samych. Od naszej dzielności, od naszej wytrwałości, od naszej wiary we własne siły.

Przesądem, który należy już raz na zawsze z mózgów ludzkich wykorzenić jest mniemanie, jakoby Polak nie był przedsiębiorczy, jakoby mu brakło praktycznego zmysłu. To kłamstwo! Pojęcie to przyjęło się i utwierdziło w czasach największej gnuśności, rozpusty i pijatyki, w okresie lekkomyślnego życia, który do dziś dnia jeszcze sięga. Oczywiście rzecz, że tam, gdzie zagnieżdżyło się lenistwo i ospałość, tam mowy być nie może o żadnym powodzeniu.

Ale dziś właśnie, kiedy nowi ludzie z nową wiarą wstępują w szranki publicznego działania, kiedy pod uderzeniem ich tytanicznej pięści wszelką małoduszność i gorycz zwątpienia, wszelki przesąd musi się jak próchno w proch rozpadać, kiedy rozpoczyna się doba zuchwałych i wytrwałych, pełnych choćby nawet krwawych ofiar zapasów z tem wszystkiem, co nam dotąd kępowało dusze i dłonie, — dziś nadzieja wyzwolenia się z pod brzemienia nędzy materialnej, nadzieja podniesienia kraju naszego do prawdziwej potęgi finansowej przybiera nie tylko cechę prawdopodobieństwa, ale zupełnej pewności.

Hasło uprzemysłowienia kraju i popierania wyłącznie wyrobów w polskich przyjmujemy jako nieoddzielną część naszego programu.

A ponieważ program ten nie jest martwą literą tylko, to i hasło powyższe nie przebrzmi w rozwiewnych słowach, ale wejdzie odrazu w życie jako obowiązujące prawo, z pod którego żaden Polak pod żadnym warunkiem nie będzie się mógł wyłamać — chyba, że się będzie chciał narazić na utratę czci, na powszechną pogardę, na publiczne napiętnowanie go w naszym piśmie.

Aby wszakże to prawo mogło być z całą ścisłością i bezwzględnością przestrzegane, musi nastąpić jednomyślna zgoda przekonani pomiędzy wytwórcami i kupcami — a publicznością, która pod tym względem posiada okropnie wykrzywione pojęcia. Z drugiej strony rzesza kupców i fabrykantów, nieczem ze sobą nie związana, bezradna i pozostawiona igraszce zmiennego losu, tworzy swym bezładem, niezdrowym współzawodnictwem i fałszywym uprzedzeniem do wszystkiego co swojskie, największą zaporę w rozwoju polskiego przemysłu.

Otóż Redakcja nasza, pragnąc przerzucić most nad przepaścią, dzielącą ogół od kupców

i przemysłowców, pragnąc wreszcie większego skupienia się sił zawodowych ku obronie krajowej wytwórczości — zwołuje ogólny wiec polskich kupców, przemysłowców i rękodzielników na niedzielę 14. maja br. do sali Tow. im. Kilińskiego.

Porządek obrad będzie następujący:

1. „Obowiązki zawodowe wobec obowiązków narodowych“ — krótki wykład redaktora „Narodu“ Leona Fuka.
2. Pomysł zjednoczenia polskich firm i warsztatów.
3. Wnioski i uchwały.

Wiec ten ogłoszony jeszcze będzie afiszami.

DROBNE SPRAWY.

Do naszych czytelników. Wypuszczając pierwszy numer „Narodu“ z pod prasy, oczekujemy szybkiego i donośnego echa ze wszystkich stron i ze wszystkich warstw społeczeństwa. Echo to musi być nam życzliwe, i nie tylko życzliwe — to za mało! — musi być gorące, wydobyte z najtajniejszej głębi ludzkiego łona. I nie tylko echa samego oczekujemy po naszym pierwszym wyzwaniu. Nam nie zależy na oklaskach, ani na powodzeniu, ani na pochwałach. Niech nas biczują, niech nas chłostają, niech nas ranią, byle tylko zmienili życie dotychczasowe! I to jest nasza prośba — nasze najwyższe pragnienie.

Wszyscy doskonale pojmą, jak drogą nam jest w takich okolicznościach każda bratnia dusza, każda przyjazna ręka, każda choćby najskromniejsza pomoc. A pomoc tę przyniesie nam może każdy pod dwójką postacią: pod postacią nowych czytelników i prenumeratorów i pod postacią nowych myśli, ubranych w zwięzłą formę krótkiego artykułu lub rzeczowej wiadomości. Szczególnie o te wiadomości nam chodzi, a zwłaszcza z prowincyi, na którą baczne swoje oko zwrócimy. Ponieważ jedynym naszym punktem oparcia jest sumienie narodowe, które aż nadto dobrze i szczegółowo wie i mówi, jak w danym wypadku szlachetny Polak postąpić powinien, przeto odrzucając od siebie wszelkie suche dogmaty, wszelkie z góry nakreślone programy polityczne, które tylko kępują swobodę ducha, będziemy stać zawsze i twardo na straży obowiązku narodowego, pojętego przez czyste sumienie. I pod tym względem będziemy wprost niemiłosierni. Cokolwiek się obowiązkiem tym sprzeciwi — pod gromami naszymi legnie! Dlatego to o podawanie nam wszystkich „przestępstw narodowych“ prosimy tych, którym przyszość narodu polskiego nie jest obojętna.

Przedewszystkiem jednak pismo nasze musi znaleźć jak najszerze rozpowszechnienie. Aby idea nasza mogła się przyjąć, musi cały, kilkutyśiętny nakład pierwszego numeru ugrząść nie tylko w domach, ale i w sercach naszych rodaków. Prosimy więc gorąco zwolenników naszych o podawanie adresów osób, do których możemy nabyć z pożytkiem wysłać numer okazowy „Narodu“.

Ktoby zapragnął stać się właścicielem karty udziałowej jako założyciel pisma zechce zgłosić się, wprost do naszej Redakcyi.

Poświęcenie sztandaru Tow. im. Kilińskiego. W ostatnią niedzielę kwietniową zakwitnęło w gęstym lesie naszych różnorodnych sztandarów nowe białoczerwone godło jednego z najruchliwszych obecnie towarzystw lwowskich. Na szczycie drzewca, wokoło którego owija się złotem wyszyty obraz Królowej korony polskiej i srebrny orzeł o rozpiętych skrzydłach, stanął Kiliński i dumnie okiem spojrzawszy po dzisiejszej swojej czeladzi. I rzeczywiście może być z uiej dumny. Bo ta garstka ludzi, nie umiejąca osłaniać się szumowiną nadętych frazesów, wypowiadająca swe uczucia tak, jak one same ze szlachetnych piersi się wydzielają, dała dowód w swych porywających mowach, i potężnych hymnach, odśpiewanych u stóp pomnika bohatera, że jest tą zdrową podporą, która, gdy się na niej powstaje Ojczyzna wesprze — to się nie złamie w rozpaczliwym jęku! Oby jak najprędzej nadeszła chwila, w którejbyście, dzielni szermierze idei wyzwolenia, mogli narodowi swemu oddać taką przysługę, jaką oddał wasz duchowy opiekun.

Sztandar podczas nabożeństwa w kościele ormiańskim poświęcił po stosownej przemowie ks. arcybiskup Teodorowicz. Zakończył uroczystość obraz historyczny w pięciu aktach Jana Żalęgi p. t. Kiliński, wystawiony własnymi siłami Towarzystwa w sali „Gwiazdy“.

Zabawa ludowa na kopcu. W niedzielę dnia 7. maja urządziła Tow. im. Kilińskiego, nie odstępując od przyjętego zwyczaju i programu, wielką zabawą ludową, ku uczczeniu konstitucyi 3. maja. Ku uczczeniu! Zdawałoby się to mogło dziwnem: zabawą czcić rocznicę. Ale z dwójki względów usprawiedliwiony jest ten sposób obchodu pamiętnej chwili. Po pierwsze jest to rocznica

wesoła, tak jak w kościele katolickim święto Zmartwychstania; powtórę podczas zabawy, kiedy się serca śmieją, a dusze jak kwiaty pod promieniami słońca otwierają, łatwiejszy przystęp ma do nich poważna i szlachetna myśl, głębiej pada w odrzucone skiby codziennych trosk ziarno idei i prędzej się przyjmuje. Podczas tych wesołych zabaw kilka patryotycznych przemówień daleko silniej utrwala się w pamięci uczestników obchodu, niż niejedno kazanie, rzucone z przejmującej zgrozą ambony. Wieczorem, jak i za lat poprzednich, kopiec Unii lubelskiej owinie się wieniec ognistym na znak, że nie wszystko jeszcze na ziemi polskiej wygasło, nie wszystko pogrążyło się w mrokach zwątpienia i sennej martwoty.

Zapowiadamy jeszcze od siebie, że podczas całego obchodu uwijać się będą żwawo młodzi ludzie, ozdobieni długą, wstęgą czerwono-białobłękitną, na której nagłowku rozpięta będzie biała przepaska z drukowanym napisem „Naród“. Polecamy tych junaków życzliwej pamięci wszystkich uczestników zabawy, zwłaszcza że z ich rąk otrzymać będzie można miłą dla oka i serca polskiego kokardkę i znaną już szeroko broszurę p. t. „Iskry“; dochód z tych drobnotek przeznaczony na cele, do których my dążymy.

W razie nie pogody zabawa odłożoną zostanie do następnej niedzieli.

Zabraniają nam działać — narodowi demokraci! W ukochanym naszym dniu 3. maja, gdy powiew radośniejszych wspomnień podnosi przygniecione go ducha i odsuwa tak szczelnie zawsze na słowo „ofiara“ zamykającą się zatyckę sakiewki, jest we zwyczaju korzystać z chwilowego rozczulenia zwykłych, „zjadaczy chleba“ i utoczyć im nieco nikłowego „nervus rerum“ na cele, które się nie rentują. Korzystając z tego przywileju, wystaliśmy i my swoich apostołów, dawszy im wprzód na drogę stosowne upoważnienie, opatrzone pieczęcią naszej Redakcji. I poszli, niosąc w jednej ręce skonfiskowane broszurki, w drugiej czerwono-białe kokardki. Aliści nagle przytrzymuje ich jakaś sprężysta ręka i przed ich zdumionymi oczyma staje — oh, nie kapral policyjny — ale jeden z panów narodowych demokratów. „Skąd pan ma te kokardki?“ Młodzieniec podaje legitymację. „To nie wystareża, panu nie wolno sprzedawać, na żaden inny cel tylko na szkołę ludową. Niech pan idzie ze mną do redakcji „Słowa Polskiego“ a otrzyma pan stosowne pozwolenie.“ „Ja do takiej redakcji nie chodzę“ — odpowiada rezolutnie młodzian — „jeśli pan chce mieć bliższe wyjaśnienie, na jaki cel my zbieramy, proszę ze mną do redakcji „Narodu“; tam panu wytłumaczę.“ I pociągnął swego napastnika w stronę ul. Ossolińskich. Atoli kiedy pan narodowy demokrat był już w bramie domu pod liczbą 9. zawałał się chwilę i powiedziawszy tylko: ja tu zaraz wrócę (dotąd go jeszcze nie ma — p. R.) zniknął „jak sen jaki“ czarno-żółty. Widocznie przeraził się myślą, że ci „wsieckli rewolucyoniści“ gotowi są jeszcze poprzetrzącać tu i ówdzie lojalne jego kości.

O moi Panowie! Szkoła ludowa — toć to jeszcze nie cała Polska! a wy jeszcze nie rządem w tej Polsce! Wolno wam na to, aby w mózgi chłopskie razem z abecadłem wbijać odrazę do wolności i strach przed brutalną siłą, wyduszać ze społeczeństwa tysiące całe — które jaką drogą potem płyną, Bóg to raczy wiedzieć — to nam, którzy garść wybranych miedziaków przelewać będziemy natychmiast w spiżowe posagi odzyskiwanych praw wolnościowych, zabronić apelu do ofiarności publicznej nie możecie!

ODEZWA.

Wszystkie nasze poprzednie wynurzenia, razem wzięwszy, odświeżyły jasno, omal że nie z drobiazgową dokładnością, myśl i uczucie nasze, cel nasz i drogę, którą do niego z całym zaparciem się zdążać będziemy. Cel nasz wielki musi być dla wszystkich równie świętym — jak dla nas.

Miedzy nami, a ogółem niema żadnej ukrytej przegrody.

Nie odcinamy się murem olimpijskiej powagi i mgłą tajemniczości od reszty społeczeństwa.

Czyny nasze jawne są, przystęp do nas każdemu otwarty.

Ale właśnie dlatego, że u nas niema ani odrobiny podstępny, że u nas niema nic z natury lisiej, żądamy od społeczeństwa swego równie szczerej ufności, równie bezwzględnej wiary. Zaufanie to jest koniecznie potrzebne, jeśli przyszła działalność nasza niema być opatrnie pojęta, jeśli uniknąć chcemy przynoszących zarazę i śmierć duchową — hańbiących podejrzeń.

Wszystkie nasze dotychczasowe niepowodzenia są skutkiem wzajemnego niedowiarstwa, wszystkie nasze nieudane próby — to kłatwa wzajemnej nieufności.

Nasze przedsięwzięcie musi się powieść i dlatego musi być oparte na zupełnej, szczerej prawdzie.

Jednego szczególnież zarzutu nie moglibyśmy na sobie przenieść, ta nas myśl najbardziej przeraża, że nas ktoś posadzić może o osobiste jakieś zamiary, o prywatne cele.

U nas, kiedy dotąd na każdym kroku społeczeństwo doznawało rozczarowań, z każdego czynu wyglądała prywatność, każde zaufanie ogółu wyzyskiwane było podle dla osobistego interesu, dla własnej kariery, tak łatwo o krzywdzące posadzenie, a o zupełną ufność tak już dziś trudno! Ale my, którzy wypowiedzieliśmy walkę na śmierć i życie wszystkiemu, co fałszywe i nieczemne, pokonamy i to uprzedzenie ogółu do nas, zdobędziemy dla swoich zamiarów wiarę całego narodu.

Bo cały naród musi nam iść z pomocą!

Nasze przedsięwzięcie wymaga ogromnych sił i środków materialnych. Siły te i środki musimy przy sobie skupić.

Potrzebne są przede wszystkim — otwarcie mówimy — pieniądze.

Że społeczeństwo polskie pomimo tylu narzekań jest, gdzie chodzi o dobro narodowe, nadzwyczaj ofiarne, to się nie da zaprzeczyć. Gdybyśmy dokładnie zliczyć mogli wszystkie datki, które w ciągu roku płyną na to jedno wezwanie: „cel narodowy“, otrzymalibyśmy tysiące, a kto wie, czy nie i miliony całe. Tylko

musimy z żalem wyznać smutną prawdę: cały ten olbrzymi kapitał, zbierany przez tyle lat, poszedł zupełnie na marne. Nie pozostawił po sobie żadnej widocznej i trwałej pamiątki. Ofiarny grosz sypał się do różnych rąk, do rąk, które się wzajemnie były na różne cele, na cele, które się wzajemnie pokonywały. I oto dlatego te bajońskie sumy poszły na marne, rozwiały się jak mgła bezdeszczowa. A tu taki skwar i posucha na naszej ziemi!

Przekonani więc, że rozbieżność dążeń i rozpraszanie zbieranych funduszy po rozmaitych instytucjach i towarzystwach jest zgubą dla ostatecznego naszego celu: wskrzeszenia niepodległej Polski, występujemy ze śmiałym żądaniem: zjednoczenia wszystkich związków narodowych i składania wszystkich ofiar na jedne ręce.

Wszystko skupić się powinno w „Narodzie“! Wypowiadając wszelako przekonanie, że grosz powinien spływać do jednej kasy, nie poprzestajemy na tem, bo dodajemy: zbieranie składek nie powinno być przywiązane do pewnych tylko uroczystości, do pewnych tylko chwil i miejsc, ono trwać powinno zawsze, nieprzerwanie i wszędzie. Zaprowadzamy więc stały podatek narodowy, o którego wysokości i sposobie prawidłowego ściągania pomówimy niebawem.

Teraz zaś zwracamy się z wezwaniem do społeczeństwa polskiego, aby wszelkie składki oddawano wyłącznie w nasze ręce, aby zaprowadziło w prywatnym swoim życiu najdalej idącą oszczędność i każdy ocalony w ten sposób grosz wrzucało do wsłólnej skarbnicy. A tyle dzisiaj pieniędzy, sił i zdrowia marnuje się na hulankach, w kawiarniach, szynkach i nocnych norach jedynie tylko z pragnienia przyjemnego „zabicia czasu“ tylko dlatego, że się niema w coś szlachetniejszego włożyć duszy, rąk i pieniędzy.

W dzisiejszych czasach zbrodnią jest marnotrawienie każdej wolnej chwili, trwonienie każdego grosza. Niech ci, którzy nie wiedzą, co z czasem swoim zrobić, zwrócą się do nas, my im damy radę, my im wskażemy, na co się dziś pieniądze używać powinno.

Do składek więc i do roboty!

Otwieramy osobną rubrykę, w której co do halerza wykazane będą zebrane pieniądze. Na jaki zaś one pójdą użytek, o tem wyrokować będzie naród cały, którego przedstawiciele wejdą w skład Redakcji „Narodu“.

Na początek wymieniamy kwotę 35 K. 16 groszy, zebraną przez nas w dniu 3. maja.

To pierwszy zawiązek naszej przyszłej potęgi!

Ogłoszenia „Narodu”.

Czwartą stronę naszego pisma poświęcamy ogłoszeniom. Lecz i tu, tak jak na karcie tytułowej, jak w każdym zdaniu, jak w każdym słowie przestrzegać będziemy obowiązku służby narodowej. Dla nas kolumna inseratowa nie będzie kopalnią złota, dla nas nie będzie rzeczą obojętną, z czyich rąk to złoto spływa. Śmieszne są gazety, które w sążnistych artykułach wzywają do popierania przemysłu krajowego, a równocześnie odwrotną stroną zabijają odezwy zagranicznych przedsiębiorców. Wygląda to tak, jakby ktoś ubrał się w polski kontusz, zakończony z tyłu ogonami fraka, albo śpiewając hymn „Z dymem pożarów“, zapiał nagle pruskim gładem: „Kikieriki“!

My nie znamy rozdziału między ideą a praktyką. U nas każda zasada, wypowiedziana słowem, odrazu staje się ciałem, wybija swe pięno na każdym czynie. To też nie pójdziemy

torem dotychczasowych wydawnictw, które po górnolotnych okrzykach, gdy przyjdzie polecić coś do codziennego użytku, kładą grubą linię i napis: „za rubrykę tę redakcja nie odpowiada“. Owszem, my każdą rubrykę obejmujemy swym opiekuńczym okiem. My bierzemy na siebie zupełną odpowiedzialność za firmy, które znajdują się na łamach naszego tygodnika. Jeśliby która z nich sprzeniewierzyła się głównym zasadom naszego materialnego odrodzenia, bądź wywołać pieniądź nasz za granicę, zamiast wnieść go w krajowych wytworach, bądź zobowiązaniom swoim nie uczyniwszy zadość, natychmiast wykreślimy ją z rzędu godnych poparcia przedsiębiorstw. Przestańmy już raz sami siebie oszukiwać!

W pierwszym rzędzie polecamy w imię zasady: „zogniskowania środków“ Drukarnię „pospieszną“, w której się pismo nasze odbija i która

wkrótce zmieni nazwę z „Pospiesznej“ na „Drukarnię Narodu“.

DRUKARNIA TA

zaopatrzyła się świeżo w olbrzymi zapas czcionek najnowszego kroju i może artystycznym wykonaniem zadowolić najwybredniejsze wymagania.

Czytelnicy i przyjaciele nasi!

POWIERZAJCIE ROBOTY TYLKO

DRUKARNI

„NARODU“!

Za komitet wydawniczy: LEON FUK.

Odpowiedzialny za redakcję: JÓZEF BACZYŃSKI.

Drukarnia „Pospieszna“ (Ostruski) we Lwowie, pod zarz. A. Filipowskiego.

Prenumerata wynosi:

rocznie 4 K.
półrocznie 2 „
kwartalnie 1 „

Numer pojedynczy
8 groszy.

Redakcyja i Administracyja
ul. Ossolińskich 1. 9.

NARÓD

którego hasłem:
»walka o niepodległość Polski«.

Ogłoszenia: wiersz petitowy
czterospaltowy lub jego
miejsce 20 groszy.

Listów nieopłaconych Re-
dakcyja nie przyjmuje i re-
kopisów nie zwraca.

Reklamacye wolne są od
opłaty pocztowej.

WYCHODZI W PIĄTEK WIECZOREM.

NACZELNY REDAKTOR: LEON FUK.

S k o n f i s k o w a n o !

S k o n f i s k o w a n o !

Skonfiskowano!

JUTRZENKA SWOBODY!

„Gdy wrócimy do Polski, gdy
ją wyjarzmimy całą z pod obcej
przemocy, natenczas rozwijając
główną myśl ustawy 3. Maja, bę-
dziemy tylko egzekutorami testa-
mentu, którym naród w sejmie
czteroletnim sam siebie reorga-
nizował przed śmiercią.
M. MOCHNACKI.
„O rewol. społecznej w Polsce“.

Witaj! jasny, promienny dniu 3. Maja. Ty
światlista pochodnio przyszłości dla licznych po-
koleń! Pomniku sławy na grobowcu umęczone-
go narodu! Ostoję granitową, o którą się fale
błuznierstw przeciw naszej przeszłości rozbijają!
Witaj jutrenko swobody, chwilo Odrodzenia!

Płyniemy do Ciebie myślą, wspomnieniem
czarowny dniu, lecz czoła nasze w proch się
chylą — w proch pod brzemieniem wstydu
i hańby za wiekową martwość, za to, żeśmy nie
czuli dumy, chyba wobec biedy, „którąśmy peł-
nym brzuchem beczelników potracali“, za to,
żeśmy waszym myśłom, wielcy twórcy wieko-
pomnej Ustawy Majowej, — rozwiąć się pozwolili
i za to, żeśmy dziś jeszcze niewolnikami!

Pamiętamy przewodnie idee dzieła 3. Maja:
„Równość, Wolność, Niepodległość“! Lecz wo-
bec rzeczywistości, czyż nie jest ironią mówić
o równości stanów — dziś, kiedy nienawiść kla-
sowa tak rośnie, że rozpiera i łamie solidarność
narodową, że szlachta, potomkowie autorów kon-
stytucyi 3. Maja broni ludowi dostępu do świa-
tła, do praw politycznych na wspólny z rządem
zaborczym? Czyż nie jest hańbą, że są dziś je-
szcze przewodnicy narodu, co nie pojęli myśli sej-
mu czteroletniego, że nie mniejszość, ale wię-
kszość powinna być narodem? Czyż nie jest
zbrodnią, że prawdą są słowa poety:

„lud Twój, Panie, co wicherzy spodem,
jeszcze się dotąd nie nazwał narodem“.

Nikczemni, skartowaciele potomkowie wiel-
kich ojców! głuście swoje sumienia kapelami
narodowymi i bezczęście waszą obłudą pamięć
chwili wielkiej i wzniosłej. Wdziewacie kontusze,
by je potem zamienić na strój niewolników
i wznosić okrzyki na cześć tego, co wam wydarł:
Wolność i Niepodległość. Nie pamiętacie o tem?
A przecież sejm czteroletni wszystkie swoje
prace i uchwały do tych dwóch celów kierował!
Wszak rewizya konstytucyi co 25 lat, uchwalona
przez sejm, zmierzała do postępowego rozsze-
rzenia wolności obywatelskiej, a uchwalenie armii
stutysięcznej zapowiadało stanowczą walkę
z najeźdźcami. Jeśli więc mamy być „egzekuto-
rami“ dzieła 3. Maja, nie wolno nam tracić z oka
ani na chwilę tego najpierwszego i najniezbę-
dniejszego celu — zupełnej Niepodległości
Narodu.

Nie łudźmy się więc dziś obietnicami,
a nawet rzeczywistymi „reformami“, bo jakąż
one mieć mogą wartość, jeśli ich wykonawcą
i stróżem mają zostać rządy obce — rządy bar-
barzyńskie?!

Lecz dziś ci, co dzierżą narodowy kadu-
ceus otrąbiają po całej Polsce politykę przynale-

zności do państw zaborczych! I stała się niezwykła rzecz. Oto ci ludzie pierwsi od początku naszej niewoli w imieniu narodu dali aprobatę rozbiorem!

„Zmartwychwstaje się z pod gromu
Lecz nie zmartwychwstaje się z pod sromu“.

Rumieniec wstydu musi oblać każdego, kto nie stracił sumienia i godności narodowej. Każdy Polak, nie godzący się na niewolę, a nie pozbawiony odwagi obywatelskiej, musi dziś, zawołać: „świętości szargać nie wolno“, musi stanąć do walki z małodusznością i tchórzostwem, które podłość nazywa „rozumem politycznym“. Dziś w święto Odrodzenia naszego Narodu musimy sobie powiedzieć, że obecny stan społeczny i polityczny naszego Narodu jest dla nas hańbą i klęską, że wyzysk i niewola Narodu nie może dalej istnieć, że my nie chcemy przynależać nie tylko do Rosji, ale do Prus i Austrii.

Kazimierz Wójcicki.

1. Maj i 3. Maj.

Dzień tylko jeden dzieli te dwie największe chwile w roku. A jednak jaka pomiędzy niemi przepaść!

Naprzeciw siebie stanęły dwie potężne zamierami idee, dwie rywalki, które spierają się ze sobą o panowanie nad światem.

W około nich pustka. Uciły spory religijne; religia nikogo dziś do czynów zapalić nie jest zdolna. Żadna inna teoria, których liczyć można na setki, pragnąca dać wytraconej z równowagi ludzkości stały punkt oparcia, nie doszła ani do kostek tym dwom o żywiołowej mocy zasadom, z których jedna głosi idee wszechbraterstwa, a druga ideę odrębności narodowej.

Do nich należy przyszłość świata. Tylko zachodzi właśnie pytanie: do której z nich? Bo obie równocześnie rządzić nie mogą. Jedna zwyciężyć musi. Ta, która padnie, wykaże całą niemożliwość ludzkich wysiłków, które nie wiążą się z życiem rzeczywistym, które nie wypływają bezpośrednio z natury. Ta, która zwycięży, udowodni swą nieśmiertelną wartość i wskaże prawdziwy kierunek postępu ludzkości. Przedstawicielką jednej zasady jest międzynarodowa socjalna demokracja, przedstawicielką drugiej — Polska.

Ale już dziś, chociaż wynik walki tej nie jest pewny, możemy stwierdzić z całą stanowczością, po czyjej stronie leży istotna przewaga.

Idea wszechbraterstwa nie jest nowa. Miała ona wielu apostołów od początku dziejowego istnienia ludzkości. Najdobitniej i najdoskonalej wyraził ją w swej nauce Chrystus, który zniósł wszelką różnicę pomiędzy narodami, który zrównać chciał i zlać w jedną rodzinę wszystkie plemiona. Sięgnął on o wiele głębiej w naturę człowieczą, niż Marks, twórca naukowego socjalizmu. Bo swoją teorię związał ściśle z wiarą w Boga, przed którym drży mimowolnie każde serce choćby największego niedowiarka. Prócz tego z wysokości, na którą on się wzbął, znika wszelki przedział między stanami, wyrównują się wszelkie stopnie warstw społecznych. Bogacz nędzarz, król i kmiotek stoją wobec jego olbrzymiej, boskiej postaci na jednym poziomie. On pod ramiona swoje, rozpięte na krzyżu, zgarnął wszystkich ludzi.

W inną stronę i to o wiele słabszą, uderzył socjalizm. Socjalizm wyciął z całego ciała ludzkości jedną tylko część, co prawda najważniejszą, najbardziej zaniedbaną i wziął ją w swą opiekę. On chce ją uleczyć i podnieść — i to estetyczną chwalebna i godna poparcia dążność. Ale on się na tem nie ogranicza; on usiłuje tę częśćkę drobną i bądź co bądź nie najważniejszą, rozdać do rozmiarów całego ciała, wykarmić ją sokami całego organizmu i zastąpić, przysięgając, że wybudują naraść wszystkie inne członki delikatniejsze, bardziej wyrobione, a temsamem potrzebniejsze do rozwoju społeczeństw. I to jest dążność chorobliwa, grożąca zwyrodnieniem ludzkości, dążność, którą bezwzględnie zwalczać należy. W tem tkwi zarodek śmierci przechodzącego obecnie w wieku dzieciństwa do wieku dojrzałego — socjalizmu.

Ale nie koniec na tem. Inny cios, o wiele niebezpieczniejszy i szybszy czyha na życie wszechbraterstwa. Jak Chrystus stanął na fundamencie nieśmiertelnej idei i ku tym wyżynom ciągnął wszystko, co znikome, tak socjalizm odwrotnie, przeniósł punkt zaczepienia na to, co najbardziej przemijające i nietrwałe: na dobrobyt materialny i tą siłą chce prowadzić ludzkość do szczęścia. Chrystus zapalił wysoko na niebie ideałów ogniste, nigdy nie doścignione słońce, które wszyscy i zawsze widzą, — socjalizm w mrokach dziejowych zapalił latarkę, którą zamiast umieścić w dali, dał ją tłumowi do ręki. Latarka nie tylko że nie rozświeca ciemnej drogi postępu, ale jeszcze bardziej oślepia i tak już ślepe tłumy. Jeśli więc Chrystus, mając o tyle większą moc, zawarł już w samej swojej nauce, nie zdołał urzeczywistnić tej mrzonki: zespolenia wszyst-

kich ludów w jedną, niczem się nie wyróżniającą rodzinę, — kosmopolityzm bowiem istnieje tylko w hierarchii kościelnej, ale nigdy w całych narodach katolickich — to o ile mniejszą powinni się socjaliści chęć nadzieję, że oni to marzenie ucieleśnią.

Jak zwodnicze to światło — przyszłość niewątpliwie wykaże. Niech tylko uciśnione klasy otrzymają te prawa, te swobody, te środki do życia, które im się słusznie należą, cała potęga i wspaniałość marksowskiego gmachu runie odrazu w gruzy.

Socjalizm więc jest tylko przejściowym okresem, jest tylko wykwiłtą z chwilowych stosunków i potrzeb roślinką, odurzającą obecnie swym jaskrawym kwiatem przechodzącą do lepszych czasów rzesze, ale nie jest drogowskazem, wiodącym ludzkość do szczęścia.

Tym drogowskazem jest idea polska.

Ostatni wiek, skąpany we krwi rewolucyj francuskiej, zdobył dla obecnego pokolenia bardzo ważne twierdze, do których ludy i lata całe, pogrążone w ciemności i niewolnictwie napróżno szturmowały. Tą zdobyczą jest: wolność sumienia i przekonania, wolność słowa i druku, wolność pracy i zawodów, prawo głosowania i wyboru ciał rządzących, konstytucja. Świat pochylili czoło przed człowiekiem, jako odrębną jednostką, uznali jego indywidualność.

Ale na tem postęp ludzkości się nie skończył. Nowe, jeszcze wznioślejsze hasło, jeszcze wyższa idea wysuwa się naprzód z pośród wielu drobniejszych hasła i dążeń.

Tą ideą jest indywidualność narodów.

Tak jak jeden człowiek odróżnia się od drugiego tą lub ową cechą charakteru, tą lub ową zdolnością czy skłonnością, tak i plemiona całe mają swoje odrębne cechy, zwyczaje, usposobienia i uczucia, które razem wzięwszy, tworzą charakter narodowy. Tę odrębność, indywidualność narodów musi świat tak samo uznać i prawami ubezpieczyć, jak ubezpieczył indywidualność człowieka.

Każdy naród, każde plemię, choćby najdrobniejsze, musi zdobyć zupełną samodzielność, musi otrzymać takie warunki bytu, w których się może swobodnie rozwijać i żyć tak, jak mu natura jego nakazuje. Kto bystrzejszym okiem w przyszłość patrzy, ten widzi ludzkość całą zespoloną i szczęśliwą. Tak, — ale to zjednoczenie nie przeprowadzi się z góry narzuconym programem, do czego dąży socjalna demokracja, nie będzie panowaniem jednej warstwy nad drugą, jednej części tylko nad całością, ale będzie dobrowolną zgodą wszystkich ludów, będzie konstytucją świata.

Wskazówka, że połączenie takie jest nie tylko możliwe, ale i konieczne, że do niego dążyć bezwiednie i poszczególni ludzie i całe społeczeństwa, jest Napoleon. Tylko Napoleon upadł, bo łączył ludy w imię swej pychy, a nie w imię ich uszczęśliwienia, bo on jedną nogą posunął się w nieodgadniętą przyszłość, w wolność ludzkości, a drugą cofnął się w zamierzchłą przeszłość — w czasy despotyzmu jednostki. Nie jeden człowiek będzie rozporządzał losami świata, ale zgromadzenie wysłanników wszystkich ludów, grono najgodniejszych synów każdej niepodległej ojczyzny. W państwie, gdzie każdy naród będzie się mógł swobodnie rozwijać, uzyska każda jednostka jeszcze większe prawa i większą wolność, niż to jest w dzisiejszych warunkach możliwe. Wówczas zniknie nędza materialna, na której socjalizm dzisiejszy wygrywa żalosne swoje treny; góry złota, które pochłania dziś wojsko i wojna, obrócone będą na wypełnienie nierówności w stanie posiadania, na zapewnienie ogólnego dobrobytu. Armie będą zupełnie zbędne, wojna będzie niemożliwą, bo na złodziejskie zabory, na uszczuplenie praw narodowych, nie pozwoli świadoma swego szczęścia i zgody ludzkość. To jest owo dalekie słońce, które nam w dzisiejszym działaniu przyświeca i do którego zbliżamy się każdym naszym czynem, choćby on był napozór nieznaczny i zasklepiony tylko w miłości własnej Ojczyzny.

Wierzmy bowiem silnie, że praca nasza oparta jest na nieśmiertelnej idei, że przeznaczeniem Polski jest nadać światu nowe prawa i stanąć na czele ludów, które z pod wstrętnego jarzma niewoli wywieść ma własnym przykładem i czynną pomocą. Przez własną wolność do ludów wolności — przez własne szczęście do szczęścia ludzkości!

I oto na jakiej podstawie twierdzimy, że dzień 3. maja, to wielkie święto odrodzenia narodowego, jest dniem ważniejszym od dnia 1. maja, że idea, wyrażająca się trzecim maja, przerośnie, pokona i zniszczy ideę, wyrażoną dniem pierwszego maja.

Wszelako z postępowania tych, którzy skupiają się pod tymi dwoma przeciwnymi sztandarami, słusznieby wnosić można, że zwycięstwo przechyli się na stronę czerwonego sztandaru. Tam czujność — u nas sen; tam siła — u nas niemoc; tam jedność — u nas rozstrój; tam czyn — u nas słowa; tam walka — u nas bierność.

Tak jest, przyznać musimy, że daleko, daleko pozostaliśmy w tyle za naszymi rywalami. I to nas właśnie najmocniej boli, to nam goryczą zalewa serca, to nam kładzie w usta grom potępienia na tych ludzi, którzy tłumia szlachetne porywy, na te pisma, które gaszą zapal i rodzą zwątpienie, na te stronnictwa, które hołdują zasadzie: *ibi patria, ubi bene*, tam Ojczyzna, gdzie — brzuch pełny! Zdrajcy! Leon Fuk.

Święta narodowe w szkołach.

Czczyć jawnie i wszędzie, choćby wbrew zakazom i prześladowaniom to, co sercu drogie, co według przekonania godne hołdu i uwielbienia, — to cecha charakterów silnych i szlachetnych. I odwrotnie. Kłaniać się bożkom, do których człowiek wstręt czuje, i śpiewać bałwochwalcze hymny na cześć ludzi, którymi się z całej głębi gardzić powinno i to wszystko czynić tylko z obawy grózb i kar — to znamię dusz słabych i nikczemnych.

Nasze stosunki dają nam co krok sposobność do oceny charakteru każdego Polaka. Bo na każdym kroku przemoc zmusza nas do oddania sobie niewolniczego hołdu. Czy śpiewem, czy słowem, czy piśmem, czy czynem wreszcie podłym możemy się wszędzie i w każdej chwili podchlebić, przyląścić obcemu panowaniu, które nas za to nagradza — judaszowymi srebrnikami.

A wiecie wy, Czytelnicy, jaką tacy ludzie o miedzianych czołach znaleźli wymówkę na swoją hańbę, choć ich nikt o to nie pyta? Powiadają: żyć trzeba; popęd do życia mocniejszy jest od ideałów, od cnoty, od honoru.

Głupcy! Czyż to oni nie wiedzą, że życie tam tylko jest, gdzie jest siła i zdrowie, a zdrowie i siła tam tylko, gdzie szlachetność, że śmierć i zatracenie tam, gdzie podłość?

Lecz nie tylko ludzie na rządowych stanowiskach, nie tylko starsi, którym odwagę odbierają potem ciekące zapasy o chleb codzienny, pokłon czynią bałwanowi przemocy. Na to straszne niebezpieczeństwo narażone są od najmłodszych lat dzieci, młodzież nasza. I to gdzie najbardziej? Oto tam, gdzie się powinny wykładać granitowe charaktery, skąd wychodzić powinny nie złamane, pokrzywione karły, bezwolni słudzy despotyzmu, ale samodzielni pracownicy, orły o nadobłocznych skrzydłach i stalowych dziobach. Tam — w szkole.

S k o n f i s k o w a n o !

Rozbieżność w działaniu naszych towarzystw.

Nie wszystkie towarzystwa polskie działają. Mało które. Ale te, które coś robią, wyczerpują swoje siły tylko na to, aby przeszkodzić drugiemu w robocie. Zwykle tak się dzieje, że jakieś nowe stowarzyszenie o braku najmniejszej wytycznej myśli zawdzięcza powstanie swoje jedynie tylko niezgodzie zarządów albo ambicji członków, niezdolnych podporządkować się duchowej władzy, wypływającej z wolnego wyboru.

I tworzy się nowe ognisko. Nie ognisko — raczej fajerwerk, który natychmiast gaśnie. Wybrany został prezes, zastępca prezesa, sekretarz, zastępca sekretarza, skarbnik, zastępca skarbnika, gospodarz, zastępca gospodarza, bibliotekarz, zastępca bibliotekarza, bufeciarz, zastępca bufeciarza, kilku wydziałowych, kilkunastu zastępców wydziałowych — i pycha polska została nasyconą, cel osiągnięty, nowy potworek układa się do snu i spi. Jeżeli macierz, od której się niesforne dzieciaki poodrywały wykazywała pierwsi jakąś żywotność, to od chwili przełomu pozbawiona części zazwyczaj najruchliwszej, członków najdzielniejszych — usycha, obumiera. Przestaje żyć. Tak więc za jednym zamachem dwa źródła sił narodowych zasypały się, dwie armie, zdolne do boju, wpadły w bezwiadność.

I towarzystw coraz więcej — a życia coraz mniej.

Dziwną zaślepione bezmyślnością, przyjmowało społeczeństwo tę towarzystwomanię jako objaw pocieszający, jako znak rozszerzającego się uświadomienia narodowego. I stąd to wszystkie towarzystwa, byle tylko pieczętowały się herbem polskim, osłaniały jakby ogniska obozu powstańczego, jakby zarzewia nieśmiertelnego znicza wolności, przemożną swą opieką ogół galicyjskich patriotów. Na żadne towarzystwo nie wolno było rzucić kamieniem potępienia, nie wolno było dotknąć ostrzem ironii, bo na tych zbutwiałych podpórkach spoczywała całym swoim ciężarem nadzieja lepszych czasów, bo pod tym nienaruszonym baldachimem sniło galicyjskie społeczeństwo o niepodległości Polski.

I tak trwało aż do ostatnich dni.

Aż oto nagle, przypadkiem, przy sposobności poświęcenia sztandaru w Towarzystwie im. Kilińskiego zebrała się spora garstka przedstawicieli rozmaitych towarzystw i trzymając toastowe kieliszki w dłoniach, spojrzawszy sobie pierwszy raz zupełnie otwarcie w oczy. I wydarł się ze wszystkich prawie piersi wspaniały, pamiętny i błogosławiony okrzyk: „dla Boga! my nic nie robimy!”

Chwała wam, chwała wam, panowie delegaci za to serdeczne wyznanie, za to mocne i szczere uderzenie się w piersi, za ten szloch żalu za przemarnowanymi latami!

Przestąpiliście próg cmentarnej ciszy. Przeszłość, leżąca pod grobowym kamieniem gnuśności, przeszłość z bezkrwistym obliczem, z przymkniętymi na świat oczyma, ze złożonymi w krzyż na piersiach dłońmi — po za wami. Wejdźcie w krainę czynów, wysiłek i życia!

Aby jednak rozpocząć nowy okres istnienia, trzeba przedewszystkiem pojąć dokładnie, jak i czem towarzystwa prawnie dozwolone i zatwierdzone mogą się przyczynić do wielkiego dzieła — odbudowania Polski.

Towarzystw powinno być tylko tyle, ile jest oddzielnych zadań odrodzenia narodowego, ile jest warstw społecznych o odrębnych zapotrzebowaniach, zwyczajach i warunkach życia. Stąd ilość istniejących dzisiaj towarzystw powinna się zmniejszyć przynajmniej o połowę, a natomiast nabrzmieć kilkakrotnie większą liczbą członków i energią działania.

To jedno. O wiele ważniejszym warunkiem istotnego pożytku z towarzystw dla sprawy niepodległości jest jednolity kierunek postępowania, jest podział pracy, dokonany w ten sposób, aby jedno towarzystwo nie wchodziło w drogę drugiemu, aby jedno wspierało drugie.

Do tego konieczne jest wzajemne porozumienie się i wybór naczelnego ciała, w którego skład wchodziłoby przedstawiciele wszystkich patriotycznych towarzystw i którego uchwały obowiązywałyby powinny każde z osobna stowarzyszenie.

Aby nie rzucać tylko projektami, aby już raz zakończyć okres pustych frazesów, a rozpocząć okres rzeczywistej pracy, Redakcja „Narodu”, podejmuje się przeprowadzić owo porozumienie się w pierwszym rzędzie tu we Lwowie, a potem na prowincyi i w tym celu wyznacza dzień 19. maja, godzinę 8. wieczorem i salę Tow. Kilińskiego na zebranie przedstawicieli wszystkich lwowskich stowarzyszeń, do których wyszły w tych dniach osobne, pisemne zaproszenia.

Dzień próby nadszedł. Przekonamy się, czy społeczeństwo polskie dojrzało już do poważnej wytrwałej i czynnej obrony swoich nieprzedawnionych nigdy praw i swobód!

WIEC

polskich kupców i przemysłowców.

Był czas, jak zwykle u nas, bardzo krótki i bardzo wrzaskliwy, kiedy po wszystkich miastach, po wszystkich pismach, po wszystkich sklepach i domach rozbrzmiewało piorunujące hasło: „uprzemysłowienia kraju, popierania wyrobów krajowych!”

A kiedy zmęczyły się już roznamietnione gardła i inna nowość ściągnęła wszystkie oczy i serca na siebie, wrócił milczkiem na lady sklepowe pochowane po kątach przez czas burzy obce towary, przybrane już w polskie napisy, szatańsko-kuszące i odrazu zapędziły rubaszny, nieokrzesany „wyrób krajowy” w najciemniejsze schowki, gdzie je coraz grubszą warstwą cierpliwych czas zapyla. Zalały się nową falą zagranicznych fabrykatów nasze rynki, falą tem gwałtowniejszą, że przez chwilę w swym zwyczajnym pochodzie powstrzymaną; otwarły się na nowo żyły, złotym krwotokiem wyrzucające ostatek naszych pieniężnych zasobów do zagranicznych krajów; nowozałożone fabryki nasze walały się w coraz szybszym tempie jedna za drugą jak domki z kart stawiane; kupcy i przemysłowcy nasi, ci, którzy całą nadzieję swego dorobku oparli na słomianym zapale i cały swój kapitał utopili w „wyrobach krajowych”, dziś swój jedyny ratunek widzą, — w kiju żebraczym. Nędza, ta straszna zmora galicyjska w oczach rośnie.

Już też chyba nie wiele wiary znajdują zapewnienia tych nadętych, domorosłych polityków, którzy po kilku okrzykach „dążmy do uprzemysłowienia kraju” zemdlawszy, starają się teraz w społeczeństwo wmówić, że uda im się w rząd wyjednać różnorodne zasiłki i subwencje na podniesienie galicyjskiego dobrobytu. Po tylu dotkliwych porażkach i upokorzeniach jeszcze wyciąganie ręki po jałmużnę do tych, którzy naszą krwią się pasą!

Nie jest jeszcze położenie nasze tak rozpaczliwe, abyśmy mieli zupełnie zwątpić w ekonomiczne dzwignięcie się naszego kraju, abyśmy nie mogli pokusić się o te dostatki, nadające społeczeństwu niezawisłość i pewność siebie, w które opływają Czesi i Węgrzy. A jak my podziwiamy sprawność, odwagę i przedsiębiorczość tych narodów! Jaką czcigę przejmują nas Madziarzy, którzy pnąc się po szczyblach wytrwale wywalczanych przywilejów, myślą już dziś o własnym tronie.

Czyż my nie moglibyśmy im dorównać, a nawet przewyższyć? Czy i my nie potrafilibyśmy rzucić pod swoje górne plany granitowej podstawy kapitału? Od kogoż to zależy? Tylko od nas samych. Od naszej dzielności, od naszej wytrwałości, od naszej wiary we własne siły.

Przesądem, który należy już raz na zawsze z mózgów ludzkich wykorzenić jest mniemanie, jakoby Polak nie był przedsiębiorczy, jakoby mu brakło praktycznego zmysłu. To kłamstwo! Pojęcie to przyjęło się i utwierdziło w czasach największej gnuśności, rozpusty i pijatyki, w okresie lekkomyślnego życia, który do dziś dnia jeszcze sięga. Oczywiście rzecz, że tam, gdzie zagnieździło się lenistwo i ospałość, tam mowy być nie może o żadnym powodzeniu.

Ale dziś właśnie, kiedy nowi ludzie z nową wiarą wstępują w szranki publicznego działania, kiedy pod uderzeniem ich tytanicznej pięści wszelka małoduszność i gorycz zwątpienia, wszelki przesąd musi się jak próchno w proch rozsypać, kiedy rozpoczyna się doba zuchwałych i wytrwałych, pełnych choćby nawet krwawych ofiar zapasów z tem wszystkiem, co nam dotąd krępowało dusze i dłonie, — dziś nadzieja wyzwolenia się z pod brzemienia nędzy materialnej, nadzieja podniesienia kraju naszego do prawdziwej potęgi finansowej przybiera nie tylko cechę prawdopodobieństwa, ale zupełnej pewności.

Hasło uprzemysłowienia kraju i popierania wyłącznie wyrobów swoich przyjmujemy jako nieoddzielną część naszego programu.

A ponieważ program ten nie jest martwą literą tylko, to i hasło powyższe nie przebrzmi w rozwiewnych słowach, ale wejdzie odrazu w życie jako obowiązująca prawda, z pod którego żaden Polak pod żadnym warunkiem nie będzie się mógł wyłamać — chyba, że się będzie chciał narazić na utratę czci, na powszechną pogardę, na publiczne napiętnowanie go w naszym piśmie.

Aby wszakże to prawo mogło być z całą ścisłością i bezwzględnością przestrzegane, musi nastąpić jednomyślna zgoda przekonanych pomiędzy wytwórcami i kupcami — a publicznością, która pod tym względem posiada okropnie wykrzywione pojęcia. Z drugiej strony rzesza kupców i fabrykantów, niczem ze sobą nie związana, bezradna i pozostawiona igraszcze zmiennego losu, tworzy swym bezładem, niezdrowym współzawodnictwem i fałszywym uprzedzeniem do wszystkiego co swoje, największą zaporę w rozwoju polskiego przemysłu.

Otóż Redakcja nasza, pragnąc przerzucić most nad przepaścią, dzielącą ogół od kupców

i przemysłowców, pragnąc wreszcie większego skupienia się sił zawodowych ku obronie krajowej wytwórczości — zwołuje ogólny wiec polskich kupców, przemysłowców i rękodzielników na niedzielę 14. maja br. do sali Tow. im. Kilińskiego.

Porządek obrad będzie następujący:

1. „Obowiązki zawodowe wobec obowiązków narodowych” — krótki wykład redaktora „Narodu” Leona Fuka.

2. Pomysł zjednoczenia polskich firm i warsztatów.

3. Wnioski i uchwały.

Wiec ten ogłoszony jeszcze będzie afiszami.

DROBNE SPRAWY.

Do naszych czytelników. Wypuszczając pierwszy numer „Narodu” z pod prasy, oczekujemy szybkiego i donośnego echa ze wszystkich stron i ze wszystkich warstw społeczeństwa. Echo to musi być nam życzliwe, i nie tylko życzliwe — to za mało! — musi być gorące, wydobyte z najtajniejszej głębi ludzkiego łona. I nie tylko echa samego oczekujemy po naszym pierwszym wyzwaniu. Nam nie zależy na oklaskach, ani na powodzeniu, ani na pochwałach. Niech nas biczują, niech nas chłostają, niech nas ranią, byle tylko zmienili życie dotychczasowe! I to jest nasza prośba, nasze najwyższe pragnienie.

Wszyscy doskonale pojmą, jak drogą nam jest w takich okolicznościach każda bratnia dusza, każda przyjazna ręka, każda choćby najmniejsza pomoc. A pomoc tę przynieść nam może każdy pod dwójką postacią: pod postacią nowych czytelników i prenumeratorów i pod postacią nowych myśli, ubranych w zwiewną formę krótkiego artykułu lub rzeczowej wiadomości. Szczególnie o te wiadomości nam chodzi, a zwłaszcza z prowincyi, na którą baczne swoje oko zwrócimy. Ponieważ jedynym naszym punktem oparcia jest sumienie narodowe, które aż nadto dobrze i szczegółowo wie i mówi, jak w danym wypadku szlachetny Polak postąpić powinien, przeto odrzucając od siebie wszelkie sucho dogmaty, wszelkie z góry nakreślone programy polityczne, które tylko krępują swobodę ducha, będziemy stać zawsze i twardo na straży obowiązku narodowego, pojętego przez czyste sumienie. I pod tym względem będziemy wprost niemiłosierni. Cokolwiek się obowiązkiem tym sprzeciwi — pod gromami naszymi legnie! Dlatego to o podawanie nam wszystkich „przestępstw narodowych” prosimy tych, którym przyszłość narodu polskiego nie jest obojętna.

Przedewszystkiem jednak pismo nasze musi znaleźć jak najszerze rozpowszechnienie. Aby idea nasza mogła się przyjąć, musi cały, kilkutyśięczny nakład pierwszego numeru ugrząść nie tylko w domach, ale i w sercach naszych rodaków. Prosimy więc gorąco zwolenników naszych o podawanie adresów osób, do których możnaby z pożytkiem wysłać numer okazowy „Narodu”.

Ktoby zapragnął stać się właścicielem karty udziałowej jako założyciel pisma, zechce zgłosić się wprost do naszej Redakcyi.

Poświęcenie sztandaru Tow. im. Kilińskiego. W ostatnią niedzielę kwietniową zakwitnęło w gęstym lesie naszych różnorodnych sztandarów nowe białoczerwone godło jednego z najruchliwszych obecnie towarzystw lwowskich. Na szczycie drzewca, wokoło którego owija się złotem wyszyty obraz Królowej korony polskiej i srebrny orzeł o rozpiętych skrzydłach, stanął Kiliński i dumnie okiem spojrzął po dzisiejszej swojej czeladzi. I rzeczywiście może być z niej dumny. Bo ta garstka ludzi, nie umiająca osłaniać się szumowiną nadętych frazesów, wypowiadająca swe uczucia tak, jak one same ze szlachetnych piersi się wydzierają, dała dowód w swych porywających mowach, i potężnych hymnach, odśpiewanych u stóp pomnika bohatera, że jest tą zdrową podporą, która, gdy się na niej powstająca Ojczyzna wesprze — to się nie złamie w rozpaczliwym jęku! Oby jak najprędzej nadeszła chwila, w którejbyście, dzielni szermierze idei wyzwolenia, mogli narodowi swemu oddać taką przysługę, jaką oddał wasz duchowy opiekun.

Sztandar podczas nabożeństwa w kościele ormiańskim poświęcił po stosownej przemowie ks. arcybiskup Teodorowicz. Zakończył uroczystość obraz historyczny w pięciu aktach Jana Żałęgi p. t. Kiliński, wystawiony własnymi siłami Towarzystwa w sali „Gwiazdy”.

Zabawa ludowa na kopcu. W niedzielę dnia 7. maja urządza Tow. im. Kilińskiego, nie odstępując od przyjętego zwyczaju i programu, wielką zabawą ludową, ku uczczeniu konstytucyi 3. maja. Ku uczczeniu! Zdawałoby się to mogło dziwnem: zabawą czcić rocznice. Ale z dwójki względów usprawiedliwiony jest ten sposób obchodu pamiętnej chwili. Po pierwsze jest to rocznica

wesoła, tak jak w kościele katolickim święto Zmartwychstania; powtóre podczas zabawy, kiedy się serca śmieją, a dusze jak kwiaty pod promieniami słońca otwierają, łatwiejszy przystęp ma do nich poważna i szlachetna myśl, głębiej pada w odrzucone skiby codziennych trosk ziarno idei i prędzej się przyjmuje. Podczas tych wesołych zabaw kilka patryotycznych przemówień daleko silniej utrwali się w pamięci uczestników obchodu, niż niejedno kazanie, rzucone z przejmującej zgrozą ambony. Wieczorem, jak i za lat poprzednich, kopie Unii lubelskiej owinie się wieńcem ognistym na znak, że nie wszystko jeszcze na ziemi polskiej wygasło, nie wszystko pograżyło się w mrokach zwątpienia i sennej martwoty.

Zapowiadamy jeszcze od siebie, że podczas całego obchodu uwijać się będą żwawo młodzi ludzie, ozdobieni długą wstęgą czerwono-białobłękitną, na której nagłówku rozpięta będzie biała przepaska z drukowanym napisem „Naród“. Polecamy tych junaków życzliwej pamięci wszystkich uczestników zabawy, zwłaszcza że z ich rąk otrzymać będzie można miłą dla oka i serca polskiego kokardkę i znaną już szeroko broszurę p. t. „Iskry“; dochód z tych drobnostek przeznaczony na cele, do których my dążymy.

W razie niepogody zabawa odłożoną zostanie do następnej niedzieli.

Zabraniają nam działać — narodowi demokraci! W ukochanym naszym dniu 3. maja, gdy powiew radośniejszych wspomnień podnosi przygniecionego ducha i odsuwa tak szczerze zawsze na słowo „ofiara“ zamykającą się zatyczkę sakiewki, jest we zwyczaju korzystać z chwilowego rozczulenia zwykłych, „zjadaczy chleba“ i utoczyć im nieco nikłowego „nervus rerum“ na cele, które się nie rentują. Korzystając z tego przywileju, wystaliśmy i my swoich apostołów, dawszy im wprzód na drogę stosowne upoważnienie, opatrzone pieczęcią naszej Redakcyi. I poszli, niosąc w jednej ręce skonfiskowane broszurki, w drugiej czerwono-białe kokardki. Alieci nagle przytrzymuje ich jakaś sprężysta ręka i przed ich zdumionymi oczyma staje — oh, nie kapral policyjny — ale jeden z panów narodowych demokratów. „Skąd pan ma te kokardki?“ Młodzieniec podaje legitymację. „To nie wystarcza, panu nie wolno sprzedawać, na żaden inny cel, tylko na szkołę ludową. Niech pan idzie ze mną do redakcyi „Słowa Polskiego“ a otrzyma pan stosowne pozwolenie“. „Ja do takiej redakcyi nie chodzę“ — odpowiada rezolutnie młodzian — „jeśli pan chce mieć bliższe wyjaśnienie, na jaki cel my zbieramy, proszę ze mną do redakcyi „Narodu“; tam panu wytłumaczę“. I pociągnął swego napastnika w stronę ul. Ossolińskich. Atoli kiedy pan narodowy demokrat był już w bramie domu pod liczbą 9. zawahał się chwilę i powiedziawszy tylko: ja tu zaraz wrócę (dotąd go jeszcze nie ma — p. R.) zniknął „jak sen jaki“ czarno-żółty. Widocznie przeraził się myślą, że ci „wściekli rewolucyoniści“ gotowi są jeszcze poprzetrzącać tu i ówdzie lojalne jego kości.

O moi Panowie! Szkoła ludowa — toć to jeszcze nie cała Polska! a wy jeszcze nie rządem w tej Polsce! Wolno wam na to, aby w mózgi chłopskie razem z abecadłem wbijać odrazę do wolności i strach przed brutalną siłą, wyduszać ze społeczeństwa tysiące całe — które jaką drogą potem płyną, Bóg to raczy wiedzieć — to nam, którzy garść wyżebranych miedziaków przelewać będziemy natychmiast w spiżowe posągi odzyskiwanych praw wolnościowych, zabronić apelu do ofiarności publicznej nie możecie!

ODEZWA.

Wszystkie nasze poprzednie wynurzenia, razem wzięwszy, odsłoniły jasno, omal że nie z drobiazgową dokładnością myśl i uczucie nasze, cel nasz i drogę, którą do niego z całym zaparciem się zdążać będziemy. Cel nasz wielki musi być dla wszystkich równie świętym — jak dla nas.

Miedzy nami, a ogółem niema żadnej ukrytej przegrady.

Nie odcinamy się murem olimpijskiej powagi i mgłą tajemniczości od reszty społeczeństwa.

Czyny nasze jawne są, przystęp do nas każdemu otwarty.

Ale właśnie dlatego, że w nas niema ani odrobiny podstępny, że w nas niema nic z natury lisiej, żądamy od społeczeństwa swego równie szczerzej ufności, równie bezwzględnej wiary. Zaufanie to jest koniecznie potrzebne, jeśli przyszła działalność nasza niema być opatrnie pojęta, jeśli uniknąć chcemy przynoszących zarazę i śmierć duchową — hańbiących podejrzeń.

Wszystkie nasze dotychczasowe niepowodzenia są skutkiem wzajemnego niedowiarstwa, wszystkie nasze nieudane próby — to klątwa wzajemnej nieufności.

Nasze przedsięwzięcie musi się powieść i dlatego musi być oparte na zupełnej, szczerzej prawdzie.

Jednego szczególnież zarzutu nie moglibyśmy na sobie przenieść, ta nas myśl najbardziej przeraża, że nas ktoś posądzić może o osobiste jakieś zamiary, o prywatne cele.

U nas, kiedy dotąd na każdym kroku społeczeństwo doznawało rozczarowań, z każdego czynu wyglądała prywata, każde zaufanie ogółu wyzyskiwane było po ciele dla osobistego interesu, dla własnej kariery, tak łatwo o krzywdzące posądzenie, a o zupełną ufność tak już dziś trudno! Ale my, którzy wypowiedzieliśmy walkę na śmierć i życie wszystkiemu, co fałszywe i nikczemne, pokonamy i to uprzedzenie ogółu do nas, zdobędziemy dla swoich zamiarów wiarę całego narodu.

Bo cały naród musi nam iść z pomocą!

Nasze przedsięwzięcie wymaga ogromnych sił i środków materialnych. Siły te i środki musimy przy sobie skupić.

Potrzebne są przedewszystkiem — otwarcie mówimy — pieniądze.

Że społeczeństwo polskie pomimo tylu narzekania jest, gdzie chodzi o dobro narodowe, nadzwyczaj ofiarne, to się nie da zaprzeczyć. Gdybyśmy dokładnie zliczyć mogli wszystkie datki, które w ciągu roku płyną na to jedno wezwanie: „cel narodowy“, otrzymalibyśmy tysiące, a kto wie, czy nie i miliony całe. Tylko

musimy z żalem wyznać smutną prawdę: cały ten olbrzymi kapitał, zbierany przez tyle lat, poszedł zupełnie na marne. Nie pozostawił po sobie żadnej widocznej i trwałej pamiętki. Ofiarny grosz sypał się do różnych rąk, do rąk, które się wzajemnie biły — na różne cele, na cele, które się wzajemnie pokonywały. I oto dlaczego te bańskie sumy poszły na marne, rozwiały się jak mgła bezdeszczowa. A tu taki skwar i posucha na naszej ziemi!

Przekonani więc, że rozbieżność dążeń i rozpraszanie zbieranych funduszy po rozmaitych instytucjach i towarzystwach jest zgubą dla ostatecznego naszego celu: wskrzeszenia niepodległej Polski, występujemy ze śmiałym żądaniem: zjednoczenia wszystkich związków narodowych i składania wszystkich ofiar na jedne ręce.

Wszystko skupić się powinno w „Narodzie“! Wypowiadając wszelako przekonanie, że grosz powinien spływać do jednej kasy, nie poprzestajemy na tem, bo dodajemy: zbieranie składek nie powinno być przywiązane do pewnych tylko uroczystości, do pewnych tylko chwil i miejsc, ono trwać powinno zawsze, nieprzerwanie i wszędzie. Zaprowadzamy więc stały podatek narodowy, o którego wysokości i sposobie prawidłowego ściągania pomówimy niebawem.

Teraz zaś zwracamy się z wezwaniem do społeczeństwa polskiego, aby wszelkie składki oddawano wyłącznie w nasze ręce, aby zaprowadziło w prywatnem swoim życiu najdalej idącą oszczędność i każdy ocalony w ten sposób grosz wrzucało do wspólnej skarbnicy. A tyle dzisiaj pieniędzy, sił i zdrowia marnuje się na hulankach, w kawiarniach, szynkach i nocnych norach jedynie tylko z pragnienia przyjemnego „zabicia czasu“ tylko dlatego, że się niema w coś szlachetniejszego włożyć duszy, rąk i pieniędzy.

W dzisiejszych czasach zbrodnią jest marnotrawienie każdej wolnej chwili, trwonienie każdego grosza. Niech ci, którzy nie wiedzą, co z czasem swoim zrobić, zwrócą się do nas, my im damy robotę, my im wskażemy, na co się dziś pieniądze używać powinno.

Do składek więc i do roboty!

Otwieramy osobną rubrykę, w której co do halerza wykazane będą zebrane pieniądze. Na jaki zaś one pójdą użytek, o tem wyrokować będzie naród cały, którego przedstawiciele wejdą w skład Redakcyi „Narodu“.

Na początek wymieniamy kwotę 35 K. 16 groszy, zebraną przez nas w dniu 3. maja.

To pierwszy zawiązek naszej przyszłej potęgi!

Ogłoszenia „Narodu”.

Czwartą stronę naszego pisma poświęcamy ogłoszeniom. Lecy i tu, tak jak na karcie tytułowej, jak w każdym zdaniu, jak w każdym słowie przestrzegać będziemy obowiązku służby narodowej. Dla nas kolumna inseratowa nie będzie kopalnią złota, dla nas nie będzie rzeczą obojętną, z czyich rąk to złoto spływa. Śmieszne są gazety, które w sążnistych artykułach wzywają do popierania przemysłu krajowego, a równocześnie odrotną stronice zabijają odezwaniami zagranicznych przedsiębiorców. Wygląda to tak, jakby ktoś ubrał się w polski kontusz, zakończony z tyłu ogonami fraka, albo śpiewając hymn „Z dymem pożarów“, zapiął nagle pruskim gardłem: „Kikierikie“!

My nie znamy rozdziału między ideą a praktyką. U nas każda zasada, wypowiedziana słowem, od razu staje się ciałem, wybija swe pięno na każdym czynie. To też nie pójdziemy

torem dotychczasowych wydawnictw, które po górnolotnych okrzykach, gdy przyjdzie polecić coś do codziennego użytku, kładą grubą linię i napis: „za rubrykę tę redakcyja nie odpowiada“. Owszem, my każdą rubrykę obejmujemy swym opiekuńczym okiem. My bierzemy na siebie zupełną odpowiedzialność za firmy, które znajdują się na łamach naszego tygodnika. Jeśli która z nich sprzeniewierzyła się głównym zasadom naszego materialnego odrodzenia, bądź wywołując pieniądź nasz za granicę, zamiast uwięzić go w krajowych wytworach, bądź zobowiązaniom swoim nie uczyniwszy zadość, natychmiast wykreślimy ją z rzędu godnych poparcia przedsiębiorstw. **Przestańmy już raz sami siebie oszukiwać!**

W pierwszym rzędzie polecamy w imię zasady: „zogniskowania środków“ Drukarnię „pospieszną“, w której się pismo nasze odbija i która

wkrótce zmieni nazwę z „Pospiesznej“ na „Drukarnię Narodu“.

DRUKARNIA TA

zaopatrzyła się świeżo w olbrzymi zapas czcionek najnowszej kroju i może artystycznym wykonaniem zadowolić najwybredniejsze wymagania.

Czytelnicy i przyjaciele nasi!

POWIERZAJCIE ROBOTY TYLKO

DRUKARNI

„NARODU“!

Prenumerata wynosi:

rocznie 4 K.
półrocznie 2 „
kwartalnie 1 „

Numer pojedynczy
8 groszy.

Redakcyja i Administracyja
ul. Ossolińskich 1. 9.

NARÓD

którego hasłem:

»walka o niepodległość Polski«.

Ogłoszenia: wiersz petitowy
czteroszpaltowy lub jego
miejsce 20 groszy.

Listów nieopłaconych Re-
dakcyja nie przyjmuje i rę-
kopisów nie zwraca.

Reklamacye wolne są od
opłaty pocztowej.

WYCHODZI W PIĄTEK WIECZOREM.

NACZELNY REDAKTOR: LEON FUK.

Oddajcie pokłon!...

Poległym w Królestwie
w dniach majowych.

Oddajcie pokłon!... na ofiarnym stosie
Naród znów złożył ofiarę,
Morderca krwawe znów zbiera pokłosie,
Krwia polską nalał znów czarę....
Pije ją zwolna, pije i smakuje,
Słyszy płacz sierót, jęk wdowi
I jak pieśniami tem się rokoszuje,
Z zachwytem uchem żal łowi....
Gdy żołdak carski w Mandzuryi przepada,
Kona, konając przeklina
Cara i Rosyę, gdy Nemezs błada
Dziejowy łuk swój napina, —
Car chce rozrywki, — na niezbrojną rzeszę
Rzuca czerń dziką, kozaczą —
Światu na hańbę, sobie ku ucieście —
Pragnie się bawić rozpaczą!....

Oddajcie pokłon!... trumien szereg długi
Na wieczne idzie postanie —
W nich śpią nie wielcy — lecz nie carskie sługi!
Tam śpią wolności hetmani!
Pod ziemią matką, pod tą polską ziemią
Spoczną, aż grób się zakwieci —
Ciała ich tylko w tym grobie zadrzemia,
Duch między naród poleciał!
A tam, w narodzie, z krzemia jest serce —
Duch stał o nie uderzy —
Zapała iskra padnie w przeniewierce,
Ogień się w okół rozszerzy!

Oddajcie pokłon!... wy, którzy sądzicie,
Ze przed caratem bić czołem
To nie jest zbrodnia, i na czynów życie
Trzeba iść z Bogiem aniołem —
Ze nam się płaszczyć trzeba u stóp kata
Prosić o łaskę pokornie,
Żebraczym strojem świecić w oczach świata,
Powiększać carskich psów sformę —
Oddajcie pokłon!... bo ci, którzy legli,
Życie idei oddali,
Honor narodu przed hańbą ustrzegli
Ojczyznę, wolność kochali!

Oddajcie pokłon!... oddajcie carowi! —
Kat-car was za to nagodzi!
A ty się pokłoń polskiemu ludowi,
Ofiarom mordu — narodzie!
Cześć! cześć poległym!... Na groby święcone
Rzucamy wieniec cierniowy,
Rzucamy wawrzyn. — Niech się wał trony!
Im hymn zanucim grobowy!...
Imperatory, cesary i cary,
Zbierzcie żołdaków potęgę!
Nas nie złamiecie! — za nasze ofiary
Zemsty głosimy przysięgę!...
Krwawą koszulę ojców przybieramy,
Stryczek kładziemy na szyję,
Umrzeć pójdziemy, ale nie skonamy —
Aż chwila zemsty wybił!

We Lwowie, 10. maja 1905.

JÓZEF BACZYŃSKI.

Rzeź warszawska.

Znów wymierzone w bezbronny tłum lufy
karabinów — znów trupy.

Nie o wiele zmieniły się czasy od najazdów
potwornych Hunów i dziczy tatarskiej. Jeśli jest
jaka różnica — to w sposobie mordowania ludzi.
Dawniej pięścią powalano słabszego i kłękawszy
na piersiach, nożem rżnięto gardło lub rozpru-

wano brzuch, — dzisiaj to raźniej idzie! Jedno
pociągnięcie za stalowy języczek i kilka przecho-
dów martwych na ziemi. Dawniej za włosy wiąza-
no kobiety do sodeł i zostawiano po drodze ka-
wałkami ich ciała, dziś spędza się je w gromadę
i kłuje, gdzie się da, bagnietami, lub kolbą miaz-
dzy głowy.

Do wieńca bochaterskich czynów, w których
płoną jak dwa piekielne, krwawe języki, głoszące
hańbę ludzkości: rzeź Pragi i rzeź styczniowa
w Petersburgu, dodał na ozdobę swego czoła
moskiewski zbój koronowany jeszcze jeden listek
sławy: rzeź 1. maja.

A kiedy tak kęs za kęsem północna bestya
wyżera nam z organizmu narodowego odrzuca po-
setki członków, kiedy coraz bardziej smakuje w
krwi naszej, co się tak łatwo i bez najmniejszego
oporu leje, — przypatrzmy się, jak wygląda ta
część społeczeństwa, której to bezpośrednio nie
dotyka, która kordonami jak silnie ściśniętym
bandażem oddzielona jest od środowiska naro-
dowego życia i do której krew z szalenie dziś
tętniącego serca dawnej Polski, z Warszawy, nie
dopływa. Jak zachowuje się sława nasza Galicya?
Oto jest jak uschnięta ręka, co się ani ruszyć już,
ani uczuć bólu, wstrząsającego cierpieniem ciałem
nie może, jak ręka, która powinna odbić cios
morderczy i napastnika precz od bezbronnej ofia-
ry odrzucić. Ta ręka ani drgnęła, bo nie miała
w niej — czucia!

Ani jeden silny protest nie prze-
biegł dreszczem oburzenia po kraju
naszym na wieść o podłym znęcaniu
się nad spokojną ludnością warsza-
wską w dniu 1. maja. Bo cóż za znaczenie
posiada ten stek dziennikarskich sprawozdań, zmo-
czonych przy końcu krokodyliemi łzami urzędo-
wej etyki? Jaką wartość ma ten sztuczny okrzyk
grozy, po którym zerwał się grad kamieni na
kierowników ruchu rewolucyjnego w Królestwie.
Komuż przemówią do duszy te ustawiczne na-
rzekania na ucisk rosyjskiego rządu, kiedy po
każdem krwawym starciu, które przecież jest ko-
niecznym następstwem chęci wydobyć się z pod
tego ucisku, wznoszą się okrzyki, wzywające do
spokoju, do uległości, do zgody z losem i zbro-
dniarzami!

I rzeczywiście spokój i cisza — o jak bło-
ga, ale i jak podła! — obejmuje rozkosznymi
ramionami nasz obieczany kraj — Galicyę. Wśród
ciszy tej pękają tylko z hałasem słowne bomby
wiernopoddańczego patriotyzmu, którym już nikt
nie wierzy i na które nikt już uwagi nie zwraca.
Dziś wierzy się tylko czynom i ofia-
rom!

Zbyt silny i zbyt prawdziwy jęk wydarł się
w dniu 1. maja nekanej Warszawie, aby w pier-
siach galicyjskiego obywatela, podszytego stra-
chem i przesiąkniętego kłamstwem i obłudą, mógł
znaleźć żywy i głośny oddźwięk. Tu echo ode-
zwie się tylko na okrzyk: „służmy najjaśniejszym!”
— to też posłuch zyskują odrazu i stają na czele
największych stronnictw ludzie, którzy po tamtej
stronie kordonu zniesławieni, tam, na ziemi cięż-
kich walk okryci pogardą, wypchnięci poza próg
każdego uczciwego domu, na naszej niwie wy-
rastają do rozmiarów półbogów, dosięgają go-
dności przodowników społeczeństwa.

Biedna Galicyo! Takim to ludziom i stron-
nictwom, które zasadę bierności i uległej pokory
rządom zaborczym wszczepiają do idei odro-
dzenia narodowego i tą słodką trucizną karmią syny
polskiej Macierzy, którzy w nadętą powagę i w
głupią trzeźwość ubierają tchórzostwo i samo-
lubstwo swoje, takim to ludziom zawdzięczasz to
poniżające cię w oczach całego świata znieczu-
lenie na ból i rozpacz walczącego po drugiej
stronie kordonu narodu.

I nie dziw, że na głos wołający o pomoc
i pomstę za krzywdy najświeższe i najboleśniej-
sze, odpowiadają jedynie ci, którzy dążą do

wprost przeciwnych celów, aniżeli Polacy dążyć
powinni, ci, dla których wskrzeszenie Polski jest
sprawą podrzędnej wartości, którzy jeśli o jej
niepodległość walczą, to tylko przypadkowo, dla-
tego, że my i oni mamy na razie, chwilowo
wspólnego wroga: carat.

Wstyd nam, że ci ludzie, prawie że nam
obcy, chwycili w swe dłonie ster tak wielkiej i
drogiej nam sprawy, że się o naszą dolę dobi-
ją ofiarą własnej krwi, kiedy my w czas ten
niebezpieczny pochowaliśmy się do ciemnych
piwnic i przez zakratowane okienko wyglądamy
chwili, w której nam wolność sama z niebios
spadnie.

Lecz oto wybiła godzina, która wykaże
jasno wartość każdego stronnictwa i każdego
człowieka, która roztrąci jak pług stalowy spo-
łeczeństwo nasze na dwie części: jedna przypa-
dnie i przyłgnie już otwarcie do stóp obcych
tronów, choć się tego dziś z obawy utraty popu-
larności pozornie wypiera, druga przeklnie wszy-
stkie sojusze z przemocą, wzgardzi wszelką łaską
i obietnicami i pójdzie po śmierć lub po wawrzyn
zwycięstwa. Pośredniej drogi nie będzie.

Teraz już widać ten zmienny ruch, który
wyrównując wszelkie błahie różnice klasowe, roz-
dzieli naród na dwie tylko klasy: zdrajców i bo-
haterów. Teraz już z miejsca „złotego środka”
skąd było można wyciągać pojednawczą dłoń do
patriotyzmu z jednej, a do despotyzmu z dru-
giej strony, poczynają tchórze za śladem swych
dziennikarskich chorągwi zmykać w miejsce nieco
bezpieczniejsze — pod osłonę policyjnych ba-
gnietów. Ale tam pod temi opiekunczemi skrzy-
dlami trzeba być cicho, cicho i jeszcze raz cicho!
To też ci, którzy w czas pokojowy donośnym
krzykiem narzucali się społeczeństwu na przewo-
dników, którzy chcieli mieć nieograniczoną nad
niem władzę, dziś, kiedy pierwsze strzały padły,
kiedy trysnęły pierwsze strumienie krwi, kiedy
zrobiło się trochę gorąco, natychmiast przycupnęli
milczkiem do ziemi, zrzucając z siebie całą za-
dalsze wypadki odpowiedzialność i oddając kie-
rownictwo ruchu, który według tych zaprzaniów
jest nierozsądkiem i niegodziwością — w ręce
najmniej stosowne — w ręce socjalnej partii
demokratycznej.

Z takich to powodów nikczemna rzeź war-
szawska nie znalazła w Galicyi żadnego oddzwie-
ku, a te trupy, które padły walei Jerozolimskiej,
przeszyte kulą, niosącą śmierć szlachetnym i go-
dnym najwyższych uwielbień dążeniom, docze-
kały się u nas za swoje męczeństwo — potępie-
nia. „Czcicie je? A poco? Wszak to ludzie nie z
naszej — partyi! Wszak to nie stańczycy, nie
narodowi demokraci, ale — socjaliści! Wszak
oni wyzionęli ducha nie 19. maja, w rocznicę za-
wiązania konfederacji Targowickiej, ale w dniu
1. maja i nie pod kościołem, ale na środku ulicy!
Hańba im i potępienie!” To słowa, które dla nich
mają wszechpolacy i wszechklerykali.

Dla nas są oni święci! Dla nas to obojętne,
jakich oni byli przekonani, do jakich należeli obo-
zów, dość, że byli Polakami, że piersi
swoje nadstawiali pod cios brutalnej
przemocy. Oni zastąpią nam wszelkie progra-
my i dogmata, one — te zimne szczątki ludzkie
— są teraz naszą najdroższą relikwią narodową,
my kładziemy te krwawe zwłoki na ołtarz, przed
którym czoła nasze pokłon biją. Oni są teraz
przewodnikami naszymi, w których ślady prędzej
czy później wszyscy wstąpimy, bo wstąpić mu-
siny!

Można boleć nad tem, że te ofiary nie oku-
piły większych korzyści, można pragnąć, aby na
przyszłość trupy te padały na drodze celowo
wytyczonego działania, ale twierdzić, że
strumienie krwi spłynęły zupełnie bezpotrzebnie,
że narażać się na blizny i śmierć dla idei nie-
podległości jest nierozsądkiem, szerzyć zasadę,
że wygodniej jest dla przewleczenia niewolnicze-

go życia o lat kilka, przyjmować obelgi i bity bez szemrania, niż tym upokorzeniom ze wszystkich sił się sprzeciwić — to podłość!

Nikt nie zaprzeczy, że naszym nieprzedawnionym nigdy obowiązkiem jest odebrać skradzioną ziemię i wydarte prawa. Ale też i tych, praw nie można niczem innym odzyskać, jak tylko siłą, wynikającą z poświęcenia. Przypomnijmy sobie, w jaki sposób powstała ta straszliwa potęga, która nas teraz gniecie. Było bagno; odludne, cuchnące, przepaściste bagno. Ale oto zjawiał się duch krnąbrny i zuchwały, który na tym trzęsawisku chciał zbudować swoją granitową wieki przeżywającą sławę. To Piotr wielki. I począł w błotniste przepaści spędzać nahajami, tyśiączne rzesze, które grzęzły w tej kałuży i z kości swych utworzyły twardą, niewzruszoną opokę. Na tej to podwalinie stanęła dumna stolica państwa, na którego imię dreszcz przepływa po skórze polskiej — Petersburg.

Nasz kraj jest dzisiaj takim samem bagnem. Aby na niem wznieść przyszyje gmach wolności nieuniknionem jest tę otchłań błotnistą zapełnić trupami ofiar, które schodząc w milczeniu śmierci do ciemnego trzęsawiska, podniosą pokładem swych kości dno jego do tych wyżyn, na których świat zatyka holdowniczą chorągiew z napisem „niepodległość”. Setki, tysiące, pokolenia całe zginąć muszą krwawą śmiercią. Tylko że nas do tego wspólnego grobu spędzać będzie nie nahaj, ale ta myśl, że przygotowujemy dzieciom naszym lepszą dolę, że plonem naszych bólów będzie szczęście!

O cześć Wam, wy cisi bohaterowie, wy skromni, a tak wielcy poprzednicy nasi, powaleńi zbrodniczą kulą w proch warszawskich ulic. Przed Waszą biedną trumną my padamy smutni, lecz pełni otuchy, na kolana z tą niemą przysięgą, która zrozumiała jest tylko dla dusz szlachetnych i wolnych.

Po waszej stracie i po Waszych łzach przedśmiertnych my przywdziewamy żałobę, która dotąd trwać będzie, aż na nas, leżących pod stopami potworów, zawoła krwawą naszą męką wezwana wolność: „wstańcie!”

Leon Fuk.

Do rzesz robotniczych.

— A jednak się porusza!...

Kiedy przed laty kilkunastu w tej prowincjonalnej stolicy wystrzelił pierwszy kwiat socjalizmu, kiedy ukazały się pierwsze numery „Robotnika”, powstał ogólny szmer oburzenia i to nie u c. k. patryotów, ale w kołach najskrajniejszych.

Powodem był artykuł „Robotnika”, który głosił, że „robotnik nie zna narodowości” i grubiańskie wypowiadanie się niektórych mowców partyjnych o Polsce i Polakach — a cenniejsze wprost herostratowe słowa byłego pośta z V. kurii, rzucone na podwórzu ratuszowym, „że socjaliści demokracji żadnej Polski nie znają i o żadne jej granice walczyć nie będą” lub, że „Polska to nierządnicza, która się trzy razy oddawała” nie mogły już chyba obudzić sympatii.

Na bluźnierstwa te reagował naród cały, poruszyły się wszystkie jego odłamy, a wynikiem tego była długa walka bratnia, która tylko wrogom przynosiła korzyści.

Zapaleńcy idei międzynarodowej starali się usunąć patryotyzm na drugi plan — a według słów, pisanych z Paryża przez Dr. Hermana Lib.... do Dr. Ol. wówczas studentów w Stryju, uważali go „za wąską ścieżkę prowadzącą do obszerniejszego patryotyzmu wszechświata”. Wobec podobnych haseł nie dziw, że powstał między nami przedział, że szliśmy przeciw sobie wbrew inte-

resom własnym, zatracając główny cel: walkę z rządami o prawa obywatelskie i o prawo człowieka.

Ostatecznie jednak pod wpływem świeżych ludzi, którzy weszli w szeregi socjalistów z naszego obozu, zmieniły się prądy w partii i dziś nikt nie może jej zarzucić tego, co dawniej, że jest ona „beznarodową”, owszem przyznać musi, że czerwona jej barwa nie przeszkadza wcale być jej „polską partią socjalistyczną”.

A więc się porusza!

Dla nas to jednak za mało — od robotników naszych żądamy takiej siły, patryotyzmu jaką okazuje robotnik warszawski, żądamy, ażeby wszędzie i na każdym kroku nie tylko czuł się, ale był Polakiem, kością z kości tego narodu, który rozszarpany, dziś rwie się do życia.

I pomimo nawoływań kilku demagogów, pragnących koniecznie proletaryat polski uczynić tylko małą gminą międzynarodowego morza proletaryatu, idea odrębności narodowej u nas zdobywa coraz szersze tereny, coraz goręcej biją tam serca, coraz żywiej.

Oslabić dziś tego ognia nie potrafi nikt, podsycać go nie potrzeba, sam z siebie on wybuchnie wielkim płomieniem narodowej rewolucji — potrzeba jednak jednego, aby młodzież ucząca się pozbyła się swojego arystokratyzmu, aby robotnikowi podała bratnią a nie szlachecką dłoń, aby to braterstwo jej z ludem robotczym nie było jałmużną, daną z łaski, ale drgnieniem duszy, w której zrodziła się prawdziwa miłość.

My dawno zrezygnowaliśmy z jakiejś urojonej wyższości, — wobec narodów wolnych Polacy wszyscy są proletaryuszami — niechże więc proletaryusze ci, wszystkich ziem polskich łączą się w jedno ciało, niechaj stają pod naszym sztandarem pracy i walki, a zwycięstwo nad wrogami przyniesie wolność Ojczyźnie, narodowi chwale, a masom pracującym zapewni równe z innymi stanami prawa obywatelskie i byt materialny.

Nie za wrogów nas zatem miejcie serdeczni towarzysze, nie za ludzi, pragnących błyszczenia, za braci i przyjaciół nas uważajcie, ukochajcie nas sercem, a wtenczas, złączeni razem, powiem tym, którzy płaszczoć się u stóp tronów, oddają ludowi patryotyzmu: patrzcie! wyszliście z ciemności — a jednak wolą ludu Ojczyzna się porusza!

Józef Baczyński.

Dwa pokolenia.

Dwie przeciwne, pędzące z łomotem przeciw sobie fale — to dwa pokolenia w dziejach. Jedno z nich musi pochłonąć drugie — musi przejść po niem zwyciężką stopą, aby zgasić na widnokręgu ludzkości czy też społeczeństwa dawne światła, a rozniecić nowe — własne zorze.

Ten los spotkał już niejedno pokolenie.

Na gruzach złotej wolności szlachty saskiej zatknęto zwycięzki swój sztandar grono młodych patryotów, twórców konst. 3. Maja, a strzyżony cyprys klasycyzmu runął pod surowym ciężkiem wchodzącego romantyzmu.

Dziś znowu Polska jest świadkiem nowego przełomu — dziś już zawrzała walka między starym pokoleniem bierności i rezygnacji, a młodem pokoleniem czynów.

Omdlałość ducha, rezygnacja i bierność, władająca starym pokoleniem, rozpoczęła swój byt od upadku powstania 1830/1 roku, a trwa dotychczas. Mylą się ci, co twierdzą, że upadek ducha rewolucyjnego w Polsce datuje się dopiero od 63 roku. Rok ten krwi i chwały jak i rok 46 i 48 były tylko krótką przerwą środkowej drzemki

w kajdanach, był wysiłkiem tylko szczupłej części społeczeństwa. Reszta, większość narodu w ruchu nie wzięła udziału, natomiast stała się jego grabarzem, a po śmierci lżycielem!

Hasło zgody z losem rzucone jeszcze przez Staszica błękało się z początku dokoła nieśmiało, dopiero po tem ostatnim konwulsyjnym drgnieniu duszy polskiej, zwać się do wolności, po powstaniu styczniowym uległości wobec przemocy wystąpiło z nagą bezczelnością przed narodem i kazało im oddać pokłon. I schyliły się czoła karmazynów, oddały hołd birety i togi cała Polska płażów i zajęcy legła u stóp tronów, piejąc hymn wiernopoddanych i obracając pobożnie białka ku trójcy cesarskiej w oczekiwaniu czy co z góry nie spadnie.

A było to pokolenie, co zrodziło się w dzień chrztu krwawego pokolenie zroszone krwią bohaterów. Lecz krwi było za mało, by mogła zmieścić pancierz zwątpienia nałożony już w kolebce na dusze młode przez ręce trupów moralnych.

Sumienie i poczucie godności narodowej usłono w tem pokoleniu piosnką pracy organizacyjnej. Ślady świeżej krwi zakrył oczom dym fabrycznych kominów, a jęki katów i cytadel zgłoszył brzęk rubla i hałas giełdy. Trzeba być trzeźwym. Precz z marzeniami wołano jak ongiś Mikołaj I. — a zakłęcie to to zamykało uszy na krzyk sumienia.

Lecz tak być dalej nie mogło. Czołobitność nie nie przyniosła prócz brązowych medali, któremi można mieć półdzikie afrykańskie plemiona, a fabryczne kominy zaszczyły zakreślając widnokrąg dla ducha.

Zjawiają się więc zwiastuny nowego pokolenia i idą szukać orzeźwienia do krynicy swojszczyzny — do ludu. I gdy przyzwyczajone do dymu oczy spojrzwały na kryształ tej krynicy zachwyt ogarnął patrzących. Kulturę ludową podnoszą do znaczenia ogólnego — narodowego, bo ta kultura jednaka we wszystkich częściach rozszarpanej Polski stać się może podwaliną i cementem do odbudowania całości. Lecz wioząc jak na każdym kroku kultura ta jost uiszczoną przez najeźdźcę, rzucają hasło obrony czynnej a w programie stawiają cel. Niepodległość Polski. Cel ten tak święty i drogi dla nas a osiągnięcie jego tak niezbędne dla rozwoju naszej narodowości, skupiły ogromny zastęp młodych sił pod sztandarem tych, co to hasło rzucili. Zdawało się że ruch wszechpolski dokona ostatecznej sprawy i to mniemanie przykuło do niego najmłodsze pokolenie.

Lecz od czasu kiedy ruch ten przeniósł się i do Galicji, jakby technięty zarazą zgnilizny austriacko-galicyskiej naszego kraju zniżył lot, opuścił zmarniałe skrzydła i spadł w bagno konserwatyzmu, klerykalizmu, a co najsmutniejsze tak się zastosował do austriackich wymagań państwowych, że radzi to samo uczynić cierpiącym pod knutem. Nie tylko radzi lecz lzy świętokradzko krew Polską przełaną w walce z naszym ciemiejącą, z mordercą naszych niewiast i niemowląt, z niszczyicielem naszego mienia, naszej kultury i naszej ozi i godności!

Ta smutna zmiana świadczy że ci ludzie są jedynie pokoleniem przejściowym zwiastującym narodziny nowego. Połowa ich ducha zarażona została paraliżem rezygnacji i batwochwalstwem przemocy. Fakty i warunki posiadają u nich moce ziemienne. Nie doceniają siły woli świadomej narodu dlatego poddają się biernie biegowi wypadków i zawsze lamentują że ich fakty zaskoczyły nieprzygotowanych.

Z tem wszystkim my pokolenie wstępujące dziś w życie — zrywamy! Niemożliwości dla nas niema! Przepaści między wolą a czynem, między ideą a rzeczywistością nie uznajemy! Idea sprawiedliwości społecznej nie stoi w sprzeczności z naszą bezgraniczną miłością Polski! Wier-

począłem zbierać myśli, jednak z głębi ozwał się ostry głos:

— Nie wolno myśleć!...

Teraz dopiero dostrzegłem, że stoję przed sądem piekielnym. Naprzeciw mnie za zielonym stołem na prezydyalnym miejscu siedział uszlifowany Lucyfer zupełnie podobny do pewnego małego podróżnika i mowcy z nad Sprewy, obok łmci panowie dyabli Mias i Belzebub, na trybunie prokuratora, z długą na dwie połowy podzieloną brodą, zasiadł Wielmożny dyabeł Mefisto.

— Moi Jaśnie wielmożni dyabli — zapytałem słodziutko, czego właściwie żądacie odemnie?...

— Czego?... zaraz się dowiesz buntowniku! — Mamy tu spór na ciebie. Pisarz, pisać generalia. Jak się nazywasz?

— Jacek Niepoprawny.

— Niepoprawny?... jedna zbrodnia więcej! nie wolno się tak nazywać!... Jakiej narodowości?

— Polak.

— Co?... a ty gałganie?... zanotować to!

nie wolno być Polakiem.

Do dyabła — pomyślałem — czy to w piekle nie ma żadnego dygnitarza Polaka? wszak są oni na wszystkich dworach. Przepraszam — odezwałem się — czy łmci pan dyabeł Boruta nie jest tutaj obecnym...

— Was?... Boruta?... to zdrajca! zdezerterował do Japończyków i poszedł bić bratnich

W PIEKLE.

Widziałem piekło!...

Co prawda było to we śnie. Śniłem, że załazłem się w środowisko ludzi, którzy pogardzają snem i martwotą, że z piersi wolnej od dekadentyzmu i indferentyzmu rzucałem gromy na mniejsze i większe bożki światowe, że nie uznawałem władzy, pochodzącej rzekomo od Boga, że nawet pozwoliłem sobie być Polakiem nie c. k. ale Polakiem z krwi i kości.

Jako taki rzucałem hasła skupienia siły i życia — siły narodowej, która konieczną jest nam do walki o niepodległość — i tego życia narodowego, które co chwila przygaszają brudną wodą z swojej sikawki nasi wielcy politycy o małych głowach i wielkoduszni ludzie, nieposiadający właściwie żadnej duszy.

Na taki sen zlecieli się wszyscy dyabli, ubrani w mundury austriackich policajów, wywlekli mnie z łóżka i nie żałując szturchańców kazali iść z sobą do piekła.

— Ależ szanowni panowie dyabli... zacząłem.

— Małczat! — huknął na to jakiś kapral dyabelski — strojsia i wpirod! — przyczem nie omieszkiał zaaplikować mi razu w kark.

— Pozwólcie piękne duchy, ale ja nie jestem — przygotowanym do tak dalekiej podróży... próbowałem tłumaczyć.

— Schweigen — zaskrzeczał mi tuż nad uchem kusy dyabeł, zapewne wachmistrz piekielny. — Rebellant! politisch verdächtiges Individuum! Marsch!

I pomimo oporu z mojej strony porwali mnie na rogi wsiedli na miotłę czarownicy z placu Smolki i gnali ku piekłu, wśród ogromnego wrzasku ucieszonych gawronów i nietoperzy z rodziny pani Opinii publicznej.

Zanim miałem czas się opamiętać, znalazłem się już nad Styksem, podobnym bardzo do naszej wonnej Pełtwy. Rudobrody przewoźnik z krogulczym nosem, oczekiwał na nas z promem, za parę chwil stanęliśmy u bramy, nad którą dwugłowy potwór trzymał w szponach blaszaną wstęgę z napisem „c. k. Piekło”.

Kusy dyabeł rozpedził się parę kroków, pochylł i rogami grzmotnął o bramę. Mimowoli zapytałem.

— Zaczny panie dyable, czy pan przy takiej operacji nie rozbije sobie łebka?...

— Insurgent!... Schweigen!... keine Besprechung! vorwärts!

Brama rozwarła się na oścież, popchnięto mnie w głąb. Z początku nie dojrzałem nikogo,

rzymy że nie pieniąż i bagnet, lecz duch nowe światy tworzy, nowe zorze nieci, lecz wiemy również, że „broń — broń odbija“! Kompromitów ze złem, z niewolą nie znamy! Dla nas jedna prosta droga do Wolnej Polski!

„Niech Was“ oo pójdziecie z nami nie przestrasza darmo, że dziś podłość górą wszędzie

Z wiary waszej — wola wasza,

Z woli waszej — czyn wasz będzie!

Czyn nasz będzie jękiem pękających kajdan i hymnem Wyzwolonej Polski!

K. Wojnicki.

Głos obcy o Polsce.

W sprawozdaniu z wiecu, odbytego w Paryżu w dniu 23 lutego b. r. w sprawie ostatnich wypadków w Królestwie, „Courrier Européen“ między innymi cytuję mowę słynnego profesora-historyka na uniwersytecie paryskim, Karola Seignobosa z przekonań — gorącego liberała i republikanina. Chcąc zaznaczyć ogół nasz ze zdaniem tak cenionego profesora — przytaczamy choć kilka charakterystyczniejszych ustępów, — a to z tem większą przyjemnością, że ogół nasz, aż nazbyt surowo sędzi ostatnie zajścia w Warszawie i na prowincyi. A nawet dalej idąc, wprost rzuca kalumnie. — Na wiele wywodów sławnego historyka nie godzimy się — jednakże przyznać musimy, iż jestto głos uczciwy i w każdym razie nam przychylny. Na wstępie swej mowy stwierdza Seignobos, że hasła rewolucyi obecnej nie z Warszawy pochodzą, lecz z Petersburga i że to jest powodem, że sytuacja nasza nie jest tak korzystną, jak być powinna. Dalej mówi: „pragnąłbym, aby Polska mogła działać sama, od innych niezależnie“. Następnie omawia mowca stopniowe ograbianie naszego narodu z szeregu najżywniejszych instytucji. „Lecz mimo to wszystko naród polski przetrwał i żyje“.

„Polska ocalała swą narodowość! Dziś Polska staje się narodem współczesnym w całej pełni“. Cóż więc wam czynić należy? Nie poddawajcie się złudzeniom... wy nie jednego macie ciemięzyciela, ale — trzech. — Czy możecie liczyć na jakikolwiek rząd obcy lub opinię Europy? Nie! Więc możecie tylko liczyć na własne siły. Możecie stworzyć z Polski naród republikański, oswobodzić go politycznie i ekonomicznie od arystokracji, a intelektualnie od klerkalizmu. Korzystajcie z rewolucyi w Rosyi, posuwajcie się naprzód — bez względu na ofiary. — Wielkie sprawy wielkich wymagają ofiar. Ponadto światły ten historyk dodaje: „nie licząc na rządy monarchiczne i kościół — zdradza was zawsze“. Oto głos uczciwy, choć obcy. Czy tak nam radzą nasi niby starsi bracia? Nie. — Ci zawsze i wszędzie każą nam liczyć na pomoc obcą, wmawiając, żeśmy politycznie niedojrzali — zagarniając pod swą władzę kierownictwo sprawami narodu. Czyż zawsze nie wskazywano nam ideałów w niebie, każąc cierpieć tu na ziemi? Czyż nie wiecznie łudzono nas pomocą swoją i obcych, a w krytycznej chwili zdradliwie opuszczano?

Rodacy! Idźmyż więc wspólnie przeciw wspólnemu wrogowi, nie licząc na obcych, nie bacząc na ofiary, ofiary być muszą, bo walka nie z jednym lecz z trzema ciemięzycielami, jak słusznie zauważa prof. Seignobos.

Precz z dysputami na temat wypadu, nie wypadu, godzi się, nie godzi, nam dzisiaj jedno tylko wypadu, odzyskać utraconą Ojczyznę!

Rodacy! Do czynu!

nam Moskali!... Pisarz, zanotować, zna się z Bo rutą!... Już?...
— Już? — odparł pisarz.

— Gut! No a teraz ty nędzna ziemska istoto, ty... ty Polaku, ty żądać śmiesz wskreszenia Polski? Ty śmiesz wołać „Wstań Polsko!“... Ty śmiesz pisać artykuły przeciw naszym kuzynom na ziemi?

— Toż to nie jest grzechem, każdy człowiek powinien kochać swoją ojczyznę, a każdy naród, któremu wydarto ziemię zbrodnią i podstępem dąży do jej odzyskania — odparłem z mocą.

Lucyferos porwał się z miejsca.

— Słyszycie panowie sędziowie? — przyznaje się! Donnerwetterelement! On chce wolnej Polski? na szubienicę z nim! do kotła! do smoły!.. niech z niego wysmażą te ideje. Prokurator masz pan głos.

Prokurator podniósł się z powagą, skierowawszy ku mnie ostrze paragrafu.

— Panowie — mówił — osobnik ten, jest najniebezpieczniejszy indywidualny na świecie, chce wywołać przewrót polityczny, chce zorganizować szlachetne i czyste jednostki, wobec czego piekło straciłoby nowych obywateli... potrzeba więc dać odstraszający przykład i na podstawie paragrafu 14 księgi ustawy piekielnych, za zbrodnię wyznawania polskości i dążenia do wydarcia Polski z piekielnej mocy skazać go na śmierć! Skończyłem.

Brak życia — brak idei.

Dzielnica Łyczakowska, silnie zaludniona przeważnie przez rękodzielników, a zbyt oddalona od centrum miasta, by pozostawać w ciągłej styczności ze środowiskami życia umysłowego i narodowego, jest wolnem polem do pracy dla czytelnika.

I dziwnem wydawać się może, dlaczego założona niedawno czytelnia im. Głowackiego nie rozwija się, ale obecny jej wydział myśli na seryo o rozwiązaniu tej tak potrzebnej placówki narodowej.

Tę zagadkę wytłumaczy nam jedynie brak idei, brak życia prawdziwie młodzieńczego wśród członków. Wina tego spada na kierowników. Ci zaślepieni celami partyjnymi, mimo woli tłumili gorętsze uczucia i popędy młodych dusz. Zabronili urządzić seryę odczytów o obecnej, przełomowej dla nas chwili, jedynie dlatego, że prelegenci nie mieli marki narodowo-demokratycznej, chociaż ogół członków był bardzo dla nich przychylnie usposobiony.

I może być, że również obawa przed wpływem tych ludzi popchnie ich tak daleko, że czytelnia rozwiąza.

Ale choćby się tak stało ogół, członków czytelnia nie zapomni o swoim obowiązku i potrafił samodzielnie na własną rękę założyć nowe ognisko dla wspólnej pracy, gdzie z pewnością żywym tętmem zabiłoby życie a prawdziwa przyjaźń, oparta na wspólności celu, silniejby związała młode dusze.

Tymczasem jednak, sądzimy, że o ile to będzie w waszej mocy, młodzi przyjaciele, nie powinniście dopuścić do rozwiązania czytelnia. Ludzie wami kierujący tak, jak ich stronnictwo, nawykli już do rezygnacji. Mogli zrezygnować „na dziś“ z walki o niepodległość Polski, potrafili też przeboleć utratę czytelnia.

Nam jednak niczego tracić nie można! Czytelnia nie rozwiązujcie, raczej postarajcie się, by wnet zapanował inny duch. Nie odgradzajcie się chińskim murem od ludzi, którzy was potrafią jaśniejszą drogą poprowadzić tam, gdzie i Wy w głębi duszy dojdzie pragniecie!

Korespondencje.

Warszawa 5. maja 1905.

Z zaboru rosyjskiego.

Pierwszy numer „Narodu“, a wraz z nim zaproszenie do współpracownictwa — dziś otrzymałem. Tak za „Naród“ jak i zaufanie serdeczne „Bóg zapłać“ — śląc z serca płynące „Szczęść Boże“ w narodowej pracy.

Wypadki majowe, a raczej brutalności zołdactwa moskiewskiego, dziesiątki trupów i setki rannych na ulicach Warszawy; wywołały u Was u jednych współczucie u drugich gromy na nas. Te ostatnie czy słuszne? — Nie! — Czyż ciągle mamy być społeczeństwem biernym z pokorą liżącym nogi naszych katów? Jednak tego pragnę i sami w czyn wprowadzając i to Polacy — mam tu na myśli niektóre oddziały „rozsądnych“, „lojalnych“, stańczyków i ugodowców i t. p. panów — którzy głoszą „urbi et orbi“ spokój legalnego postępowania. Jakimi wrogami społeczeństwa polskiego są, oni dowodzą fakta. Jak liberya lokajska starła z ich czoła wstyd poczucie narodowe — mówią ich czyny, nie już lojalne ale wprost podłe.

Owa „szlachetna denuncjacja“ upoważniona przez Straszewicza, Pilza et touti quanti. — dziś wydaje owoce.

Biedne nasze społeczeństwo zamiast w chwili tak przełomowej jak obecna spotkać się z po-

— Podsądny — warknął Lucyferos co — masz na swoją obronę?

— Nic... wy piekielne duchy możecie się znęcać nademną, możecie zabić ciało moje, dusza u was nie zostanie! Zabijcie! nie straszną Polakowi śmierć! Polak rodząc się, jest na nią przygotowany, a konając powie jeszcze „Wstań Polsko!“

Na te słowa wachmistrz piekielny ducnął mnie rogiem w grzbiet, Panowie sędziowie spojrzeli groźnie i zaczęli naradę.

Po chwili łmci dyabeł Belzebub odczytał wyrok.

— Ponieważ Jacek Niepoprawny przyznał się sam do winy, ponieważ jednak nie boi się śmierci, a zatem śmierć to za mało dla niego, przeto Wysoki Sąd piekielny skazuje go na skonfiskowanie i oddanie w ręce lwowskiego prokuratora, aby tenże obmyślił dla niego karę.

Na taki wyrok zrobiło mi się zimno, chciałem już sam skoczyć do kotła ze smołą, ale czereda dyabłów porwała mnie znów na rogi, rzuciła przez Styks tak silnie, że się aż przebudziłem na swoim łóżku.

Przekonał się zatem, że byłem w piekle, a czarownica z Placu Smolki, która dostarczyła dyabłom miotły do podróży, może wam to poświadczyć.

Józef Znicz

mocą, uznaniem, otrzymuje mnóstwo nauk, rozpraw legalno-ugodowych, a w reasume, „uczciwą“ radę siedzenia cicho i nadstawianie piersi na strzały i bagnety moskiewskie. Ileż boli więcej ta tak zwana polityka trzeźwości, a właściwie szkolowanie narodu, jak bagnet i kula moskiewska, czyż mówić trzeba? Nie mam zamiaru stwarzać rozdwojenia, wykazując błędy drugich — lecz zwracam się do Was P. P. Ugodowcy i Wszecpolacy jako do synów jednej matki Polski a naszych braci z prośbą z serca płynącą — zrzucicie liberye dworskie, pozbędziecie się owej trzeźwości — a raczej manii szkolowania — i bądźcie prawdziwymi synami jej biednej szarpanej przez wrogów i synów własnych wspólnej matki naszej Polski.

Mimo woli i chęci wylałem trochę nagromadzonej złości — na usprawiedliwienie swoje jedno powiedzieć mogę, że i ból jaki całe uczciwe społeczeństwo nasze, a właściwie lud warszawski odczuwa do owych „trzeźwych“ rzucających gromy i udzielających rad przy zielonych stolikach ot tak „pono passer le tempis“ jest tak wielki jak wielką jest uczciwość niezgągrenowana część naszego społeczeństwa jak wielkim jest patriotyzm i miłość ojczyzny u tych maluczkich nierozumujących lecz z całym zapalem poświęcających życie i wolność za odrobinę swobód.

Dodać, jeszcze muszę że silne starania nadania ruchowi obecnemu charakteru czysto socjalno-międzynarodowego jest i podłem i głupim. Jest to chęć zachodzenia naszych szlachetnych porywów — i stwożenia opiumi że rozruchy warszawskie są jedynie burdami uliczników. Tu panowie ugodowcy przeszli nawet moskali, gdyż oni sami nie mieli tyle czelności, — co panowie ugodowcy — jak wzdzięcznym jest rząd moskiewski owym panom łatwo sobie wyobrazić — nie będzie też prawdopodobnie, praca ich bez nagrody. Posypią się może orderzy i uznania dla pracy tak „szlachetnej“ jaką uprawiają. — A wraz z nią i pogarda moskiewska. Bo i moskal choć daje order lecz czuje wstyd i pogardę dla „pierekińczyków“.

To też pismo Wasze powitaliśmy z entuzjazmem program wasz jest naszym programem. Bo czy uczciwy Polak nie musi solidaryzować się z tak szlachetnymi dążnościami? Czyż nie czas porzucić politykę bierności a wstąpić w Okres śmiałych żądań i czynów.

Czyż nie koniecznym jest zogniskowanie sił i środków i zjednoczenia wszystkich warstw i stanów w spólnym boju przeciw wspólnemu wrogowi.

Raz przecież powinniśmy powiedzieć sobie: Minął czas sennych majaczeń i lojalności, wybiła godzina stanowczych działań.

Program „Narodu“ i hasło. Walka o niepodległość Polski — znalazły silny oddźwięk u nas — licząc więc na poparcie nasze jak również przychylcie się do ogólnego głosu „chodźcie pracować do nas a my was niezapoznamy bo cele i dążenia wasze są naszymi — są tak wspólnymi, że nie może nigdy między nami rozdział nastąpić. — Nie wiercie panom „trzeźwym“ nie burdy uliczne „dla spokoju“ „uczciwych obywateli“ — słumia rząd moskiewski — ale najszlachetniejsza część społeczeństwa oddaje swe życie i wolność za sprawę wspólną. Polski, Polski niepodległej. To wierni synowie swej matki nie „warchoły“ jakimi starają się nas zrobić wobec świata — giną, — Ginę, nieznani bez oklasków, bez efektów, cicho, spokojnie idą na pewną śmierć z myślą, że krew przez nich przelana — cierpienia ich nie będą bezowocne, że wydadzą one obfite plony. Plonem tym zaś będzie nie podległa Polska.

Wiemy wszyscy aż nazbyt dobrze, że bez ofiar się nie odbędzie i że każda sprawa wielka wymaga ich ich wiele. To też śmiało idźmy naprzód nie licząc strat mając przed oczyma cel tak wzniosły, tak szlachetny.

Głos mój nie jest odosobnionym jest on głosem ogółu wraz z wami wołającego. „Komu wolność droga niech staje pod sztandarem „Narodu“.

Nie płaczem, nie lokajstwem — jedynie siłą i poświęceniem dojdziem do wolności.

Nalęcz

P. S.

W następnej korespondencji postaram się przesłać wam szczegóły sprawdzone wypadków, a raczej rzezi majowej.

DROBNE SPRAWY.

Pierwsza konfiskata. Zaledwie na widnokręgu swobodniejszych dążeń i śmielszych porywów pojawił się pierwszy numer „Narodu“, a już wygląda tak, jak sztandar bojowy, poszarpany nieprzyjacielskimi kulami.

O, bo walka o niepodległość Polski już się rozpoczęła! — nieubłagana, zązarta, krwawa!

Jeszcze nie kule stalowe, ani ołowiane świszą nam koło uszu, choć i ta chwila nieda-

leka; pierwszy, dotkliwszy o wiele atak — to strzelanie ostrymi nabojami kar i zakazów, złożonych w arsenatach księgi ustaw.

Walka społeczna dostarcza bowiem kul wszelkiego rodzaju. Są kule, które nie ciało, ale myśl druzgocą i zabijają, które łamią odrazu całe kolumny złożonych mozolnie odczonek i wyrzucają z szeregu zdań słowa najsilniejsze. Pociski takie spadają z biurka prokuratora za jednym machnięciem niebieskiego ołówka. Lecz my się tych pocisków nie lekamy. Myśl nasza w ten, czy w inny sposób przejdzie w dusze bratnie cała i nietknięta; raz zrodzonej i wypowiedzianej nie już, nawet ołówek najemnika rządowego zniszczyć ani okaleczyć nie zdoła, bo myśl jest nieśmiertelna!

Są dalej kule, ciskane milczkiem, z za płotów na pierwsze jawnie w bój idące szeregi. Tych się ustrzedz niepodobna, gdyż nie wiedzieć skąd i kiedy nadleżą, odczuć jedynie można, że pochodzą z rąk s wojskich, z rąk mnóstwa — jak się Ujejski wyraził — żyjących wśród nas kainów. Lecz i tych się pocisków nie lekamy, gdyż przesywają one grotem śmierci tylko serca słabe i zakazane zwątpieniem.

Są wreszcie kule stalowe, pod którymi padają krwią oblane ciała. Te już są zapowiedzią i znakiem zupełnego zwycięstwa, to już jest ostatni i najbrutalniejszy wysiłek przemocy, która porażona i osłepła piorunami myśli, chwytając się martwych narzędzi obrony w nadziei, że stołem mordowanych ciał przygniecie i zmiżdzy wywołanego ducha. Tych kul już się nie tylko nie lekamy, ale pożądamy ich, tęsknimy do nich, bo one nam wybiją choćby przez piersi tysięcy ofiar wyłom na szersze i wolniejsze widnokręgi.

Pod sztandar więc „Narodu“! Przy nim jedynie walka, a co za tem idzie i zwycięstwo. Poznać go łatwo wśród wszystkich innych, nadających się tylko do procesji i parady, ale nigdy do przodownictwa w ogniu bojowym. Tamte całe i spokojne, nasz od kul postrzępiony i rozwiany wichrem zapału; tamte trzymane dłońmi tohórzów i batwochwalców, nasz spoczywający w silnie zaciśniętych rękach, które ślubowały nie puścić go, choćby ostatnim skurczem obejmować go miały, choćby w nich zostało samo drzewce: tytuł — i gołdo na nim zatknięte: „walka o niepodległość Polski“!

Raz jeszcze powtarzamy wstępny okrzyk nasz: komu wolność droga, niech staje pod sztandarem „Narodu“!

Wiec narodowy. W celu omówienia wypadków w Królestwie polskim i powzięcia uchwały, jak społeczeństwo galicyjskie wobec tych gwałtów powinno się zachować, Redakcja nasza urządza w niedzielę dnia 14 bm. wiec narodowy. Wiec ten odbyć się miał początkowo publicznie, na otwartym miejscu, u stóp kopca Unii lubelskiej. Ponieważ jednak w ostatniej chwili otrzymaliśmy z policyi pisemny zakaz, przeto wiec ten przenosimy do sali p. Danki, przy ul. Szajnoch 1. 5, na godzinę 4. po południu. Wstęp za zaproszeniami, które otrzymać można w naszej Redakcji.

Przytaczamy w dostownym brzmieniu pismo c. k. Dyrekcyi policyi, usprawiedliwiające wydany zakaz:

Do

Panów Józefa Baczyńskiego i Leona Fuka
we Lwowie.

Podaniem z dnia 10 bm. prosiliście Panowie imieniem redakcyi „Narodu“ o zezwolenie na urządzenie w dniu 14 t. m. o godzinie 4 po południu „wiecu narodowego“ pod gołem niebem na polance pod kopcem „Unii lubelskiej“ z porządkiem dziennym:

1. Zagajenie.
2. Galicya wobec zajść w Królestwie.
3. Żądoba narodowa i pomoc dla ofiar.
4. Wnioski i uchwały.

C. k. Dyrekcyi Policyi na podstawie przepisu § 6. ustawy z 15. listopada 1867 Nr. 135 Dz. p. p. odmawia powyższej prośbie Panów i ze względu na dobro ogółu zakazuje urządzenia tego zgromadzenia, ponieważ wobec dodatkowego oświadczenia, jakieście Panowie w sprawie tej tu złożyli, tudzież wobec sposobu, w jaki w numerze 1. powyższego czasopisma sprawy te omawiano, nie ulega wątpliwości, iż na zgromadzeniu tem dyskusya prowadzona by była w tonie podburzającym ze szkodą dla stosunków międzynarodowych Państwa.

Przeciw temu zakazowi wolno wnieść rekurs do Prezydya c. k. Namietnictwa na ręce c. k. Dyrekcyi Policyi w przeciągu dni ośmiu (8), od dnia doręczenia.

Podpisano: *Schechtel*.

Rekursy nie wnosimy.

Karty udziałowe. Celem powiększenia funduszów naszego wydawnictwa, puściła Redakcja „Narodu“ w obieg karty udziałowe na kwotę 10 koron. Kto taką błękitną kartę z herbem polskim kupi: 1) otrzymuje przez przeciąg jednego roku czasopismo „Naród“ bezpłatnie; 2) nabywać może wszelkie wydawnictwa „Narodu“ po połowie ceny, broszury zaś pomniejsze za darmo; 3) raz w miesiącu umieszczać może w „Narodzie“ bezpłatnie, pięciowerszowe ogłoszenie; 4) ma wolny wstęp na wykłady i zebrań, urządzone staraniem „Narodu“; 5) po upływie pół roku ma prawo żądać zwrotu włożonej kwoty za oddaniem niniejszej karty.

Ktoby zapragnął stać się właścicielem karty udziałowej, na tak dogodnych warunkach, raczy zgłosić się do naszej Redakcyi.

Kapral z pod Mukdenu! Senzacya, trąbiąc na wszystkie strony! interwiewy i rozpisywanie się w całoszpaltowych artykułach o tem, że do Lwowa zawitał — tym razem nie jakiś arcyksiążę, ale — kapral, żołdak moskiewski! Osobnik, który nie z przymusu, ale z własnej woli poszedł w służbę kata, który śmie się z całą bezczelnością przyznawać do narodowości polskiej, który z pewnością ani jednego słowa prawdy nie powie, bo zaprzedałszy ciało, i duszę musiał zaprzedać carowi. Taki osobnik budzi entuzjazm naszych fabrykantów opinii publicznej, bo jak się przyznaje, podstępnie, skrytobójstwem zgładził jednego Japończyka i za to dostał order św. Jerzego! Jakto? więc dla człowieka, który w każdym innym społeczeństwie budziłby odrazę, dla takiego osobnika stępią się pióro wszystkich redakcyj „polskich“ pism we Lwowie? Więc z tego, któremu się należy pogarda, robi się bohater dnia? — Toż wy panowie, gdy przyjdzie wspomnieć o narodowych obchodach, o ile one nie są inspirowane przez „lepsze osobistości“, racycie zaledwie kilka wierszy poświęcić, a w ostatnich czasach zupełnie otwarcie żądacie za podobne „komunikaty“ wynagrodzenia — wy

panowie nie nie żądacie za to, że trąbą dziennikarską rozgłaszacie sławę moskiewskiego — kaprała? — To już zanik wstydu! Ciesz się narodie, że taką masz opinię publiczną, konsul moskiewski cieszy się razem z tobą, bo niedługo i do tego przyjdzie, że pojawi się na szpaltach „Boże caria chroni“!

Menigitis epidemica obrała swoje siedlisko w głowiznie niemieckich uczonych. Świeżo nam jeszcze tkwi w pamięci szczeniście Momm-sena, któremu prof. Balzer dał po łbie, a tu wyłazi z budy teutońskiej inny kundel, prof. Buchholz. Do licha! ta „garstka“ na „Ostmarku“ t. j. w Poznańskim musi być bardzo niebezpieczną, skoro aż z Saksonii, w Lipsku odzywa się pium desiderium profesora uniwersytetu, ażeby dla Polaków ustawowo zarządzić niemiecką spowiedź i niemieckie kazania. Nam się zdaje, że wobec tych objawów meningitis polega nie na zeszytwnieniu karku, bo parobek nawet z tytułem prof. uniwersytetu kark złamie, jednak się ukloni karykaturom królów — ale w zeszytwnieniu mózgowicy. Ostatecznie ani p. Mommsen, ani p. Buchholz nie powstrzymają biegu historii, żadne ograniczenia, rozkazy, ukazy itp. befele nie połkną Polaka. Na takie psie szczekanie najlepszym jest kij — a że p. Buchholz jest za daleko od nas, aby mógł poczuć na sobie raz polskiego kija, zostawiamy tę przyjemność naszym kolegom tam na miejscu, sami zaś wyrażamy mu tylko... pogardę.

Zapowiedziany na niedzielę dnia 14. bm. wiec kupców i przemysłowców odkładamy z powodu spraw o wiele ważniejszych i bardziej naglących do jednej z najbliższych niedziel, o czem szanownych Czytelników naszych nie zaniedbamy zawiadomić.

Natomiast zebranie Delegatów Towarzystw polskich celem naradzenia się nad jednolitością działania, odbędzie się jak postanowiono: w piątek, dnia 19. bm. o godz. 8. wieczorem w sali Tow. im. Kilińskiego.



Podziękowanie.

Towarzystwo polskiej młodzieży rękodzielniczej im. Jana Kilińskiego we Lwowie składa publiczne podziękowanie wszystkim Rodzicom chrześnym, Mieszczanstwu lwowskiemu, Stowarzyszeniom, Korporacyom i Delegatom za poparcie, jakiego doznało przy poświęceniu swojego sztandaru. Również serdeczne dzięki należy się od nas Dyrekcyi Akcyjnego Towarzystwa browarów, W Panu Ludwikowi Stadtmüllerowi, firmie Braća Didolić, S. M. Töpferowi (Naftuła) i Karolowi Witoszyńskiemu za bezinteresowne dary na przyjęcie delegatów, oraz pani Maryi Komyniewskiej, za wprost wspaniałe wykonanie sztandaru. Wszystkim razem wyrażamy staropolskie „Bóg zapłać“!

DRUKARNIA „POSPIESZNA“

(OSTRUSZKI)

Lwów, ul. Sykstuska 1. 14.

Zaopatrzona świeżo w wielki wybór czonek najnowszego kroju, jakoteż maszyny pospieszne pędzone siłą elektryczną, poleca się w wykonaniu wszelkich druków od zwyczajnych do najwykwintniejszych i to w jaknajkrótszym czasie.

POPIERAJMY SWOICH!

Stroje polskie,

męskie, damskie i dziecięce, mundury studenckie, stroje sokole, konfederatki po najniższych cenach.

Również poleca się warsztat reperacyjny dla przerobienia, nowań, czyszczenia z plam i wszelkie reperacje starannie, tanio i w najkrótszym czasie.

Wykńca znana pracownia krawiecka

Wilhelma Jabłońskiego

ul. Ossolińskich 1. 9.

Polecam wielki wybór materalów na ubrania.

STANISŁAW POCHMARSKI

L W Ó W

PASAŻ MIKOLASCHA

poleca swój

POKÓJ do ŚNIADAŃ

spokojny lokal dla rodzin i przyjezdnych znakomita kuchnia, tanie ceny - - -

Przyjmuje abonament na obiady i kolacje.

Prenumerata wynosi:

we Lwowie

rocznie 4— K.
półrocznie 2— „
kwartalnie 1— „

z przesyłką pocztową

rocznie 4.80 K.
półrocznie 2.40 „
kwartalnie 1.20 „

Numer pojedynczy
8 groszy.

NARÓD

KTÓREGO HASŁEM:

»walka o niepodległość Polski«.

Redakcja i Administracja
ul. Ossolińskich 1. 9.

Ogłoszenia: wiersz petitowy
jedenospaltowy lub jego
miejsce 20 groszy.

Listów nieopłaconych Re-
dakcja nie przyjmuje i re-
kopisów nie zwraca.

Reklamacje wolne są od
opłaty pocztowej.

WYCHODZI W PIĄTEK WIECZOREM.

NACZELNY REDAKTOR: LEON FUK.

Nasza myśl przewodnia.

„Niech ku północy z cichej się mogiły
Podnieś naród i ludy przeleknę,
Że taki wielki posąg — z jednej bryły!
A tak hartowny, że w gromach nie pęknie!
J. Słowacki.

Niezgoda! Stusnie nazwać cię można wrogiem ludów — wolności. Wybranko piekieł! siejesz i zbierasz ziarna nienawiści, przez ciebie upadają narody najsilniejsze, najbardziej żywotne. Precz z Tobą! Tak precz! Nie chcemy cię znać! Zbyt wiele zła zrobiłaś u nas, wieki u nas gościsz, a każdy krok twój znaczony jest pozogą i krwią. Ty wkradasz się wszędzie i burzysz i niszczysz najszczytniejsze zamiary — wieczny wrogu ludzkości!

Tak jest — niezgoda jest złem — przyzna to każdy i chętnie na temat ten schodzi, a jednak..... jednak każdy ją sieje, każdy stara się o zwiększenie przepaści. — Każdy sieje nienawiść, a pragnie zbierać owoce zgody.

Mamy tego ponowny dowód. Z chwilą powstania „Narodu“ niektóre pisma lwowskie rzuciły się na „Naród“ z zapalem godnym lepszej sprawy. Nie krytyka, nie ironia, lecz nienawiść przebiega się z każdego słowa owych notatek dziennikarskich i artykułów. Czyż w chwili tak przełomowej, jak obecna, wypada nam tracić czas i siłę na szerzenie zła i nienawiści? Nie! Tem bardziej, że celem i programem „Narodu“ jest jednoczyć, stwarzać zgodę, a nie zwiększać rozpręczenie. Wszakże wszyscy aż nazbyt dobrze odczuwamy skutki waśni partyjnych! Nam cel święty przyswieca — zgoda, wam — nienawiść. Lecz wyrzutów Wam z tego powodu nie robimy i robić nigdy nie będziemy; owszem zawsze zwracać się musimy i będziemy do Was, jako do braci naszych, jako do synów jednej wspólnej nam Matki Polski, braci zbłąkanych — lecz nie złych. Przez Was przemawia owo charakterystyczne, wiekowe „veto“. — Wy nie jesteście wrogami idei naszych..... tylko prywatą, chęć błyszczenia i to, że myśl ta nie od Was wyszła, każe Wam być przeciwnikami naszymi, — nie wrogami. Boć wrogami nigdy nie mogą być synowie jednej matki. Wszakże dotąd nie zwyrodnialiśmy jeszcze i pewnie nigdy to nie nastąpi. — Zgodę się myślimy i owoce jej zbierać, a jak szlachetne ziarno, rzucone w ziemię, szlachetny owoc wydaje, tak i my spodziewamy się owoców szlachetnych pracy naszej.

Nie rzucanie oszczerstw na rozliczne stronnictwa nasze, ale jednoczenie jest naszym celem. My nie chcemy być i nie będziemy jedną z tysięcy owych „partyj“, „partyjek“ — w wiecznej walce ze sobą pozostających. Bo nam tego nie trzeba — mamy ich aż nazbyt wiele, natomiast brak nam organizacji, któraby łączyła wszystkich — krzywdzonych przez najeźdźców. Celem naszym jest zdobycie niepodległości politycznej, a cel ten dopiąć się da jedynie wspólnymi siłami. Zawsze mając na oku dobro Ojczyzny — bezwzględnie występować będziemy przeciw złu, a nie przeciw partynom. Nie nienawiść, lecz — zgodę niesiemy. A więc Bracia Rodacy! razem dążmy do jednego, wspólnego nam celu. Do czynu więc Rodacy! Czyni jedynie przyniosą nam korzyści, z waśni naszej korzystają wrogowie nasi i oni ją sieją. Groźną i silną potęgą będziemy w chwili zjednoczenia i cały świat zadziwim. Polska jak była wielką — będzie i być musi, siła i chęci nam nie brak, brak nam jedynie zgody..

„Lecz dość już, bo sądzę, nowe słońce
[przyjdzie
Oświecać nas

Redakcja.

Wiec narodowy.

Ważne dzieło: objęcie czynnem życiem politycznem najszerzych kręgów społecznych, powołanie ogółu do samodzielnego sądu nad sprawami narodowymi, do bezpośredniego wpływu na los swój i na bieg dziejowych zdarzeń — dokonało się wczem, który Redakcja „Narodu“ urządziła w niedzielę, dnia 14. maja.

Rzecz jasna, że pierwsza próba wyrwania ospałych, obojętnych na własną dolę rzesz zmysłowej bezwładności, pierwsza pobudka, wzywająca do wyżej, o własne wyłącznie siły opartej pracy, musiała po tylu latach ciszy i zastoju odbić się ledwie dostępnym echem, przejść prawie bez wrażeń.

Nie taimy się z prawdą, że wiec pod względem ilości uczestników, — choć na sali dość rojno było i gwaro — i pod względem nastroju nie okazał się godnym sprawy, której swe powstanie zawdzięczał, myśli, którą uchwałami swemi miał uświęcić i zatwierdzić.

Milczeniem ani kłamstwem ukrywać tego smutnego zdarzenia nie będziemy. Nie było ono dla nas niespodzianką, bo, patrząc na stosunki naszego kraju okiem, wolnym od wszelkich uprzedzeń, nie trudno nam było przewidzieć, ilu i jakich słuchaczy mieć przed sobą będziemy. Usłyszeli nas ci, którzy nie śpią, lecz czuwają, którzy żadnego ruchu, ani objawu życia społecznego nie lekceważą, ale wszędzie w pierwsze się szeregi cisną i tym właśnie wytrwałym, nie znającym żadnych przeszkód, podstępem wysunęli się na czoło społecznych dążeń, a w naszym kraju stali się siłą, która zagarnęła kierownictwo spraw narodowych w swoje ręce. Ci nas mimo wrzasku niedzielnych orgii i szynkowych gwarów usłyszeli i przyszli. A przecież zaproszenia nasze nie były wydane dla jednej tylko partii, dla jednej klasy, ale wzywały wszystkich braci bez różnicy zapatrywań i zawodów, wszystkich, którzy z ofiarami gwałtów moskiewskich współczują i w pomoc walczącym z bezczelnym carskim rządem pospieszyć pragną.

Wiec ofiarom tym wyraził jednogłośnie przyjętą rezolucją cześć, a tyranowi moskiewskiemu oburzenie i pogardę.

Nie zatrzymujemy się jednak długo nad przebiegiem obrad, bo mają one podrzędne tylko znaczenie.

Zastanowimy się zato nad pobudkami, które kazały nam wiec ten zwołać i nad skutkami pierwszego zgromadzenia narodowego. Powiadamy pierwszego, bo nas bynajmniej ten trudny początek nie zraził, ani nas w zamiarach naszych nie powstrzymał, owszem energię naszą napiął do najwyższego stopnia, wykazując jaki ogrom pracy włożyć trzeba w społeczeństwo, aby się ono ocknęło i poczęło żyć nie narzuconem mu lecz własnem, naturalnem życiem. Za tym pierwszym wiecem pójdzie niebawem drugi, trzeci, i dalsze, a każdy z nich coraz silniejszym odgłosem odbije się po całym kraju, coraz poważniejszymi cieszyć się będzie skutkami.

W państwie, które nas tak sprytnie oszukuje pozorami wolności, które nam konstytucyjnymi prawami rzuca, jak piaskiem w oczy, a w rzeczywistości z nieubłaganą konsekwencją na każdym kroku niszczy i upośledza, w takim państwie zadowolić się parlamentem i sejmem krajowym, a więc ciałami, ustawą określonymi i sankcją najjaśniejszego zatwierdzeniem — jest nierozsądkiem i zgubą. Omamieni łachmanem samorządu i urojonym wpływem na losy państwa za pośrednictwem poselstwa do parlamentu, nie robiliśmy dotąd na własną rękę nic, — i czegośmy się doczekali? Zbyt dobrze znamy wszyscy reprezentację kraju naszego w Wiedniu — Koło polskie, abyśmy na tę karykaturę władzy narodowej nie mieli wzruszyć ramionami, i ze wstrętem odwrócić się od niej. A odwróciwszy się, nie znajdujemy żadnej ostoji dla naszych zadań i interesów, żadnego zbiorowego ciała, któreby

godnie zastępować mogło społeczeństwo i któreby było zdolne do obrony spraw narodowych.

Taką samoistną organizację, taką powszechnie uznaną władzę narodową która byłaby wyrazem woli ogółu polskiego, musimy stworzyć poza ustawami austriackimi i nie za granicą kraju, ale tu — w jego stolicy — we Lwowie.

Zanadto bowiem daleko od swoich wyborców przesiadują posłowie nasi, a zbyt blisko stoją centralnego rządu, który ich urokiem swoim oślepią i przygnębią, zanadto nikłą jest odpowiedzialność ich przed społeczeństwem, które się sprawami polityki niewiele zajmuje, a zbyt kuszące obietnice i nagrody za wiernopoddaną służbę, aby się tym ponętem posłowie nasi o-przeć zdołali, aby dobro ogółu, od którego niewiele spodziewać się mogą, wyżej stawiali od interesu osobistego. To też korzyści, które kraj nasz odbiera od swoich pełnomocników w porównaniu ze szkodą wyrządzoną nam przez rząd, są iskieką pociechy wobec morza łez, są miedziannym groszem zapłaty za góry złota, wywożone z Galicji całą siłą pary. Tak więc reprezentacja jaką obecnie mamy w Radzie państwa, jest nie chlubą, ale hańbą naszą. Przez nią cały naród doznaje upokorzenia, przez nią spada na społeczeństwo ta niemoc, która wszystkim dobre chęci ubezwładnia. Nie od nich oczekiwać powinniśmy polepszenia doli materialnej i moralnej. Jeśli chcemy się dźwignąć, musimy zamknąć się w granicach kraju swego, tu się wprzód zjednoczyć, tu wytworzyć własny, na zasadzie wolnego i powszechnego głosowania wybrany parlament, a dopiero wtedy taką siłą wyrwać nacisk na rząd centralny. Wtedy nas z pewnością, żadne niespodzianki ani upokarzające odprawy oczekiwać nie będą. Wtedy wolę naszą, wyrażoną zjednoczonymi głosami wszystkich obywateli, przedstawiciele nasi we Wiedniu będą musieli wykonać! Dziś oni rządzą społeczeństwem czas, aby społeczeństwo im dyktowało swoje żądania. Dopóki nasze sprawy narodowe w zaborze austriackim odsyłane będą do Wiednia, dopóki w stolicy Austrii, zamiast w stolicy Galicji skupiać się będzie nasze życie polityczne, póty będziemy lekceważeni, deptani i bezsilni. Stańmy się tu w Austrii narodem pierwszym i najpotężniejszym. Warunków po temu nam nie brak.

Pomimo prześladowań i zakazów, któremi przemoc usiłowała zamiary nasze już przy zwołaniu pierwszego wiecu narodowego zniszczyć, doprowadzimy naszą myśl do skutku! Z początku wiece te, złożone z uczestników bez wyboru, z ludzi dobrej woli, którzy na wezwanie nasze sami przyjdą, będą z konieczności beładne i niedoskonałe. Ale później, kiedy ustali się sposób wyborów, kiedy wszystkie warstwy i stany będą miały swoich przedstawicieli w tem zebraniu, wiec przemieni się w prawidłowy i stały, nie bagnetami wyduszony, ale z wolnych przekonań wypływający parlament, który kierować będzie losem, do austriackiego organizmu państwowego sztucznie przyklepionej Polonii.

Albowiem do naszego istnienia, do życia i wolności koniecznym warunkiem jest własny parlament, a więc i rząd narodowy tu, w Galicji.

Z Rosji podziemnej.

Ruch rewolucyjny w Królestwie Polskiem poniekąd zmusza nas do zwrócenia uwagi na Rosję rewolucyjną, a to tem bardziej, iż ciągle stoi niezdecydowani wobec problemu: razem czy osobno?

Najwięksi rewolucyoniści rosyjscy jak: P. Struve, Krapotkin, A. Herzen, Bazylewskij, A. H. Christoforof, W. Debogorij, — Mokriewicz, A. Isajew i N. Lenin z całym naciskiem zaznaczają, że jeśli praca rewolucyjna w Rosji ma przynieść

jakikolwiek korzyści ludom, zamieszkującym Rosję, natenczas winni się łączyć, — dalej wykazują, jak zgubnym jest separatyzm w sprawach rewolucyjnych narodów i że jedynie z separatyzmu korzysta carat, gniołąc brutalnością i gwałtami jedną po drugiej organizację rewolucyjną, gdy natomiast silnym i groźnym dla caratu byłby rewolucjonizm zorganizowany i zjednoczony. Między innymi w ostatniej swej odezwie do Polaków rewolucyoniści rosyjscy mówią:

„mimo zarzutów, z jakimi się spotykamy, że celem i dążnością naszą jest wyzyskać siły wasze a następnie zrusyfikować was, zwracamy się do was. Wspólna praca rewolucyjna może nas podnieść, zmusić carat do abdykacji z swej uzurpatorskiej władzy i dać nam swobodę, do której tak Wy, jak i my dążymy. Obawy wasze zrusyfikowania są pienne i niczem nieugruntowane, gdyż niemożliwym jest, aby naród, stojący kulturalnie wyżej, politycznie więcej wyrobiony, mógł dać się wynarodowić. Cel wasz jest naszym celem, walka z samodzierżawiem jest nam wspólną, tak my, jak i wy pragniemy wolności i zrzucenia wstrętnego jarzma przemocy i ciemnoty. Sami aż nazbyt dobrze odczuwamy, iż stosunkowo do waszego politycznego wyrobienia, waszej inteligencji — mało wam dajemy — lecz natomiast dajemy wam siłę brutalną — lecz siłę, której wam brak, którą częściowo wyczerpalicie w przeszło wiekowej walce z najeźdźcą waszym, a wspólnym naszym ciemniwcą. Rewolucyoniści Polacy, łączmyż się we wspólnym celu: do wywalczenia praw ludzkich i obalenia caratu. Precz z caratem! Precz z samodzierżawiem! Precz z ciemnotą!“

Odezwą tą, wydana w języku polskim i rosyjskim, w kolosalnej liczbie rozrzuconą została po Królestwie. Nie koniec na tem, w jednym z ostatnich Nr. pisma rewolucjonistów rosyjskich „Swoboda“, N. Lenin zwraca się do Polaków w jednym z swych artykułów i w wywodach swych punkt po punkcie stara się wykazać zgubne skutki separatyzmu, a udowodnić ponadto cyfrowo, ile złego przynosi rewolucjonistom polskim i rosyjskim rozstrzelanie sił — dowodząc, że na tem zyskuje jedynie carat. — W końcowych swych wywodach mówi: nie zwracamy się do Finów, Finlandczyków, Kurlandczyków, Tatarów lub innych narodowości, zamieszkujących Rosję, również ciemniżonych — gdyż oni dawno już spodłeli, dawno stracili swe ideały i myśl o swobodzie. Dziś są tak dobrzy katami Rosyan, jak i swych braci, a carskimi płatnymi sługami, niewolnikami podłymi. Czyż więc naród taki zdolny odczuć ból ludzi wolnych? Nie! Niewolnik z urodzenia nie marzy o wolności!“

Przytoczyliśmy tu dwa charakterystyczne dokumenty, dowodzące, jak wre w Rosyi i jak usilnie pragnie rosyjska partja rewolucyjna zjednoczenia sił do walki z caratem. Wulkan zakryty szmatą porusza się — groźny ruch rewolucyjny w Rosyi coraz to straszniejszy dla caratu przybiera rozmiary. Nie pomogą gwałty, wyroki śmierci, aresztowania i zsyłki — owszem przeciwnie rozgoryczają one lud coraz to bardziej i z najbardziej lojalnych robią rewolucjonistów. Wciąż dochodzą wieści, że niema dnia, aby nie było licznych aresztowań w Moskwie, Kijowie, Odesie, Tomsku, Kazaniu i wielu, wielu innych miastach Rosyi. Niezadowolenie i rewolucjonizm wkrada się wszędzie do wojska, urzędów, szkół, pałacu carskiego. Lud zaczyna tracić wiarę w cara i popów — a starają się o to usilnie rozliczne partje rewolucyjne. Nie pomagają, już sztucznie wywoływane rozruchy antysemickie, nie pomogą kanonizacja nowych świętych — lud i inteligencja domaga się praw — swobody, zamachy mnożą się z dnia na dzień. Carat bezsilny w walce z rewolucjonizmem, popełnia jeden błąd za drugim, dając temsamem coraz to ostrzejszą broń sferom niezadowolonym. Już nie gminili tylko — lecz i ziemiaństwo rosyjskie pragnie zrzucenia jarzma carsko-czynowniczego. To też dziś aż nazbyt dobrze zdają sobie sprawę sfery czynownicze, że walka z ich strony jest bezowocną. Wysiłki zgniecenia ruchu rewolucyjnego bezskuteczne. Dużo, bardzo dużo pomaga też rewolucjonistom niepowodzenie armii rosyjskiej na Wschodzie.

Może przecież doczekamy się jutrzeńki swobody dla narodów ciemniżonych. Sami, walcząc o swobodę, o niezależność, odczuwamy dobrze bole drugich.

R.

Rozłam wśród młodzieży.

Rok już dobiega, jak młodzież lwowskich szkół średnich, połączona od lat kilku wspólną pracą nad przygotowaniem się do pracy obywatelskiej w przyszłości, rozpadła się na dwie wrogie grupy.

Przyczyny tego rozłamu obie strony z początku jasno nie rozumiały. Jedni kładli ten fakt

na karb ambicji przeciwników, drudzy przypisywali całą winę sferom, kierującym ruchem narodowym wśród młodzieży.

To nieświadomienie sobie istotnej przyczyny nieporozumienia doprowadziło do chwilowej zgody, a następnie do jeszcze głębszego rozdziału.

I wtedy dopiero poznano, że nie osobiste intrzygi lub żądania drobnostkowych zmian odgrywają tu główną rolę, ale różnice pojęć i temperamentów.

Te różnice zaznaczyły się przedewszystkiem w odmiennym pojmowaniu przez obie strony stosunku ogółu młodzieży do jej kierowników w pracy poza murami szkolnymi. Jedna część uznawała ich kompetencję we wszelkich sprawach, nie myślała wcale o wpływie na skład grona kierowników, a co ważniejsza starała się zachować w przyszłości status quo. Druga część o żywszym temperamencie i większej samodzielności — nazwana w pospiechu rebelią — pragnęła więcej niezależności od kierownictwa, a nawet żądała kontroli ogółu młodzieży nad nim.

Nie mało też przyczyniły się do rozłamu sprzeczne poglądy na udział młodzieży w życiu narodowym. Grupa lojalnych zakreśliła sobie bardzo szczupłe pole działania — jedynie wśród kolegów szkolnych, bo hasło łączności z młodymi rzemieślnikami rozkołysało tylko fale powietrzne i dotarło tylko do uszu, a nie do dusz i umysłów. — Przeciwnie grupa secesyjna rwała się do szerszych szranków pracy, szczerzej wyznawała hasło równości stanów, bardziej wiązała życie młodzieży z życiem całego narodu, dlatego nie zasklepiła swych aspiracji w szablone szkolnym, dlatego rościła sobie prawo do odczuwania bólów i chwil radosnych narodu, dlatego też wbrew kleszczom przepisów szkolnych rwała się do śmielszych czynów.

Ta różnica psychiczna między tymi dwoma odłamami młodzieży widnieje w litografowanych pismkach, wydawanych przez te dwie grupy p. t. „Pobudka“ i „Znicz“. W ocenie tych pismek wdawać się nie można na tem miejscu. Zaznaczyć tylko trzeba, że ani w „Pobudce“, ani w „Zniczu“ nie postarano się ściśle sformułować tych różnic psychicznych, które stały się powodem rozłamu. Widać w tem przeto pewien brak samokrytycyzmu i samodzielności, a często spotkać można wiele bezwiednego naśladownictwa czyto „Przeglądu wszechpolskiego“, czy też różnych „społeczno literackich“ tygodników. Zarzut taki można śmiało uczynić dlatego, że młodzież, grupująca się około tych dwu pismek, jest nadto dojrzała, by miała hołdować jeszcze popisowości.

Prócz tego znajdujemy jeszcze jeden brak — brak silnego oddźwięku na grzmot fal dziejowych, przelewających się tuż za kordonem. Ale tu można zawołać z poetą: „O rękę karaj — Panie — nie ślepy miecz“, bo wina tego bezowocnego spadła na tych, co uchwycili ster politycznego życia narodu i sprowadzili je na drogę legalizmu.

W ostatnich czasach jednak widać, jak ten początkowo nieświadomy rostrój psychiczny wśród młodzieży, przemieniać się zaczyna na rozłam świadomy. Jedna część pozostaje na stanowisku starego pokolenia — przy sztandarze legalnej nielegalności... co najwyżej, a druga rzuca starą, kłamną drogę, nie waha się stanąć w szeregach młodego pokolenia czynów — nie waha się wstąpić na drogę rewolucyjnej nielegalności. I tu trzeba stwierdzić fakt, że przeważnie ta grupa, która wywołała rozłam, jest w szeregach tych, co „mierzą siły na zamiary“.

Wpływ i liczba tej grupy zwiększa się. I nie dziw; bo gdzie młodość i żywotność — tam siła. Stanowczości Wam teraz potrzeba i tej żądamy od Was, coście wstąpili na drogę Wyzwolenia!

Szczerość socjalistyczna.

W pierwszym N-rze naszego pisma zarzuciliśmy socjalistom wogóle, a nie P. P. S. brak patriotyzmu — a dalej idąc, wrogie usposobienie dla patriotyzmu. Spotkała nas za to wycieczka niezbyt mądra, a skierowana przeciw jednemu z naszych współpracowników. Nie reagowaliśmy na nią, bo w jaki sposób reagować na głupstwa? Postaramy się jednakże wykazać, jak czczeniem i głoszeniem było to zaprzeczenie w obec idei i teorii socjalistycznych. Tak tu w Galicji, jak i w Królestwie socjalizm jest szkodliwy dla nas, stwierdzamy to ponownie, a szkodliwym będzie dotąd — dopóki nie porzuci „międzynarodówki“.

W odpowiedzi na zaprzeczenie tutejszej partji socjalnej cytujemy dosłownie wyjątki z broszury Nr. 5., wydanej u S. Gutta w Zurichu. Wiemy, iż panowie z P. P. S. zaprzeczają, że głoszą znowu stwierdzać będą swój patryo-

tyzm — a wypierać się S. D. K. P. L., twierdząc, iż oni jedni z socjalistów mają patent na polskość. Ale — czyż teorie socjalistyczne nie są wspólne? Czyż wodzowie i teoretycy socjalistyczni, jak Karol Fourier, Saint-Simon, Karol Marx i Fryderyk Engels nie wskazują im ciągle międzynarodówkę, jako ideału socjalistycznego?

Na stronie 19. wspomnianej broszurki czytamy: „Odbudowanie Polski jest dziś już samo przez się mrzonką“.

„Odbudowanie Polski nie jest i nie może być zadaniem polskiego proletariatu“.

Czytamy tam także: „Klasa robotnicza dąży jedynie do zniesienia absolutyzmu w Rosyi, a nie do oderwania Polski od Rosyi“.

Nader charakterystycznym jest też ustęp: „Sprawa robotnicza nie ma nic wspólnego z tradycjami powstań i dążeniem do odbudowania Polski. Polski proletariat tem mniej może wziąć na siebie zadanie odbudowania Polski, które szlachta dawno już porzuciła, a burżuazja polska nigdy nie miała! Nawet wówczas, skoroby klasa robotnicza zdobyła rządy polityczne, zadaniem jej będzie nie odbudowanie Polski, tylko zaprowadzenie ustroju socjalistycznego“.

Szczerość socjalistyczna w tej broszurce pozwala nam odkryć rąbek owego płaszczyka patryotycznego, którym socjaliści zawsze i wszędzie się okrywają — jedynie dla zyskania zwolenników — i poklasku u gminu, gdy faktycznie dążenia ich i cele są wprost wrogie polskości. Na dowód jak wrogie przytaczamy jeszcze jeden ustęp w dosłownem brzmieniu:

„My nie chcemy Polski i nie tylko nie chcemy, lecz głęboko jesteśmy przekonani, że wyzwolenie Polski przez lud jest dziś absurdem“.

„My zerwaliśmy raz na zawsze z programami patryotycznymi. Te zasady partja głosiła, a są one i dziś jeszcze „credem“ socjalistów wszystkich odcieni i grup“.

„Kto się zwraca do robotników, namawiając ich do odbudowania Polski, ten oszukuje lud“.

Tak to partja socjalistyczna ostrzega klasy robotnicze przed patryotyzmem, wskazując natomiast i zalecając potrzebę łączenia się i zlewania w jedną całość wraz z socjalistami Rosyi. Jako zaś dewizę swą dają:

„Socjalizm jest dążeniem międzynarodowym“.

Niepotrzebnie więc Pp. socjaliści napsuli sobie tyle krwi, irytując się na słowa prawdy, Sądźmy że obecnie dyskretnie zamilczą, co byłoby najlepszym z ich strony. Tembardziej, że zastrzegamy się, iż nie występujemy przeciw partji, lecz jedynie przeciw, złu które ona szerzy, stwierdzając fakt, że socjalizm nie miał nigdy i nie ma tła patryotycznego. Ostrożni więc bądźmy bardzo i starajmy się przeszkodzić wrogiej pracy — dla narodu, a wrogą ona jest już temsamem, że stara się pozbawić lud i klasy pracujące — patryotyzmu, a wzbudzić nienawiść klasową. Pano- wie ostrożnie, kto sieje wiatr, zbiera burzę!

Z zaboru pruskiego.

Ostatnie wypadki w Królestwie Polskiem odbiły się silnym echem w Ks. Poznańskim i na Górnym Śląsku. Wszystkie pisma poznańskie i górnośląskie bez względu na kierunek, jaki reprezentują w artykułach i odezwach, dały wyraz swemu oburzeniu na gwałty moskiewskie. Utworzono też komitet, którego zadaniem jest zbieranie składek „dla głodnych rodaków pod zaborem rosyjskim“. W ogólności każdy ruch narodowy, każda myśl nowa znajduje tu podatne pole. Stosunki w jakich żyje Księstwo i Górny Śląsk prawie niczem się nie różnią od stosunków Królestwa. Tak w Kongresówce jak i pod zaborem pruskim rząd gwałci prawa, których winien być stróżem. Widząc zaś co raz to większą żywotność społeczeństwa tamtejszego, wysiła się na szykany i prawa wyjątkowe, a w pogoni za środkami — popełnia gorsze niejednokrotnie błędy, niż rząd moskiewski.

Przy ostatnich wyborach w Jeżycach p. Poznaniem dopuszczano się wprost wstrętnych nadużyć. Landrat chcąc przeprowadzić swoich kandydatów sfałszował listę wyborczą w ten sposób, że usunął wszystkich Polaków obywateli, nie zamieszczając na liście ni mniej ni więcej tylko 150 Polaków, naturalnie wybory wobec tego poszły po myśli Landrata.

Stale urządzone od lat kilku zebrania licznych Towarzystw, spotykają się obecnie z coraz to większymi szykanami, a powodem tego obawa, aby które z nich przypadkowo nie omawiały strasznych gwałtów i mordów, popełnianych na naszych rodakach przez moskali.

Mimo ciągłych zaprzeczeń fakta mówią, iż rząd niemiecki jest wprost na usługach rządu moskiewskiego. Czyż jakiegokolwiek cywilizowane państwo wydałoby dezertera wojskowego i to jeszcze podczas wojny? Zapewne nie. Zrobiły

to Prusy w kilkunastu wypadkach na Górnym Śląsku i Prusach wschodnich. Poruszenie tej sprawy tak w sejmie pruskim jak i Reichsracie niemieckim było bezskuteczne.

Jak wielkie oczy ma strach, dowodzi oryginalny telegram wysłany przez hakatystów śląskich do Berlina. Oto brzmienie jego: W Zabrzu (G. S.) aresztowano studenta, który uprawiał agitację Wielkopolską. Spodziewaną jest rewolucja polska na Górnym Śląsku.

Do czego nie doprowadza kołowaczyna polska wśród Niemców!...

„Katolik“ ultra — katołickie, centrowe piśmi-dło — i po wystąpieniu ks. Dr. Stefana znanego agitatora, uchodzącego za Polaka, w gruncie rzeczy bardzo szkodliwego dla sprawy narodowej na Śląsku, jak tytułu tak i tendencji nie zmienił prowadząc dalej walkę z „Górno ślązakiem“ i „Głosem Śląskim“, starając się wprowadzić rozłam między Polakami górnośląskimi. Zwalczając socjalizm jako taki stawia wprost wrogie narodowości i dążeniom naszym postulaty. Przenosząc łączność z centrowcami germanizującymi Śląsk nad kompromis z socjalistami, których organ „Gazeta Robotnicza“ wychodzący w Katowicach stokroć więcej okazuje zająć się sprawami polskimi na Śląsku. Można i niejednokrotnie trzeba wystąpić przeciw socjalistom, jednakże w tym wypadku przyznać musimy, że o wiele więcej zasługują na nasze poparcie i uznanie niż „Katolik“ organ rzekomo polski, w gruncie pozostający na usługach ks. kardynała Koppa. Na dowód jak bezcelnymi są niemy, przytoczymy następujący fakt: do leszczyńskiego „Nowego Czasu“ pisze jakiś „Amtskatolik“ z oburzeniem jak Polacy katolicy śmiały żądać polskich nabożeństw w Lesznie, mieście nawałnością niemieckim (Leszno miasto polskie i katolickie w księstwie Poz. zaznaczyło wyraźnie i niejednokrotnie swą polskość. Przp. Red.) w kościele będącym „własnością“ niemieckich katolików (wybudowany przez wojew. Leszczyńskiego w XVI w.).

Wydalania Polaków z pod zaboru austr. są dalej na porządku dziennym, a rząd niemiecki kpi sobie z rzekomego memoriału hr. Gołuchowskiego, który przyrzekł „gorąco“ zająć się tą sprawą. Jak poprzednio tak i obecnie systematycznie wydala robotników polskich z Prus.

To też dziwną i niezrozumiałą jest propozycja aneksji Król. kongresowego na rzecz Austrii lub Węgier albo Prus. Do licha, niewiem czy homont austriacki, węgierski lub pruski lepszy od moskiewskiego — według mego zdania wszystkie djabła warte, bo gniotą.

Jubileusz Gołuchowskiego.

Doczekaliśmy radosnej chwili. Cieszymy się! Na wysokościach, które zaledwie snem dosięgnąć mogą marzycielskie głowy naszych baronów i hrabiów, błysnął silniejszym światłem polski klejnot w habsburskiej koronie: Agenor hr. Gołuchowski. Ten błysk jeden wystarczył, aby rumieńcem szczęścia rozpromieniły się oblicza polskie, aby wydarł się z tysiącznych krtani galicyjskich zębraków okrzyk uwielbienia i zachwytu, aby poruszyła się żółta zazdrości w łonie tych, którzy nad głową noszą także koronę — ale tylko o siedmiu lub dziewięciu pałkach. Tak wysoko! — przy samym tronie! Sama myśl ta zabija radością. Cieszymy się! Bo to nasz rodak! Tak, to nie złudzenie; rzeczywisty Polak! Na kolana! Wszyscy, cały kraj, jak długi i szeroki! Gdzie słowa, któreby godnie były znaleźć się w hymnie pochwalnym? Są już, są już! Cicho, stolica mówi w imieniu swoim i w imieniu narodu: „Stolica Galicyi bierze żywy udział w uczczeniu 10 rocznicy objęcia przez Ekscelencyę steru spraw zagranicznych monarchii. Jesteśmy dumni, że na tak wysokim i zaszczytnym stanowisku pracuje całą duszą na rzecz pokoju ludów całej monarchii Polak i że Go wyszczególnia łaską dobrotliwego monarchy. W dniu jubileuszu pospieszamy imieniem reprezentacji tej stolicy, która jest kolebką życia Twego, złożyć szczerze życzenia, aby Bóg pobłogosławił dalszej Twej pracy na pożytek i chlubę całego państwa i narodu naszego. Michalski, Ciuchciński“.

Błogosław Boże dalszej pracy tej, bo ona dla nas, uciśnionego narodu tak potrzebna, tak zbawienna i taka chlubna! Błogosław! — mimo tej krwi, co się strugami toczy po rynsztokach warszawskich, mimo tych jęków kobiecych i dziecięcych, które o uszy dostojnego jubilata uderzają jak o martwy głaz, mimo tych łez, co spadają z oczu poznańskich braci, ustępujących z rodzinnej ziemi przed brutalną stopą prusaka, — błogosław pracy tej, bo ona wysila się „na utrzymanie trójprzymierza, bo jej dziełem jest“ „stosunek przyjazny między monarchią habsburską i Rosją, stosunek, będący przeciwwagą trójprzymierza“. Błogosław pracy tej, bo ona brzemieniem zdrady ciąży nam, bo ona krwawi nas, bo ona gardzi nami i depce po nas!

Na kolana, tłumie niewolników! Ten wielki mąż, „wyszczególniony, łaską dobrotliwego monarchy“ to Polak! Uczcij go nie tylko hołdowicznymi okrzykami, ale i krwią serdeczną — przetopioną w grosz, wystarczającą ledwie na kawałek codziennego chleba. Do składek! — na pomnik! Niech stoi przed oczyma naszymi po wieczne czasy to kamienne widmo polskiej pychy, polskiej zdrady i polskiej hańby.

Do składek — na pomnik!

Miejsca mu tu u nas nie odmówią.

Przejęta głębokim zachwytem rada miejska odstąpi bez wahania najpiękniejsze i najstosowniejsze miejsce dla niego — wprost naprzeciw sejmowi krajowego.

Niech stanie drugi posąg: wielkiego syna, obok wielkiego ojca!



Kazimierz Mokłowski

Zmarł, w sile wieku bo w 35 roku życia, a życie to nie było usiane różami. W ciągłej walce życiowej i społecznej; przedwcześnie stargał swe zdrowie. Ogólnie znana to postać na bruku lwowskim sympatyczny, zawsze pełen życia i energii mimo swego kalectwa śmiało mógł służyć wszystkim za wzór. Wiecznie zaabsorbowany pracą społeczną, zapominał o sobie i swych najbliższych nawet — dla sprawy wyższej — dla kraju.

Idealista, marzyciel, może nieraz zapoznawał środki lecz nigdy celu; to też popchnęło Go w szeregi socjalistów. Nie z przekonania socjalno — demokracja lecz uczciwy i sprawiedliwy odczuwał krzywdy maluczkich to też jedynie było powodem, że został w partii socjalnej widząc, iż ona jedynie zajmuje się ludem i klasą robotniczą niejednokrotnie skrzywdzoną, a zawsze poniewieraną. Ukochał całą swą gorącą duszą tych małych i był zawsze ich orędownikiem.

Jako przeciwnik polityczny, był zawsze sprawiedliwym nie powodując się szowinizmem partyjnym. Tak dobrze wykazywał błędy konserwatystów jak i socjalistów; a z całym uznaniem podnosił strony dodatnie. Sam szlachetny cieszył się, jeśli tu lub tam znalazł coś szlachetnego, wówczas to twarz jego uśmiechnięta zawsze — rozpromieniała się.

Był to jednym słowem ideolog, szlachetny i rycerski.

Już jako słuchacz politechniki lwowskiej dał się poznać, nie chowając pod korzec prawdy i prawdą ta a raczej szczerość i zapał młodzieńczy wypędyli Go z techniki lwowskiej.

Był to coprawda rok rządów policyjnych na technice naszej pamiętny rok 1892.

Wróciwszy po kilku latach do kraju, z tym samym zapałem, a większym, nabytym doświadczeniem, rzucił się znów w wir spraw politycznych. On jeden w partii socjalnej reprezentował kierunek narodowy, a reprezentował godnie. On jeden stał w obronie sprawiedliwości i nieraz zwalczał ludzi swych przekonań, w obronie przeciwników politycznych.

Był to Polak i obywatel który ukochał duszą całą Ojczyznę i pragnął jej dobra, pracując z całym poświęceniem dla kraju, to też niechże mu lekka będzie ziemia matka. Nie pragnął on nigdy zysku, owszem przeciwnie — poświęcał wiele dla sprawy narodowej. Jako architekt wskazał nowe drogi sztuce polskiej i budownictwu; zwalczając styl gotycko — germański, wskazując śliczne motywy sztuki swojskiej: ludowej.

Polakowi i obywatelowi cześć!

Korespondencje.

Warszawa 15. maja 1905.

Nowa era carskich „ulg“ zaznaczyła się nowymi potokami krwi na ulicach: Warszawy, Częstochowy, Łodzi i Kalisza. — Jak już Wam wiadomo dzień pierwszy maja był dniem „pogromu“ rewolucjonistów polskich. — Armia rosyjska znów miała pole do popisów, okazania swej odwagi i heroizmu wobec tłumy bezbronných kobiet i dzieci.

O ile to możliwe wobec znanych wam warunków, podaje konkretne sprawdzone cyfry i tak zabitych w dniu pierwszym maja było ogółem 180 osób, rannych i zmarłych po szpitalach z ran do 620 osób; dalej około 1200 osób zostało aresztowanych, z tych część już w drodze administracyjnej została wysłana do północnych gubernii carsstwa. — Tu w Warszawie i to minęło, w Częstochowie zaś znów wre i to na dobre: w dniu 11. maja policja i żandarmeria częstochowska otoczywszy fabrykę „La Czenstochovienne“ po dokonanych rewizjach aresztowała trzech przywódców rozruchów majowych. Ro-

*) Mam tu na myśli ukaz carski z 17. kwietnia.

botnicy dowiedziawszy się o tem, udali się gromadnie do dyr. fabryki p. Marschalla, zapowiadając, iż gdy do południa 12. b. m. aresztowani nie będą uwolnieni, rozpoczną generalny strajk. Pan Marschall podobno pertraktował z żandarmerią ale bezskutecznie, grozi więc znów strajk, a z nim ponowny rozlew krwi jak niedawno w hucie „Raków“.

Tak samo jak u nas w Warszawie policja częstochowska w nieznanych dotąd rozmiarach urządziła pościgi za podejrzanym w dzień i w noc — przeszukując mieszkania i kieszenie, aresztując na prawo i lewo za ładą proklamacye. Kto zaś u nas niema obecnie proklamacyi, chcąc czy nie chcąc? — Rozgoryczenie w Częstochowie i okolicy ogromne tak, iż zachodzi obawa nowych rozruchów.

Wieści jakie przychodzą z prowincyi: Lublina, Kalisza, Łodzi i Zagrzebia górnego są wprost straszne, słusznie więc obawiamy się i oczekujemy równocześnie nowego ruchu na prowincyi.

Jak wobec tego zachowują się partya „ugodowców“ mówią fakta. Widząc, że kalumnie rzucane na naród, wręcz przeciwny odnoszą skutek chwycono się oryginalnego środka. Klerikalny menier partii ugodowej znany i osławiony ksiądz arcybiskup warszawski Chościak — Popiel wraz z arystokracją i częścią deputacyi, (którą notabene otumaniono) udał się do generał-gubernatora Maksymowicza z zażaleniem na policję i wojsko za gwałty i barbarzyństwa popełnione w dniu 1. maja. Naturalnie, iż Maksymowicz deputację zbył niczem. Natomiast hołd i podziękowanie złożone przez arystokrację i Arcybiskupa za rzekome ulgi — przyjął z zadowoleniem wyrażając uznanie dla „pracy“ pp. ugodowców. Tak więc pozory zachowano wobec ludu, i rządu; ludowi rzuciło się piaskiem w oczy rzekomym poparciem deputacyi, a równocześnie złożono hołd caratowi i adres wiernopoddanych.

Jak mówią wtajemniczeni a cała komedia z deputacją z góry była ułożoną i obliczoną na efekt, jak również zabezpieczeniem dla pp. Ugodowców przed zemstą ludu za wiernopoddanych hołd. Zabawiwszy się w rzekomych przedstawicieli narodu pp. ugodowcy znów pozwalają sobie rzucać gromy na naród, nawołując do spokoju, prowokując z drugiej strony swem zachowaniem się.

Nie jest to jednakże fakt odosobniony toż samo tylko w innej formie zrobił inny dostojnik kościoła ks. biskup lubelski Jacewski, urządził w katedrze lubelskiej uroczyste nabożeństwo z wystawieniem Przenaj. Sakramentu, a po ewangelii wyjaśnił zgromadzonemu wielkie historyczne znaczenie ukazu carskiego z dnia 17. kwietnia, po mszy zaś zaintonował „Te Deum“. Tak więc kler nasz wraz z arystokracją stara się okazać swą lojalność wobec caratu. Niczem gwałty popełniane na ludzie, którego mienią się być reprezentantami, niczem krwi bratniej potoki, wobec wyższej i głębszej polityki pp. ugodowców. Jak podłą i nikczemną rolę odgrywają w obecnej dobie Ugodowcy stwierdza zestawienie. W chwili gdy cały świat cywilizowany wyraża bezgraniczną pogardę caratowi za gwałty, barbarzyństwo i bezprawia oni jedni wyrodni — starają się przypodobać katom swego narodu.

Wyrok śmierci wydany na Maksymowicza przez rewolucjonistów wywarł na nim kolosalne wrażenie i spotęgował czujność sfory policyjnej. Pałac otoczony, strażę wzmocnioną, a ostrożność doprowadzona do absurdu. Przypadkowe zbliżenie się ku zamkowi powoduje aresztowanie i rewizję. To też unikamy części placu Zamkowego i Zjazdu jak zapowietrzonych.

Niema jeszcze dwóch miesięcy jak zaczęła się walka z caratem na dobre, a już na setki liczyć możemy ofiary rozpasania i brutalności moskiewskiej — jeszcze nie zaschły niedawne rany, — jeszcze niewypowiedziane ostatnie słowo carskich wojennych sądów nad uczestnikami rewolucyi styczniowej, a mimo to — wystarczyło, by nadszedł 1 maja, aby znów ulice polskich miast zabarwiły się potokami krwi, napęliły tłumami demonstrantów. Wystarczyło, by dały się słyszeć pierwsze strzały carskich żołdaków, aby ten groźny lew: lud polski — znów powstał gotowy do walki z caratem.

Czyż więc naród ten, na którego i obcy i swoi rzucają gromy, dowodząc, iż niewyrobiony politycznie, niezorganizowany, zatracający swe cechy indywidualne nie żyje? Naród żyje. Żyje. Zawsze gotowy przelać swą krew za dobro i całość Ojczyzny.

Krew już się lała i lać będzie, tak chce zawistny los — stawiający nas zawsze i ciągle na stopie wojennej z caratem i rządami zaborczymi.

Zdaje mi się, że żaden z narodów nie zasłużył sobie więcej przelaną krwią, ofiarami bez granic na wolność, jak Polska.

Miejmy więc nadzieję, że krew przelana, że praca nasza nie będzie daremną.

Na zakończenie poruszę sprawę szkolną. Sprawa szkolna w dalszym ciągu pozostaje w zawieszeniu i na razie niema widoków zażegnania położenia z każdym dniem nieznosniejszego. W sobotę odbyć się miało zebranie rodziców, na którym zapasć miały stanowcze decyzje. Nie

przyszło ono jednak do skutku. W każdym razie niema mowy o zażegnaniu strajku jeszcze w bieżącym roku szkolnym. Nie wiadomo nawet czy po wakacjach większość uczniów wróci do szkół.

Nalęcz.

Walka o unarodowienie szkół w Królestwie.

Otrzymałmśmy następującą odezwę młodzieży warszawskiego uniwersytetu, którą w całości umieszczamy:

Warszawa 18. marca 1905.

„My niżej podpisani studenci Uniwersytetu Warszawskiego, Polacy, uważamy w obecnej chwili za swój obywatelski obowiązek wykazać te potrzeby naszego studenckiego życia, które pomimo elementarności swoją, od dziesiątków lat już naprzód domagają się zadośćuczynienia z wielkim uszczerbkiem dla naszego narodowego i kulturalnego rozwoju.

System wynaradawiania i policyjnego dozoru zaczyna się dla nas już w szkole niższej i średniej. Z chwilą wstąpienia do Uniwersytetu przekonywamy się, że i jego mury nie chronią nas od rządowej polityki, starającej się nam wydrzeć, co mamy najdroższego. Nie w świątyni czystej wiedzy się tu czujemy, lecz raczej w jakiejś polityczno-policyjnej instytucji sztucznie obmyślonej ku temu, by gnębić wszelką myśl samodzielną i zatamować normalny rozwój umysłów. Poczucie wielkiej krzywdy, jaka stąd płynie dla całego Narodu pobudza nas do głośnego wymienienia warunków, jakie uważamy za konieczne dla przywrócenia życiu uniwersyteckiemu w Warszawie jego normalnego charakteru.

W tym celu żądamy przede wszystkim przywrócenia Uniwersytetowi Warszawskiemu jego polskiego charakteru w całej rozciągłości. A zatem:

- 1) wykładów na wszystkich katedrach w języku polskim,
- 2) utworzenia całego szeregu katedr, poświęconych historii polskiej, prawu i innym rzeczom polskim.
- 3) powołanie na katedry polskich sił naukowych,
- 4) prowadzenia administracji uniwersyteckiej w języku polskim.

Powtóre żądamy nadania Uniwersytetowi zupełnej autonomii wewnętrznej:

- 1) obieralności rektora przez profesorów z pośród siebie samych.
- 2) zapraszania nowych prof. przez Uniwersytet,
- 3) zupełnej swobody druku i słowa odnośnie do spraw, związanych z życiem akademickim,
- 4) zniesienia inspekcji, jako instytucji nie wspólnego z Uniwersytetem nie mającej.

Wreszcie żądamy zniesienia tych praw i przepisów, które w obecnych warunkach wykluczają możliwość wszelkiej swobody osobistej studentów, jak również i studenckiej korporacji.

Koniecznym tu jest zatem:

- 1) zapewnienie swobody osobistej studentów
- 2) wolność studenckich stowarzyszeń,
- 3) zniesienie przy przyjmowaniu do Uniwersytetu wszelkich ograniczeń narodowościowych, wyznaniowych, jak również związanych z różnicą płci i podziałem na naukowe okręgi,
- 4) zniesienie żandarmskich świadectw o prawomysłowości, żądanych obecnie przy przyjmowaniu do Uniwersytetu i wydawanych przy dyplomach przez rektora.

Takimi są niezbędne warunki podniesienia życia uniwersyteckiego chociażby do tego stopnia, na jakim się ono znajdowało już za czasów Szkoły Głównej.

Że wszystkie istniejące braki na gruncie uniwersyteckim ściśle są związane z uciskiem i ograniczeniami, dającymi się uczuć we wszystkich innych dziedzinach społecznego życia, dokładnie to rozumiemy.

Uświadamiamy też sobie, iż uzdrowienie stosunków akademickich nie może nastąpić bez daleko idących zmian ogólniejszej natury. Jedyną bowiem gwarancją poszanowania praw Uniwersytetu Warszawskiego może być autonomiczny ustrój Królestwa Polskiego, oparty na zasadzie stanowienia narodu o siebie.

Następuje około 400 podpisów.

Odezwą niniejszą zakomunikowaną została kuratorowi warszawskiemu przez delegację studentów w dniu 20. marca. Delegacja wyjaśniła cel swego przybycia w języku polskim, tłumacząc następnie na prośbę kuratora oświadczenie na język francuski. Skutkiem tego memoriału oraz dawniejszego wiecu akademickiego wydano kilkuset studentów uniwersytetu warszawskiego.

DROBNE SPRAWY.

Energia włościan. Donoszą nam z Warszawy: Włościanie ani chcą słyszeć o ustępstwach i twardo stoją przy języku polskim. Na zebraniu gminnym w Grodzisku naczelnik powiatu zaczął czytać po rosyjsku rozporządzenie: „Pa ustawu“.

— O jakim to stawie naczelnik mówi? — zapytał jeden z włościan.

Gdy naczelnik powtórzył swe słowa — drugi dodał:

— Aha, to pewnie idzie o staw pana Freunda! Gmina nie chce z nim wchodzić w żadne układy.

W Kutnie gdy pisał nie chciał pisać po polsku protokołu, wyręczył go obywatel ziemski p. Adam Zawadzki, pociągnięty następnie za to do odpowiedzialności, o nim gubernator warszawski Martynow wyraził się w klubie: „Takichby trzeba wieszać“. Odpowiedział mu ktoś z boku, że teraz takie czasy, iż nie wiadomo, kto będzie wisieć.

Miedzy Unitami rozpowszechniane są odezwy przez tajne Towarzystwo opieki nad Unitami, między którymi ukaz cara wywołało gromne wrażenie. Już teraz skryci Unicy, którzy brali tajne śluby i tajnie chrzcili dzieci, całymi gromadami chodzą do kościołów katolickich, gdzie śluby odnawiają i dzieci chrzczą na nowo.

Ruch narodowo-religijny wzmaga się z dniem każdym w całym lubelskim i siedleckim.

Zwracamy szczególniejszą uwagę P. T. Publiczności na anons p. Marii Buryanowej, zamieszczony w dziale ogłoszeń.

ODPOWIEDZI OD REDAKCYI.

Panu Janowi H. Obydwa wiersze „Lud“ i „Szaleni jeźdźcy“ nie nadają się zupełnie do druku, a tem samem w „Narodzie“ umieszczone być nie mogą. Talent pański jeszcze zupełnie surowy, wymagający długiej pracy i wyrobienia. Mglistość wyobraźni i nadętość stylu cechuje utwory pańskie. Więcej wczucia się w rzeczywiste życie, więcej prostoty w wyrażeniu, a w przyszłości może moglibyśmy korzystać z prac pańskich.

X. Y. Z. Stryj. Z zasady na anonimowe listy nie odpowiadamy. Prosimy o zwrócenie się wprost do Redakcyi, nie ukrywając swego nazwiska, a chętnie bliższymi szczegółami służyć będziemy.

MARYA BURYANOWA, Lwów, Sykstuska I. 28.

Skład papieru i przyborów kancelaryjnych,

szkolnych, rysunkowych, technicznych i malarskich, mydełek toaletowych, perfum i tutek cygaretowych **przeważnie** z fabryk krajowych. Atrament, mydełka i perfumy FABRYKI „TLEN“. — Farby olejne, akwarelowe, wodne, tusze, palety, gumy do klejenia KARMANSKIEGO. — Ołówki i rączki MAJEWSKIEGO. — Pióra WASILEWSKIEGO. — Papierzy listowe, koperty, woreczki na akta, tutki NIEMOJOWSKIEGO. — Zeszyty notatki, bloki SPÓŁKA PRZYBORÓW SZKOLNYCH. — Bloki, kopiały, książki handlowe etc. LEOPOLIA. — Mydełka toaletowe ROŻNOWSKIEGO. — Perfumy DOBROWOLSKIEGO. — Tutki HERLICZKA, prócz tego tutki PROMIEN, NORIS etc. — Zabawki JAWOROWSKIE. — Guziki białe i kolorowe. — Prócz tego wszystkie wydawnictwa Tow. Szkoły ludowej.

DRUKARNIA „POSPIESZNA“

(OSTRUSZKI)

Lwów, ul. Sykstuska I. 14.

Zaopatrzona świeżo w wielki wybór czcionek najnowszego kroju, jakoteż maszyny pospieszne pędzone siłą elektryczną, poleca się w wykonaniu wszelkich druków od zwyczajnych do najwykwintniejszych i to w jaknajkrótszym czasie.

POPIERAJMY SWOICH!

Stroje polskie,

męskie, damskie i dziecięce, mundury studenckie, stroje sokole, konfederatki po najniższych cenach.

Również poleca się warsztat reperacyjny dla przerobienia, czyszczenia z plam wszelkie reperacje starannie, tanio i w najkrótszym czasie.

Wykańcza znana pracownia krawiecka

Wilhelma Jabłońskiego

ul. Ossolińskich I. 9.

Polecam wielki wybór materiałów na ubrania.

STANISŁAW POCHMARSKI

L W Ó W

PASAŻ MIKOŁASCHA

poleca swój

POKÓJ do ŚNIADAŃ

spokojny lokal dla rodzin i przyjezdnych znakomita kuchnia, tanie ceny - - - -

Przyjmuje abonament na obiady i kolacje.

Odpowiedzialny za redakcyę: JÓZEF BACZYŃSKI.

Drukarnia „Pospieszna“ (Ostruski) we Lwowie, pod zarz. A. Filipowskiego.

Za komitet wydawniczy: LEON FUK

PRENUMERATA

wynosi:

Kwartalnie 1 kor.
Półrocznie 2 „
Rocznie 4 „

Numer pojedynczy:

we Lwowie 6 halerzy
na prowincyi 8 „

Reklamacje wolne są od opłaty
pocztowej.

NARÓD

OGŁOSZENIA:

Wiersz petitowy, albo jego miejsce
20 halerzy. — Cena większych
i częstszych ogłoszeń zależna od
umowy.

Listów nieopłaconych Redakcja
nie przyjmuje i rękopisów nie
zwraca.

Adres Redakcy i Administracyi:
Lwów, ul. Batorego I. 22.

Wychodzi w każdą sobotę o godz. 3. popołudniu.

Redaktor naczelny: LEON FUK.

Nowy sztandar.

Od chwili, gdy narodowi polskiemu odebrano podstępnie w zapasach jego z lossem broń stalową i wojenne proporce — sztandarem polskim jest gazeta, a bronią: słowo.

Na trzy fronty powinno ostrze tej broni błyskać, a godzić i ranić tylko na zewnątrz, nigdy na wewnątrz. Jak trzech bracia, osaczeni gromadą żarłocznych wilków, powinny trzy dzielnice oprzeć się silnie plecami o siebie i wieńcem ognistym, utworzonym z piorunowych myśli zagrozić drogę zaborczej łapie, sięgającej ostrymi pazurami po krew naszą.

Z jakim wysiłkiem i bohaterstwem odpięra Królestwo Polskie napady, dziczy kozackiej, jak granitową opoką stoi Księstwo poznańskie pod nawałą żywiołu germańskiego, o tem słabo szepczą nam echa, dochodzące w codziennych telegramach z za kordonów.

Nasz kraj — królestwo Galicyi — podobny jest do bezładnego obozowiska. Nie masz w nim ani wodza, ani karnych zastępów, ani jednolitej broni, ani wspólnych haseł — jest tylko mrowie ludzkie, rozbite w pył kamieniem niezgody. Dawna, w lilipucich rozmiarach wojna kokosza. Co krok — odmienna chorągiew, o innej barwie i godle, z innym wezwaniem. Pod nią grupka ludzi, nawet i w tem szczupłym gronie między sobą poważnionych.

Nieprzeliczony rój pism — cały las sztandarów mnoży się z dnia na dzień! Jedne trzymane są w palcach zaskrzepłych w przedwiecznej formie życia, — drugie tkwią w rękach, skalanych frymarką szczęścia narodu na rzecz własnej wygody i spokoju, inne wreszcie drżą w dłoniach, rwących się do krwawego za tylolećne krzywdy odwetu, a są i takie, które zjawiają się nagle, same nie wiedząc po co, zabłysną i znikną.

Wśród tego zgłętku różnorodnych haseł i tyłobarwnego chorągwanego tłumy, śmiałą dłonią podnosimy — nowy sztandar.

W jakim celu? Czy aby zwiększyć zamieszanie? Czy po to, by rozbić ducha narodowego na jeszcze mniejsze drobiny?

O nie, przenigdy!

Występujemy po to, aby rany potworzone ostrzem zawiści zabliznić balsamem zgody, aby rozdarte na krwawiące się sztuki ciało społeczeństwa naszego połączyć i zespolić w jeden silny organizm. — Ponad drobnostkowe zatargi my wnosimy wysoko cel nasz odwieczny i święty: — niepodległość Polski, aby pokazać krótkowzrocznym umysłom, że cele, o które dziś w kraju naszym szaleje bratobójcza walka, że klótnie, na które zużywa się dziś najcięższe siły polskie, są błahostką, są chwilową falą namietności, która dziś jutro przejdzie, pozostawiając po sobie znużenie, bezwładność i jeszcze silniejsze zaciśnięcie więzów niewoli.

Z takich naszych rozterek wewnętrz-

nych korzysta wróg zewnętrzny i z zimnem wyrachowaniem podsycając nienawiść partyjną, dławi nas, rozprószonych na poszczególne stronnictwa i grupy coraz niemiłosierniej.

Stronnictwa — partye! Szatański to zaiste wynalazek, który padł na polski charakter jak na najurodzajniejszą glebę. Gdzieindziej tworzą się wprawdzie stronnictwa, ale zawiązywane w rozumnych celach, dla osiągnięcia określonych wielkich i trwałych korzyści narodowych. U nas dzieje się to bezmyślnie i nałogowo, na podstawie głęboko wkorzonej w naturę polską żądzy wicherzenia, chęci odszczególnienia się, dogadzającego płytkiej pysze. Rzuć między garstkę przypadkowo zebranych Polaków dwie głoiki, A i B — a natychmiast rozerwie się towarzystwo na dwa stronnictwa: Aistów i Beistów, którzy poczną się czubić do krwi i kłaść się trupami, nie wiedząc, o co i dlaczego kaleczą się i mordują. Ileż to razy w życiu politycznym zwalczą się i unicestwiają jakąś doniosłą reformę, któraby mogła niesłuchanie naród nasz uwielmożnić potęgą, jedynie tylko dlatego, że pomysł ten pochodzi od innego stronnictwa, obdarzonego już z góry nienawiścią wszystkich innych partyi. Wspaniała i jedyna u nas konsekwencya nienawiści! Gdyby inny naród, n. p. Niemcy lub Anglicy, znaleźli się w podobnym naszym położeniu, z pewnością stanowiliby tylko jedno stronnictwo: stronnictwo niezawisłości narodowej. Tak, ale Anglicy ani Niemcy przenigdy nie dopuściliby do tego

DO ŻYCIA!

Współtowarzyszom niewoli.

Pieśnią wiąże w pęk
Myśli bratnich czoł,
Najpiękniejszą z wstęg,
Najświętszą ze stuł.

Pieśnią krzeszę skre
Z lodowatych serc,
Pieśnią hasło grzmie
Sprzymierzonych twierdz.

Pieśnią pchnę lud w bój,
Wrogów cofnę wstecz,
Pieśń — to urok mój,
Piorun mój i miecz!

I tą ognistą, nieśmiertelną stułą
Z waszemi dłońmi wiąże moją dłoń.
Serce w was będzie tak jak we mnie czuło!
Ty, któryś wiarą w cud nie płonął — spłon!

Po cud ja idę, po szczęść ludzkich słońce.
Wstępuję w ziemi mej ojczyście mrok,
Gdzie pod stopami żmije i zaskronice,
A u wrót raj ustraconego — smok.

Na czarnem niebie ani gwiazd iskierek!
Nie brzęknie znikąd strun weselnych strój,
Grobowe tylko szumią smutnie świerki
I czasem błysnie mdłą latarką — zbój.

Po cud ja idę, na gwiazd siejbę złotą,
Na rozkrwawienie przedstoniecznych zórz.
Pod mem dotknięciem więzy się rozplotą
I z rąk katowskich sam wypadnie nóż.

Kędy ja przejdę, kwiaty śmiechów skwitną,
Orłem wyleci z ciemnej nory płaz
I mgłę rozwieje w górach ponadszczytną
I pomknie w błękit różany bez skaz.

Po cud ja idę, po nowy dzień świata,
Po opłakany już od wieków raj,
Przebłyski snów przemienię w ziemskie lata,
Bez zakazanych drzew zasadzę gaj.

Rozpaczną duszę jak motyl z kokona
Uwolnię z klatki pokory i trwóg
I dam jej poznać, gdy prysnie zastona,
Że w twórczej sile jest zaklęty Bóg!

Po cud ja idę, mogę po cud sięgać,
Bo nie bezwładni mnie przesądów nie.
Świat z światem rozkuć i z nowym posprzegać,
A potem wiecznie chcę w swem dziele żyć.

Wiecznie się w sercach rozmnażać i wzrastać
I wiecznie słuchać ich dziękczynnych tkań...
O! świt ten, dzień ten musi, musi nastać
Przez jedno słowo moje: „stań się, stań!”

Po cud ja idę — sam jeden, nikt ze mną —
I rzucam twórcze słowo w martwą noc...
Błyskawic strzały lecą w otchłań ciemną...
Żar bucha... Czuję moją boską moc!

Błądzą iskiere, topią się i roją,
Dech mój rozpala coraz więcej gwiazd!
A tu podemną, tu pod stopą moją
Wstają szkielety i rozkwita chwast!

Rusza się cmentarz, cmentarz ten umarły,
Który od wieków snem kamiennym spał:
Młodnieją starcy, olbrzymieją karły,
Słychać łamanych płyt grobowych strzał!

Do życia, ludy! Do życia więźniowie!
Koniec przemocy i męczarni i kar!
Oto ognisty wieniec na mej głowie:
Szczęścia zeń bierzcie blask i życia żar!

Kto pierwszy dotknie duchem tego żaru,
Do czyich pierwszych przeleje się żył,
Ten ze mną pierwszy po dniach, latach paru
Będzie koroną wolnej Polsce wół.

Kordolens.

straszego bezprawia, na co myśmy pozwolili: na podział i ujarzmienie Ojczyzny.

Wiekowa niewola nie wydarła z nas wstrętnego nałogu: bratobójczych waśni. Kłócimy się i rozrywamy własnymi dziobami ciało nasze tak dobrze jak i dawniej, a może jeszcze lepiej, bo wydoskonaleni w rzemiośle tem długą wprawą. I dziś pozostały z buńczucznego niegdyś narodu — zwłaszcza tu w Galicyi — same strzępy.

Wszelako rozpaczac nam nie wolno. Zwątpić o doprowadzeniu stronnictw do jednomyślnej wobec zewnętrznych nieprzyjaciół naszych zgody, zwątpić w uszlachetnienie krnąbrnej natury polskiej — znaczy to zwątpić o odzyskaniu niepodległości narodowej. A przecież wiara ta płonie jeszcze w tyłu tysiącach sercach i nie tylko nie gaśnie, ale coraz bardziej rozpala się pod tchnieniem ducha obecnych czasów. Wiara ta w o wiele wyższym stopniu tkwi w nas, którzy w świat wysyłamy pierwszy numer „Narodu“.

I z tych powyższych słów kilku wysnuć już można łatwo naczelne zasady naszego programu.

A więc hasłem naszym pierwszym: łączyć — ześrodkowywać siły narodowe w jednym ognisku, bez względu na osobiste przekonania.

Nie wyjdzie od nas nigdy okrzyk, podżegający do bratniego krwi rozlewu.

Jedynym występkim, który z całą bezwzględnością zawsze i wszędzie potępiać będziemy, to rozmyślnie i świadome działanie na szkodę całego narodu. Dobro ludzi, związanych ze sobą wspólnością języka i przeszłości dziejowej — to nasza najwyższa etyczna zasada. Ponieważ zaś pomyślny rozwój społeczeństwa jednoplemiennego zawisły jest od swobody działania i wyrokowania o swoim własnym losie, przeto równorzędną zasadą naszą jest wolność tak jednostki jak i narodu, pojęta w najszerszym zakresie.

Jesteśmy stanowczymi przeciwnikami uciskania jednej narodowości przez drugą, jednej warstwy społecznej przez drugą, wkońcu krzywdzeniu jednostki czy to systemem urządzeń społecznych, czy też złą wolą garstki uprzywilejowanych inkwizytorów, posiadających w rękach swych środki torturowania bliźniego. W ocenie przeto działalności czy to t. zw. partyi, czy też osób, nie wejdzie w rachubę żaden wzgląd ani na ustaloną opinię, ani na społeczne stanowisko, ani na urodzenie czy wiek: sąd swój rzucać będziemy z wyżyn idei naszej czasem jak piorun druzgocący, a czasem jak pokrząpający promień słoneczny.

U nas w Galicyi jednostka i społeczeństwo omotane są siecią tak przebiegle połączonych ustaw, przepisów i urządzeń, że wszelki ruch swobodniejszy, dążący do zmiany godnego politowania losu austriackiego Polaka mimo przechwalonej konstytucji — jest niemożliwy. Ale te wżerające się w ciało nasze postronki muszą już raz pęknąć. Konieczne jest tylko jędrne skupienie się w sobie i potężne napięcie wszystkich mięśni, czyli zorganizowanie się żywiołu polskiego w Galicyi. Ustąpić więc muszą te wewnętrzne rozdarcia, te wrogie oszańcowania się w dogmatycznych przesądach klasowych, te kogucie walki stronnictw, które niczem innym nie są, jak tylko pustym dźwiękiem i chustą czerwoną, drażniącą oczy równie zacietrzewionego w swych płytkich poglądach przeciwnika.

Więc póki te dziedziczne narowy charakteru polskiego nie znikną z widowni po-

litycznego, czy społecznego działania, póki nie przestaną brzmieć powtarzające się w nieprzeliczonych odmianach okrzyki: „hajże na Sopicę!“, póki zamiast szukać pomocy u obcych ludów i łączyć się węzłem braterstwa z plemieniem katów naszych, nie zamknijemy się w sobie, nie oprzemy potęgi naszej na połączonych jednością duszach bratnich, póty o poprawie osławionej doli naszej, o wygnaniu upiory nędzy z kraju i o odzyskaniu utraconej wolności mowy być nie może.

Świadomi przyczyn okropnego upadku Ojczyzny i dróg prawdziwych, które ją z podziemnych lochów na świat wolności wywieść mogą, rozpoczynamy z wiarą w moc wytrwałego postanowienia swą pojednawczą działalność.

Redakcja.

Wyodrębnienie Galicyi.

Niespodziewanie, jak urocza Afrodyta z pian oceanu wynurzyła się z szumu politycznych intryg — sprawa wyodrębnienia Galicyi. Długo i zawzięcie polowały na tę zdobycz przerozmaite stronnictwa — ale złota rybka ukrywała się dotąd uporczywie w mrocznych głębinach nieureczywistnionych pragnień. Wyciągnął ją dopiero na wierzch haczyk — powszechnego prawa głosowania.

Gdyby pan baron Gautsch otrzymał wraz z posadą prezydenta ministrów dar proroczych jasnowidzeń — zawahałby się, a może i cofnął z wędką reformy wyborczej, rzuconą na wzburzone dziś fale mas ludowych. Niestety, już za późno. Do zręcznie podanej przynęty zbiegły się zewsząd wielkie i małe rybki i szarpiają na wszystkie strony, nie mogąc jej w całości połknąć. Nie dziwota, że ręka pana ministra zaczyna drżeć i cierpnąć i lada chwila dostojny rybak ze znużenia zemdleje i — upadnie. Mało to nas obchodzi; pana barona zastąpi inna hrabiowska czy książęca figura. Dla nas ważną i pewną rzeczą jest to, że tak sprawa reformy wyborczej jak i wyodrębnienie Galicyi nie zejdzie już bez stanowczego załatwienia z porządku obrad parlamentu. Chwila to więc dla naszych dalszych losów rozstrzygająca, z niej wyjdziemy albo odmłodzeni i silni, albo jeszcze bardziej zgrzybiali i zgnębieni. Warto więc w tę bliską przyszłość zapuścić przenikliwie, krytyczne spojrzenie.

Rzadko kiedy zdarzało się, aby sprawa jaka tyle mętu i bałamuctwa wywołała w prasie i społeczeństwie, co te dwa najwybitniejsze dziś projekty polityczne. Uzasadnienia, z delficką pewnością wypowiedziane na łamach pism za i przeciw reformie wyborczej, albo za i przeciw samodzielności Galicyi są tak wątle, wykrętne i mgliste, że mimowoli nasuwa się na myśl pytanie: gdzie ludzie pogubili swój jasny pogląd i prostą logikę, nie mówiąc już o prawości uczucia.

A wybór taki łatwy!

Jesteśmy w niewoli. Przemoc nie pytając nas o radę, zagarnęła szmat ziemi naszej i kazała nam służyć sobie wiernie — pod przysięgą — przymusową! Długie lata niemielśmy ust otwartych na głos, rozstrzygający o naszych losach. Aż urodziła się we krwi ciemiężonych ludów konstytucja kwietniowa, rozszerzająca się powoli lecz stale. Powołano nas do głosu. Głos ten jednak nie miał żadnego prawie znaczenia. Do ostatnich czasów umiano go we Wiedniu zawsze zρέcznie przytłumić, przekrzyczeć tak, że nad nami panowała wola gnębieli, dbających o całość państwa i potęgę jednej naczelnej rodziny. Był nasz, życie nasze, potrzeby nasze — te nie były nawet brane pod uwagę. Jakim śladem wycisnęły się rządy takie na upośledzonym kraju koronnym — zbyteczna mówić. Dość wskazać milczącą na te obszary, obsiane zapadłymi chatami chłopskimi, na ten lud, gnijący po nędznych barłogach, na przepełnione więzienia i odarte szkoły. Ale bo też lud ten dotąd odsunięty był od wpływu na rządy, był milczącym manekinem, podnóżkiem a raczej rogóżką tronu, o którą naczelnicy władz trzewiki sobie zwalane wycierali. I dziś, kiedy ten rząd — dobrowolnie, czy pod groźbą, to obojętna — powołuje szerokie warstwy ludowe do wypowiedzenia zdania o swoich troskach i potrzebach, gdy nam gnębionym dotąd milionom zdejmują knebel z ust, gdy nadarza się sposobność wielkim głosem upomnieć się o doznane krzywdy — znajdują się jeszcze potomkowie Sicińskich, którzy krzyczą „veto“! To jawna zdrada, która nawet

pod płaszczykiem tak zgrabnie utkanych wykrętów jak ten, że lud nie dojrzał jeszcze do pracy politycznej, albo, że reforma wyborcza grozi utratą nadziei wyodrębnienia Galicyi — cuchnie nikczemnością.

I jeden i drugi warunek, to jest: powszechne, równe, tajne i bezpośrednie prawo wyborcze do wszystkich ciał ustawodawczych i wyłącznie Galicyi z pod wyodrębnienia centralnej we Wiedniu musi być urzeczywistniony, jeśli chcemy kraj nasz uratować od doszczętnego złupienia, a lud od pewnej zaguby.

Jest też i niemało przeciwników wyodrębnienia Galicyi. Nawet stronnictwa szczerze patryotyczne i przychylne ludowi rzucają potępienie na zwolenników tej idei. Nam się jednakowoż zdaje, że czynią to tylko ze zawiści do swoich politycznych rywali. „Dlatego tylko, że przeciwnicy nasi podjęli ten wniosek i chcą go przeprowadzić, że kraj otrzymałby wcale wartościowy podarunek z ręki nam osobiście nienawistnej, należy projekt ten bezwzględnie odrzucić i zwalczać“. Oto prawdziwie polska polityka! To jest główny powód odrzucenia postulatu narodowej demokracji przez stronnictwo ludowe, w którego programie wyodrębnienie Galicyi stało dawniej na pierwszym miejscu. Ale na usprawiedliwienie tego obłudnego kroku znajdują się od razu pozory i wymówki. I tak jednym z ważnych zarzutów, które mają unicestwić samodzielność naszą, jest twoga, że po wyodrębnieniu Galicyi dostaniemy się w niewolę szlachecką. Zgroza! Ta garstka szlachty, o której ciągle się mówi, że jest na wymarcu, zaciążyć by miała brzemieniem wieczystych krzywd na siedmiomilionowym tłumie? — I to w jakich warunkach? — nie posiadając już tej władzy i wpływów, które im dziś daje bezpośrednia łączność z rządem centralnym? Zaiste! mieliśmy bardzo nikłe wyobrażenie o „konającej szlachcie“ którą już poczęliśmy nawet lekceważyć, a natomiast korzyściliśmy się z całym pietyzmem przed głęboką i energiczną konkluzją Wyspiańskiego: „chłop potęgą jest i basta!“ — ale na widok panicznego strachu, który ogarnął ludowe organa na samą myśl, że trzeba będzie z tą szlachtą przy zamkniętych drzwiach w cztery oczy załatwić dawne rachunki — spadł termometr zachwytu naszego nad chłopską potęgą prawie do zera. Jakież jej marne świadectwo wystawili patronowie ludu, drżący wszystkimi nerwami przed upiorem „konającej szlachty“.

O tak! Unikajmy jak ognia zetknięcia się siermięgi z kontuszem, odgradzajmy chińskim murem od siebie te dłonie, które w pieśniach wieszczów naszych („z szlachtą polską w polski lud“) wyciągały się miłośnicie do zgody. Precz z wolnością i ulgą, okupioną wspólnem pozyciem dwóch na jednym zagonie zrodzonych braci! Dalej w próby i pod opiekę tego, który nas ograbił, wydusił i zniszczył, bo gotów nas teraz opuścić, gotów porzucić leżące, któremi nas kierował i pędził, gdzie sam chciał — na naszą zgubę, bo gotów oddać nam samym władzę nad sobą, a to byłoby nieszczęściem!

W istocie, ten krzyk trwogi, który się podniósł przeciw wnioskowi wyodrębnienia Galicyi, dowiódł naszej zupełnej niezdolności do samorządu. Nam trzeba koniecznie bata, obcego bata, któryby nas ciągle smagał i krwawił i zmuszał do posłuszeństwa. I jak wobec tego przedstawia się owo ustawiczne wołanie do Boga czy do czarta, aby nam wrócił niepodległą Polskę! Cóżbyśmy z tak olbrzymim obszarem poczęli, kiedy niezdolni jesteśmy maleńką jedną prowincją zarządzać i w poczuciu własnej nieudolności wzywamy kata, aby przyszedł, pogodził nas między sobą i wziął nas za kark żelazną dłonią.

Wszelako głosów tych nie można brać za wyraz opinii ogółu. Proste poczucie interesu narodowego nakazuje nam korzystać z każdej sposobności, która polską dzielnicę, przyrosłą już do austriackiego organizmu państwowego oddziera odeń i uniezależnia. Coraz głębiej, coraz szybciej powinno wnikać ostrze naszych separatystycznych dążeń pomiędzy państwo zaborcze a kraj zabrany, a równocześnie wewnątrz powinien krystalizować się własny rząd, który w chwili stosownej, przerywając ostatnią nić niewolniczych więzów, mógłby powszechnem wsparciem zaufaniem, pokierować nawań niezawisłej Rzeczypospolitej.

Nie lękajmy się ucisku ludu przez „klikę uprzywilejowaną“. Przywileje znikną — prędzej znikną w wyodrębnionej Galicyi, niż w Galicyi, okutej łańcuchem rządów centralistycznych, chociażby nawet obdarzonej, powszechnem i równym prawem wyborczem. Bo przy dzisiejszym stosunku naszym do Austrii musielibyśmy rozstrzelić siły swoje w kilku kierunkach. Mielibyśmy do zwalczania nietylko

Nowo otworzony magazyn pod firmą

BOLESŁAW BŁOCKI

Lwów, ulica Chorążczyzny l. 6. (róg Akademickiej)

poleca Płótna, Bieliznę stołową, Pościel, Wyroby trykotowe, Bieliznę męską, Zefiry, Perkale, Oxfordy.

Ceny umiarkowane. — Towary przedniej jakości. — Wybór wielki.



upór „uprzywilejowanych“ tu u siebie, ale ujadac byśmy się musieli z Niemcami, którzyby z podwójną zaciętością na nas nacierali, mając przeciw sobie żywioł słowiański w parlamencie wzmocniony większą ilością posłów. A my nie mielibyśmy już w Radzie państwa solidarnego „koła polskiego“, o które rozbiłyby się ataki wrogów, lecz mieniącą się mozaikę wszystkich politycznych odłamów i odłamków. Zwiększyłby się tylko skandal narodowy, którym rozśmieszamy Europę, rzucając przed forum parlamentu wzajemnie na siebie wyzwiska, oszczerstwa i potwarze. Dziwne, gdzieśmy nasz wstyd i honor zapodziali, że z taką lubością wywelekamy przed oblicze świata swój brud i męty moralne, zamiast załatwić się z nimi w domu, a na zewnątrz wystąpić z królewską powagą, godnością i nieprzełamną zgodą.

Niewątpliwie zaogniłoby się społeczeństwo nasze, zdane na własną wolę, namiętą walką wewnętrzną, ale cofać się z drogi odrodzenia narodowego dla widoków osobistego spokoju i bezpieczeństwa, jestto odsłaniać bezgranicznie tchórzliwy charakter, jestto wykazywać zupełny brak wiary we własne siły i dziecinne niedołęstwo, wymagające ustawicznego trzymania się czyjegoś fartuska.

Co do nas — owszem. Walkę na tle równouprawnienia obywatelskiego w tem gnuśnem bagnisku galicyjskiem powitalibyśmy z największą radością, przekonani, że z tej kuźnicy społecznej wyszedłby charakter nasz oczyszczony, zahartowany, zdolny wytworzyć tegi i jednolity ustrój i rząd narodowy. Nie przerażają nas bynajmniej widma zaburzeń, odbijających już naprzód krwawą łuną na szpaltach *Kuryera Lwowskiego*, nie lękamy się bynajmniej jarzma szlacheckiego, ani bezapelacyjnej porażki. Wiemy, że lud jest już dziś zanadto uświadomiony, aby sobie dał narzucić na kark sromotne jarzmo „uprzywilejowanej garstki“, aby pozwolił na to rżące w dzisiejszych czasach bezprawie, jakim jest nierówne, pośrednie i ograniczone głosowanie. Reforma systemu wyborczego, jeśli się raz już przyjęła w umysłach szerokich mas, nie da się z nich wydrzeć pęty, aż nie wyda upragnionego owocu. Mamy więc przed sobą przyszłość, pełną burz, trudów i niebezpieczeństw, ale stokrotnie błogosławioną, bo rozniecającą na widnokręgu dziejowym jasną zorzę wolności, gdy dotychczas otulał nas wprawdzie spokój, ale spokój grobowych podziemi bez świtów i bez ożywczych przewiewów.

Z przytoczonych powyżej powodów stajemy w szeregu bezwzględnych zwolenników jak najszybszego wyodrębnienia Galicji i zaprowadzenia do wszystkich ciał ustawodawczych powszechnego, równego, bezpośredniego i tajnego prawa głosowania. Tych dwóch najważniejszych w chwili obecnej zadań narodowych będziemy z całym wysiłkiem bronić, o nie do upadłego walczyć. Spostrzegł p. Gautsch — po niewczasie — jak wielką i mimo wolną przysługę oddał narodowi polskiemu i na jakie niebezpieczeństwo naraził zlepkowe państwo austriackie, wytaczając przed Radę państwa za pośrednictwem reformy wyborczej sprawę wyodrębnienia Galicji, to też włosy zjeżyły mu się na głowie i począł rozdzierającym głosem wołać: „trupem padnę, a do naruszenia jednolitości państwa, którego służą jestem, nie dopuszczę!“ My zaś wołamy: „dojdziemy do samodzielności choćby po trupach nieprzyjaciół naszych!“ Smuci nas tylko to, że okrzyku tego nie powtórzyły wszystkie warstwy i wszystkie stronnictwa. Że p. Gautschowi dłoń podaje kosmopolityczna partya socjalno-demokratyczna, która — nawiasem mówiąc — jest na polskim gruncie nienaturalnym wybrkiem chorobliwej fantazy — to rzecz zrozumiała. Ale aby do zburzenia zamierzonego wielkiego dzieła wydarcia Galicji z rąk ciemiężycieli naszych przyłożyły zawiśniętą dłoń stronnictwa o czysto narodywym charakterze i dotychczas zasługujące na najwyższy szacunek, to nas ogromnie i dziwi i boli!

Lazaroni.

Pojedź do Włoch — jeśli oczywista jesteś hrabią, bankierem lub defraudantem — a jak w Galicji żandarm, tak tam odrazu nawinie ci się na oczy — lazaron: człowiek ziewający, zatrudniony wygrzewaniem się na słońcu. Jest to stała klasa ludzi, osobny stan, jak n. p. u nas urzędnicy państwowi. Jedyłą rozrywkę lazaronów stanowi jedzenie, bardzo zresztą ze zrozumiałych powodów skromne i nieregularne; kilka listków sałaty, parę pomarańczy i menu wyczerpane. Niech nikt jednak nie poważy się posądzić, że ludzie ci z konieczności dla braku pracy wiodą ten iście klasztorny sposób życia. Broń Boże! — gotowa obraza! Są to czyste

krwi *sportsmani*, którzy zamiast dajmy na to jeździć wyścigowymi końmi, kładą się za filozoficznym przykładem Dyogenesa pod całusy słoneczne na gołą ziemię. I żyją.

Ostatnimi czasy poczęła Galicja robić Włochom pod tym względem groźną konkurencję. Mieśliśmy i my zawsze swoich lazaronów — bo któryż kraj ich niema! — dotąd jednak garstka ich, nieznacznie w liczbę rosnąca, niknęła w tłumie porządnych, o grubych brzuskach, cieńszym nieco łańcuszku od zegarka i jeszcze cieńszym rozumie obywateli. Tak było w lepszych czasach, o których ojcowie nasi wspominają ze łzą tęsknoty w oku. Atoli dziś liczba ludzi, włóczących się bez celu, bez środków do życia i bez zajęcia wzrosła do takiej potęgi, że aby ich obdzielić jedną łyżką codziennej strawy, trzeba by wybudować kocioł przynajmniej tych rozmiarów, co gmach sejmowy albo kopiec Unii lubelskiej. Lazaroni galicyjscy! Gdzie śpią, w jaki się sposób odziewają i czym się żywią? — ha, wielka to i pełna upokarzających momentów tajemnica. Przeważnie życie ich — to bańka mydlana, unosząca się na zmiennych prądach ofiarności społecznej, lub trwalszej od niej — litości rodzinnej.

Wszelako różnią się ci biedacy zasadniczo od swoich włoskich towarzyszy tem, że ich próżniaczy żywot nie jest dobrowolnie przyjętym na się losem, ale koniecznym wynikiem — braku pracy. Jaskrawy dowód na twierdzenie powyższe dają ogłoszenia wolnych posad. Tysiąc kandydatów zbiegnie się na jedno mizernie płatne miejsce, wydzierając sobie ten suchy kęs chleba z zajądłością zgłodniałych kruków. Ktośby zapewne przypuszczał, że ludzie ci — to nieucy, nie posiadający żadnych studiów, ani żadnych fachowych uzdolnień. Ależ owszem! Między nimi coraz więcej współzawodników o wysokim wykształceniu i silnie rozwiniętej inteligencji, a jednak i ci odchodzą dalej z niczem na cygański żywot. Świadectwa — ten urzędowy stempel duszy ludzkiej, przed którym społeczeństwo nasze tak nisko bije czołem, nie oglądając się zupełnie na istotną wartość charakteru i zdolności petenta — wobec olbrzymiej podaży rąk roboczych, a bardzo małego ich zapotrzebowania — straciły już swój cudowny urok jak owe bajeczne słowa z tysiąca i jednej nocy: „Sezanie, otwórz się!“ — torujące wstęp do ukrytych skarbów. Dziś, bracie, choćby z najwyższym w rękę dyplomem, przypieczętowanym orłem dwugłowym, możesz gdzieś pod płótem wydać ostatnie tchnienie. Bo jakżeż? Nie masz w co rąk swoich włożyć. Wszędzie przepełnienie. Fala ludzka rośnie rośnie, a ujścia dla niej nie masz. Biurokracizm galicyjski stanął wielką tamą w poprzek postępu i ekonomicznego rozwoju. We wszystkie pory tej tamy powciskały się gnuśne elementa społeczne i już ta gąbka, zgnilizną nasłakniętą, więcej w siebie żywo-wo wchłoniąc nie jest zdolna. Poza nią zaś niema prawie nic, o coby istnienie swe zaczepićby można. Snuje się więc coraz więcej błędnych dusz po kraju, jak nitki pajęczne w czas babskiego lata, popędzane podmuchami złych i dobrych losów. A społeczeństwo jakby ślepe było i nieczułe, nawet zdaje się niezu- uważać tej mnożącej się rzeszy lazaronów, która przecież coraz większem brzemieniem zaciąża na kraju i tak już wycieńczonym ostatnią nędzą.

Nikt dotąd nie zajął się tem nagłym pytaniem, w jakiby sposób zużytkować dla dzieła odrodzenia narodowego marnotrawiące się w przymusowym lenistwie siły ludzkie. Ale cóż to nas obchodzić może, nas, którzy wścibiamy nos do europejskiej polityki, dla których stokroć ważniejszą rzeczą są koszałki opałki, plecione na dyplomatycznej konferencji marokańskiej w Algesiras, aniżeli tysiące pasożytów, toczących własne społeczeństwo. Dajemy wyniosłe rady Wilhelmom, Mikołajom, Bülowom i Wittym, ale na wymyślenie rady, w jakiby to sposób przyjść z pomocą szukającym napróżno zarobku braciom własnym — nie możemy się jakoś zdobyć. Zresztą załatwiamy się z nimi krótko, po drakońsku: sąd i więzienie! To środek przeciw pozbyciu się niebezpiecznych dla społeczeństwa wyrzutków, którzy z konieczności, ratując życie, wdają się w sprzeczkę z paragrafami austriackiego kodeksu. A żyć przecie muszą.

Nad usunięciem tej przybierającej straszne rozmiary choroby społecznej chcemy się zastanowić i jej w miarę sił naszych zaradzić. Sądymy, że pierwszy krok w kierunku polepszenia stosunków należy do tych, których bezpośrednio nieszczęście to dotyka. Nic prostszego, jak pojedyncze wysiłki połączyć i rozpocząć systematyczną pracę nad otwieraniem nowych źródeł zarobku i dobrobytu. Jedną nam w tem postanowieniu naczelną świecić powinna zasada: praca nie hańbi. Obowiązkiem naszym jest wykorzenić fałszywą opinię, rozwielnioną po wszystkich zakątkach kraju, że jedynie praca biurowa zasługuje na szacunek. Bynajmniej;

ten rodzaj zarobkowania, jako pozbawiony wszelkiej samodzielności, a będący tylko „*panem bene merentium*“, czyli chlebem protegowanych, powinien pójść w lekceważenie, jeśli już nie w zupełną pogardę. Wzorem dla nas powinna stać się Ameryka, która się pracy, choćby najprostszej, ale wyrabiającej hart woli, nie wstydzi i dlatego w tak olbrzymie obfituje bogactwa.

Dla dyskusji na powyższym temacie łamy pisma naszego stoją otworem, usługi zaś w pośrednictwie i współdziałaniu nad zagojeniem jęczącej się coraz bardziej rany społecznej oddajemy do rozporządzenia wszystkim, którzy z nich zechcą skorzystać.

Drobne sprawy.

Trzeci maj w szkołach. Zaczynają się już nasze lojalne „ciała pedagogiczne“ nieco unaradawiać. Nie poszły zatem na marne owe „żakowskie“ demonstracje studenckie, owe nieudane strejki i w związku z tem pozostające rugi kilku niespokojnych duchów ze szkół średnich, skoro w krajowej Radzie szkolnej znalazła się podpisana przez profesorów prośba o uwolnienie uczniów od nauki w dzień 3-go maja jako w święto narodowe. Sądymy, że Rada szkolna nie rzuci prośby tej do kosza, nauczona doświadczeniem, iż drażnienie uczuć patryotycznych młodzieży jest dość niebezpiecznym eksperymentem.

„Przepaść“ przepadła w przepaści biurokratycznej procedury. A było to tak: pewien młody autor napisał 5-cio aktowy dramat na tle błogosławionych stosunków galicyjskich. Rzecz miała pójść na scenę. I wszystko już było gotowe. Sala wynajęta, zaproszenia — bowiem przedstawienie miało odbyć się w zamkniętym gronie znajomych (§. 2. ustawy o zgromadzeniach) — rozdane, ostatnia próba skończona. Nagle — prawie w chwili, gdy podnosiła się zasłona przed nowem dziełem, spadł jak grom ze słonecznego nieba, dekret policyjny, że swem, niweczącem wszystkie zamiary „*veto!*“ — „nie pozwalam!“ Ha trudno; *policialocuta, causafinita*. Wolność obywatelska musiała zwiesić cicho łeb i udać się na długą drogę krzyżową od Annasza do Kaifasza i Heroda. Wniesiono natychmiast rekurs przez ręce policyi do głowy namiestnictwa. Działo się to około 20. stycznia b. r. Od tej chwili przepłynął sobie spokojnie cały kwartał i rekurs mógłby już śmiało dojść do Pana Boga i wrócić. Z namiestnictwa odpowiedzi jeszcze niema. Pewnie podanie to znajduje się dopiero w rękach tysięcznego pierwszego urzędnika i dopiero po przejściu jeszcze raz takiej licznej kwarantanny dostanie się do rąk właściciela. Przeciw tej ślamazarności biurokratycznej i lekceważeniu dobra obywateli — straty z powodu przetrzymania rekursu są znaczne — podnosimy energiczny protest i na tej drodze domagamy się szybkiego załatwienia sprawy!

Śladami Branickich, Potockich, Rzewuskich. Znaną jest szumna rakieta dziennikarska „Słowa Polskiego“ w artykule p. t. Czwarty rozbiór Polski. Redakcja leje krokodyły łzy z powodu rzekomego zamiaru inwazyi pruskiej armii do Królestwa i okupacji części kraju. Wina spada na głowy... socjalistów i żywiołów rewolucyjnych. Faktem jest, że od dłuższego czasu kierownicy „Słowa Polskiego“ (tem samem i stronnictwa nar. dem.) cierpią na manię prześladowczą w odniesieniu do socjalistów. Ten niezwykle stan umysłowy popycha ich aż nad przepaść zdrady narodowej. Zarzut to ciężki, ale nie gołosłowny. W nr. 123 w naczelnym artykule pisze ten dziennik: „Dziś już (bowiem) nie ulega wątpliwości, że anarchia rewolucyjna w zabiorze rosyjskim zawdzięcza swoje triumfy nie tylko występnemu apatyi, ale zarówno i życzliwej pobłażliwości dla niej rządów pruskiego i austriackiego, pobłażliwości, która jest właściwie, pośrednim zbrodniczym działem agitacji popieraniem.“

Co za potworna logika. Dziś się wzniesie alarm przed możliwością „czwartego rozbioru“, a za kilka dni doprasza się wyrażnie tego „czwartego rozbioru“ i gani się apatyę i pobłażliwość „rządów pruskiego i austriackiego“. To już, bez przesady i patosu mówiąc, cuchnie targowicą. Tamci przed wiekiem szli do Petersburga prosić o pomoc w stłumieniu „anarchii krajowej“, wy dziś, panowie przywódcy „narodowego“ stronnictwa, wyciągacie żebrzącą dłoń o wsparcie w „walce z anarchią“ (nr. 123.) do... Berlina i Wiednia.

Czy nie dość wam tej energii, z jaką rząd carski stłumia w Królestwie, tak zwaną przez was, anarchią, a przez nas święty bój o wolność? Czy nie dość dla was tych jęków tysięcy torturowanych



SZYNKI, WĘDLINY, uznane za najlepsze,

poleca główny SKŁAD WĘDLIN

FRANCISZKA ICHNIOWSKIEGO

Lwów; Batorego 4. — P. T. kupcom znaczny opust.



wieźniów, jęków, przenikających kraj dreszczem bo-
lu i zemsty od świtu do świtu? Czy mało dla was
wyroków śmierci i lasu szubienic? Za taką podłość
za mało dla was potępienia potomności, lecz służ-
na kara współczesnych. Ale tej się nie trwożycie,
bo broni was przed nią cierpienie na manię prze-
śladowczą. Uczciwi i rozumni obywatele powinni
jednak odstąpić się od bandy szaleńców, pę-
dzących na oślep w bagno zdrady.

Patryotyczne piwiarnie. Nic zaiste nie masz
piękniejszego w świecie nad cześć i wdzięczność,
okazywaną bohaterom narodowym. Pomniki —
to mało, książki i biografie — kto to czyta! —
ochrzcić imieniem naszych wielkich szynk lub pi-
wiarnię, — ot, co się nazywa popularyzować hi-
storyę. Niech, do krośset dyabłów, taki urzędnik
szewc, rozbijający kufem głowę pijanemu żołnie-
rzu, „pod Kościuszką“, „pod Poniatowskim“,
„pod Sobieskim“ (piwiarnie lwowskie) — niech zna,
jucha, jak się królów i naczelniczy nasi bili i co to
znaczy Polska. — Co za smutny objaw poniewier-
ki pamiętek ojczystych i poniżenia godności narodo-
wej! Dawniej zdolni byliśmy do ofiarnego krwi
przelewu za wolność, a dziś w imię tych samych

ideałów umiemy tylko z kufli i kieliszków przele-
wać piwo i gorzałkę do pustych naszych głów
i piersi.

Baczność! Nieznającym stosunków rosyjskich
zdaje się, że chwilowa przewaga reakcji na dworze
carskim oznacza upadek ruchu rewolucyjnego. Pod-
dają się apatii i lenistwu. Kto jednak głębiej będzie
się wczuwał w tętno podziemnego życia imperium
rosyjskiego, posłysz groźny pomruk wulkanu.
Dość słabym jednak wiernym odbiciem gotującego
się wybuchu jest prasa nielegalna.

W broszurze p. n. „W sprawie naszej taktyki“
pisze Centralny Komitet robotniczy P. P. S.: „Naj-
ważniejszym naszym zadaniem jest dalsze techniczne
i organizacyjne przygotowanie się do „ostatniego
argumentu“ t. j. do zbrojnego powstania ludu.
Równoległe ze zbrojeniem się ludu musi postępo-
wać energiczna agitacja wśród wojska“. „Nad rzą-
dem zwycięstwo odniesie tylko siła — a siłą tą
będzie masowa rewolucja zbrojna“. Wstępem do
tego dzieła będą strejki, „które zmieniają swój bierny
charakter — a nabiorą bardziej czynnego. Strejk
kolejarzy n. p. zamieni się w opanowywanie kolei
na rzecz i na usługi rewolucji, podobnie postępo-

wać będziemy ze wszystkimi środkami komunikacji,
napaści i obrony“. Nowy ruch rewolucyjny w kró-
lestwie polskim rozpocznie się z chwilą wybuchu
strejku rolnego, zakrojonego na szerokie rozmiary,
M. Kowiecki, filar P. P. S., pisze w swej broszu-
rze: „Rok 1905“: „Tam po ciemnych izbach mi-
lionów chat wiejskich już się tli zarzewie wielkiego
pożaru, który się na dobre rozpalą z wiosną“. Koordynacja ruchów rewolucyjnych w całym ro-
syjskim państwie celem zapewnienia powodzenia
masowej, zbrojnej rewolucji już się odbywa i zda-
je się z dobrym skutkiem, kiedy powyżej wymie-
niony pisarz mówi: „Rok ubiegły doprowadził
wszystkich socjalistów do zrozumienia, że nie zmu-
szenie rządu carskiego do ustępstw musi być na-
szem hasłem, lecz jego doszczętne zniweczenie
i stworzenie na jego gruzach rządów republikań-
skich i demokratycznych. Nie bojąc się ryzykownej
przepowiedni, z całą pewnością, możemy rzec: —
nowego roku 1907 carat nie dożyje! Czy wo-
bec tego nie należy czuć? Czy wobec takich ho-
roskopów lud polski w zaborze austriackim nie ma
jakichś obowiązków?“

Drobne ogłoszenia.

Kazania Skargi, Unia Lubelska, Dirce,
Olszanka, Wywłaszczenie, Na swojską
nutę oraz wszelkie inne wyczerpane premie
Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. —
Nadto oryginalne obrazy olejne i akwarele,
tudzież wybór starych sztychów poleca naj-
taniej księgarnia, antykwarnia oraz handel
dziełami sztuki i starożytności **JOZEFA
TOMASIKA** we Lwowie, pasaż Hausmana
liczba 9. 1

Kamienica 10 lat wolnych, blisko tram-
waju elektrycznego, jest zaraz z wolnej
ręki do sprzedania. Cena kupna 40.000 kor.,
dług bankowy 23 tys. kor. Wiadomość w Ad-
ministracji „Narodu“. 2

W powiecie Kołomyjskim jest do sprze-
dania 280 morgów ziemi I. kl. Zgło-
szenia pod G. M. do Administracji „Na-
rodu“. 3

Zaraz zostaną przyjęci za stałą pensją
i prowizją trzej zdolni agenci do zbiera-
nia anonsów. Zgłoszenia do Administracji
„Narodu“. 4

Prawnik poszukuje za skromnem wyna-
grodzeniem lekcji we Lwowie. Łaskawe
zgłoszenia pod W. B. główna poczta. 5

Kupię kamienicę z wolnymi latami, z dłu-
giem bankowym. Zgłoszenia do Admi-
nistracji „Narodu“. 6

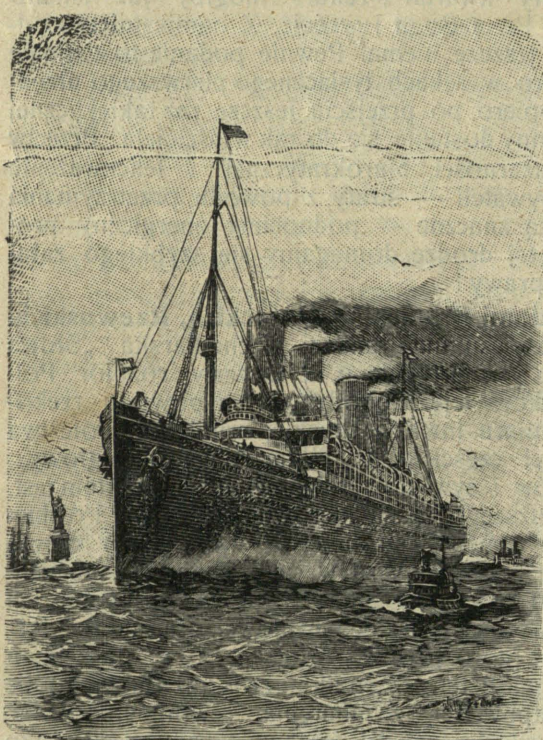
Emil Brendel, malarz szyldów i lakiernik,
wykonuje wszelkie roboty, wchodzące
w zakres malarstwa szyldowego i lakierni-
ctwa budowlanego i galanterijnego złoce-
nia na szkło, blasze, drzewie oraz krzyże, na-
groby itp., Lwów, ul. Sobieskiego 18. 7

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny
i na życzenie te same losy (tj. te same nu-
mera), grając na nie bez przerwy, nabyć na
dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekol-
wiek zastawione wykupujemy i przeprowa-
dzamy powyższą transakcję. — Polecamy
uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów
bankowych. Kupno i sprzedaż obligacji, lo-
sów i monet. — Agentów żadnych nie wy-
słamy. Kalendarz bankowy bezpłatnie.

SCHÜTZ I CHAJES

DOM BANKOWY
we Lwowie, plac Maryacki 7.



Najprędsza jazda oceanem
5 dni 7 godz. 38 minut.
Bezpośrednie regularne po-
łączenie podwójnośrubowy-
mi pośpiesznymi i pocztó-
wymi parowcami

z HAMBURGA do NEW-YORKU

przez Doer, Boulogne, Cher-
bourg następnie do Kanady,
Brazylji, Argentyny, Afryki, za-
chodnich Indyi, Meksyku, Kuby
i centralnej Ameryki.

Podróże morskie lecznicze i spa-
cerowe.

Bliższych informacji udziela
LINIA:

HAMBURG-AMERYKA.

JENERALNA AJENCYA
dla GALICYI we LWOWIE
ul. GRODECKA 95.

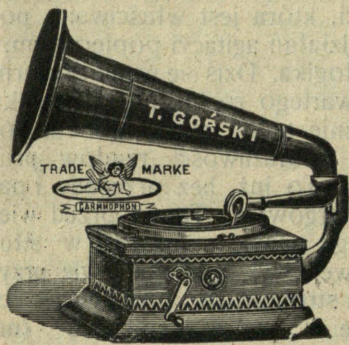
TOW. GRAMOPHONOWE we WIEDNIU

chcąc wyrugować lichą imitację Gramophonów
i aby ułatwić każdemu nabycie tak ulubionego
aparatu, ceny tychże o 50 prc. zniżyło.
GRAMOPHONY od 45 kor. do 200.

Sprzedaż za gotówkę i na raty. — Cennik gratis.
10.000 płyt do wyboru.

GENERALNY ZASTĘPCA na Galicyę Gramophonów
TADEUSZ GÓRSKI, Lwów, pl. Maryacki 8.

Nowe zdjęcia nadeszły.



SKŁAD PŁOCIEN KORCZYŃKICH - - - -
i **BIELIZNY GOTOWEJ** poleca - - - -

STARZEWSKI Lwów, ul. Halicka 16.

Zaprotokołowana firma istniejąca od roku 1884.

MAREK FEUERSTEIN

ulica Gródecka liczba 51.

FILIE: BÓBRKA, BRODY, HALICZ i MOŚCISKA.

Pierwsza Galicyjska Fabryka miechów.

SKŁAD MASZYN rolniczych i przemysłowych.

Poleca swój bogato wyposażony **SKŁAD MASZYN ROL-
NICZYCH**, maszyny do szycia, narzędzia i maszyny dla ślusarzy,
kowali, piekarzy, rzeźników i t. p. z najlepszych fabryk krajo-
wych i zagranicznych, — oraz pompy, sikawki, wagi dla bydła,
wagi decymalne, kasy ogniotrwale. Wszelkie artykuły techniczne.

Katalogi na żądanie darmo i opłatnie.

Fabryka wózków dla dzieci

wyrobów koszykarskich - - - -

- - - - - i bambusowych

poleca

SWE WYROBY

taniej niż wszędzie

OLBRZYMI WYBÓR

KRZESŁA SKŁADANE, LEŻAKI

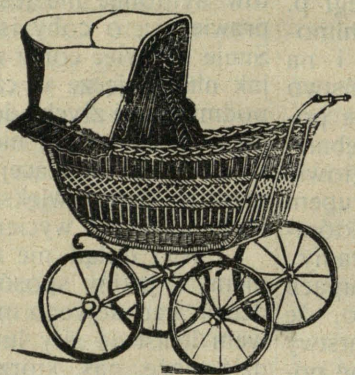
praktyczne i tanio!

A. KONIEWICZ

Lwów, ulica BATOREGO liczba 12.

CENNIKI GRATIS.

CENNIKI GRATIS.



**MAGAZYN i PRACOWNIA UBIORÓW MĘSKICH
SKŁAD MATERII ANGIELSKICH, FRANCUSKICH
i KRAJOWYCH.**

WŁODZIMIERZ PIETRUSIAK

Lwów, [ul. SOBIESKIEGO] liczba 7.

Wykonuje wszelkie zamówienia w ten zakres wchodzące
podług najnowszej mody
po cenach najprzystępniejszych.

**Kompletne wyprawy srebrne od najtańszych
do najwykwintniejszych**

J. DĄBROWSKI

we Lwowie, — ul. Hetmańska l. 4.

PRENUMERATA

wynosi:

Kwartalnie 1 kor.
Półrocznie 2 „
Rocznie 4 „

Numer pojedynczy:

we Lwowie 6 halerzy
na prowincyi 8 „

Reklamacje wolne są od opłaty
pocztowej.

NARÓD

OGŁOSZENIA:

Wiersz petitowy, albo jego miejsce
20 halerzy. — Cena większych
i częstszych ogłoszeń zależna od
umowy.

Listów nieopłaconych Redakcja
nie przyjmuje i rękopisów nie
zwraca.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Batorego I. 22.

Wychodzi w każdą sobotę o godz. 3. popołudniu.

Redaktor naczelny: LEON FUK.

Usque ad finem!

Ostateczne prawdy znajdują
się na krańcach myśli.

M. Maeterlinck.

Zdrańca zasad dla taktyki — to powszedni chleb naszych partyj, poczynawszy od Koła polskiego a skończywszy na czerwonej partyi socjalno-demokratycznej. Jedne z nich, które zawsze były pokornymi służkami tronu i gabinetu, dziś opuszczają koronę i jej widomy znak w parlamencie p. Gautscha, inne, co głosem wołającego na puszczy broniły „praw ludu“, dziś za misę soczewicy t. j. za łataną projekt rządowy o powszechnym prawie głosowania sprzedają najświętsze prawo ludu do absolutnej sprawiedliwości i równości. Z wrogów ciemiężącego rządu stają się powoli partiami dworskimi. Cześć ci głęboka dyplomacyo! A ty nieszczesny kraju zadowolij się 88 lub w najlepszym razie 95 mandatami, miast 120 należących ci się na podstawie równości wyborów. A ty ludu roboczy i wiejski, co zdałeś się na mądrość i uczciwość czerwonych, a raczej czerwonych opiekunów, daj się pozabawić przez rząd centralny kilkudziesięciu zastępców „prawodawczych i podziwianą mądra „taktykę“ przywódców. Jeśli reprezentacye: polska i ruska nie chwycą się najskrajniejszych środków, aby nie dopuścić do pokrzywdzenia naszego kraju pod względem ilości posłów — popełnią zdradę praw ludu polskiego i ruskiego. Szczególnie obowiązek obrony równości wyborów ciąży na posłach ludowych, które ich dźwignęły na piedestał prawodawców. Dotychczasowe zachowanie się wszystkich partyj krajowych wobec rządowego projektu świadczy, że zadowolili się okrucieństwem rządowej wspaniałości, a niektóre z nich (radyczne) oszukały lud, który domaga się i walczy o bezwzględną równość

wyborczą tak w stosunkach wewnętrznych jak i zewnętrznych kraju. Socjaliści i ludowcy nadużyli zasady równości i energii ludu, bo miast obiecanych miraży stanowiącej walki o absolutną, równość wyborów, przynieśli ludowi w dani... kapitulację przed projektem austriackiego barona.

Socjaliści, ludowcy polscy lecz niedemokratyczni demokraci wykpiłi również zasadę powszechności wyborów, przyjmując elukubrację rządową, odsuwając kobiety od prawa głosowania i posłowania. Prawo wyborcze wtedy dopiero będzie powszechnem, jeżeli rozciągać się będzie na całe społeczeństwo, a więc i na kobiety. Minęły już czasy patriarchy. Kobieta musi przestać być białym murzynem, wyzyskiwanym bydlęciem roboczym, podkładką dla brutalnych mężczyzn. Nędza, społeczne upośledzenie kobiet i prostytucja wtedy skona raz na zawsze, kiedy kobiety zdobędą prawa polityczne, kiedy z poniewieranych parysów staną się obywatelkami. Dziś jednak skromny pan Gautsch rumieni się aż po swe uszka baronowskie na myśl przypuszczenia kobiet do parlamentu lub przynajmniej do urny wyborczej. Nie mniej purytańskie są nasze „radyczne“ partye, na których rząd śnać dokonał kastracyi umysłowej. Żaden głos donośny z lewicy nie odezwał się w parlamencie w obronie praw kobiety, za „nasze i wasze“ prawa! Wszelkie zaś platoniczne sympatyje z równoprawnieniem kobiet bez czynnej pomocy dobre są, jak wszelki platonizm, podczas flirtu z towarzyszkami. Odczuły to uświadomione politycznie kobiety. „Sozialistische Monatshefte“ w ostatnim numerze str. 304 piszą: To, że podczas całego okresu walki o reformę wyborczą ze strony socjalno-demokratycznych mówców nic nie było mówionem o dopuszczeniu kobiet do prawa „wyborczego“, „towarzyszek“ mniej lub więcej boleśnie odczuły. Nie powinny jednak kobiety dziwić się, że tak socjaliści, jak i inne demokratyczne partye nie wzięły ich praw w obronę, skoro na

zjeździe partyjnym socjaliści powiedzieli sobie, (nie wiem czy na serio czy ironicznie) że „w tej wielkiej chwili należy domagać się tego, co zaraz da się osiągnąć.“ (Sozialistische Monatshefte). Podstuchały to inne „postępowe“ partye i postąpiły tak samo... wstecz od zasad głoszonych przed kastracją polityczną.

Ale „jutro trzeba będzie przejść tę drogę, której się nie przeszło dzisiaj; tracąc zaś czas na oczekiwaniu pomiędzy jednym a drugim krokiem, nie zyskuje się nic prócz trochy kłamliwego spokoju.“ (Maeterlinck).

Lud roboczy płci uprzywilejowanej, ale i upośledzonej zapamięta niekonsekwentne stanowisko socjalnej demokracji et consortes wobec projektu baraniego barona, zapamięta z dradę bezwzględnej równości i powszechności wyborów.

Duchowieństwo wobec idei niepodległości.

W ocenie stanowiska duchowieństwa w życiu narodowem można wyjść z dwu założeń. Można uważać duchowieństwo za organizację odrębną, niezależną od społeczeństwa, podległą tylko swej władzy specjalnej, słuchającą tylko skinię Rzymu i odmówić mu na tej podstawie wszelkich praw obywatelskich i nie nakładać nań również żadnych obowiązków narodowych i społecznych. Wychodząc z takiego założenia, należy oceniać jedynie religijną działalność duchowieństwa.

Można jednakowoż przyjąć obszerniejsze kryterium, które uznaje duchowieństwo za nieodłączną część społeczeństwa, żyjącą z jego dóbr, wywierającą wpływ na jego życie publiczne. To kryterium

KORDOLENS.

Pamiętnik włóczęgi.

(Wrażenia z pieszej podróży po Galicji.)

Środa, dnia 21. czerwca 1905.

Idę...

Nic prócz tego jednego słowa niema w mojej świadomości. Przerosło ono w tej chwili wszystkie myśli i jakby ogromnym, odurzającym liściem położyło się na mój mózg. Dziwną czuję świeżość i błogość i jakiś chłodny cień lęku, rzucający się na duszę. Jest to jedno z tych wrażeń, które utrwalają się do śmierci.

Pozamną Lwów. Choć nie odwracam się, widzę jak maleje i maleje... Milczy. Nie żegna mnie żadnym krzykiem, ani jękiem porannego dzwonu. Nie żal mi tego miasta, gdzie proch, ludzie i bydła wirują jak plewy w turkoczącej młockarni i gdzie prawdziwych ziarn trudno się doszukać. Cóż ja z niego wynoszę? Popiół mych nadziei. Oglądam się... już go nie widać.

Mimowoli wyciągam ręce przed siebie: swoboda! Ach, teraz ją dopiero czuję w całej pełni, mam ją w sobie i wokoło siebie. Wzrok rozplywa się po wolnej, słonecznej, zielonej dołom, a błękitnej górą przestrzeni. Ta otchłań woła na mnie słodkim, matczynym głosem. Wchodzi we mnie

wielkie szczęście. Zdaje mi się, że idąc, rosnę, a nieskończoność zbliża się do mnie.

Zawsze lubiałem samotne i długie przechadzki. Jakaś tajemnicza siła wypychała mnie za próg domu, za rogatki miejskie i wiodła pierwszą lepszą ścieżyną na pola, ponad rzekę, do lasu, nie kładąc mi nigdy przed nogi granicy błędnej włóczęgi. Nie raz stawałem nagle i rozglądając się po rozległych obszarach, pytałem sam siebie: „Dokąd idę? Wszak dalej nic nowego nie zobaczę, trzeba wracać.“ Ale niepojęte umiłowanie bezkreśnych widnokręgów, wzmagająca się z każdym krokiem tęsknota, rwała mnie jak prąd szalonego potoku naprzód, wołała ciągle: „Idź dalej, idź dalej!“ I szedłem. Szedłem poto, aby na chłodnej, ocienionej murawie położyć się grzbietem do ziemi, spleść dłonie pod głowę i zapatrzeć się w błękit, w przelatujące po nim chmury, ptaki, aby zasłuchać się w świst wiatru, w szmer traw i liści, w brzęczenia much i owadów, albo w belkot fali, rozbijającej się o brzegi. Godziny mijały, a ja trwał w tem milczącym zadumaniu. I nie myślałem nic i o niczem; ja tylko czułem wtedy. Duch mój rósł. Czułem, jak się rozszerzał do granic horyzontu i dalej jeszcze, jak się podnosił do zenitu i wyżej jeszcze, jak pochłaniał sobą wszystko i przenikał swą istotą. Miałem wtedy złudzenie, że świat cały znajduje się we mnie, że te chmury i ptaki we mnie leżą, że ja im tchem swoim nadaję kształt i kierunek, że te drzewa i trawy we mi kwitną i szumią, że te roje owadów moim głosem śpiewają, a fale skarżą się moim płą-

czem. I tak mi było wszystko drogie, ukochane, żebym za każdy przemijający obłok, przelotny dźwięk w tym zgodnym chórze życie własne dał, nimby im pozwolił zginąć. Nadchodziła chwila, gdy zdawało się, że brzemienne światem całym serce pęknie pod nawałnicą uczucia i rozprysnie się w drobne kawałki. Wtedy z szumem krwi w głowie zrywałem się z ziemi i biegłem dalej, a rozogniony mózg wyrzucał z siebie jak wulkan wyolbrzymiałe myśli, fantastyczne projekta. Ogarniała mnie nieprze-partą żądza dokonania czegoś wielkiego i dobrego na świecie.

Atoli pragnienia moje były długi czas nieuchwytnie. Nie wiedziałem, dla kogo i czemu będzie ofiarą mego życia. Każda wycieczka pozostawiała za sobą inne wspomnienia. Inaczej wrażała mi się w pamięć cicha księżycowa powaga nocy, inaczej rzeźki poranek, lub dusząca spiekota południa; inne wnioski wysnuwała z duszy majowa namietność życia, a inne umierająca bezwładność jesieni. Po tych niciach dochodziłem do poznania zagadki bytu. Ale wniosków było tyle, ile wrażeń i widoków; padały blisko obok siebie, różniąc się w szczegółach. I duch mój błądził w tych niepewnościach, tak, jak błądziło ciało, nie wiedząc, w którą zwrócić się stronę. A czas płynął, siły me tężały. Z trwogą oglądałem się za siebie: żadnych czynów — tylko myśli, pragnienia, zamiary. Sto razy układałem plan życia i sto razy go burzyłem. Prób było bez liku, trwałych postanowień żadnych.

(C. d. n.)

TEODOR HELLWIG i FRANCISZEK ŻYTNY

dawniej J. Ważny, Lwów, Czarnieckiego I. 2, polecają swój świeżo nabyty i obficie w towary zaopatrzonej handel towarów korzennych, delikatesów i pokoje do śniadań. KUCHNIE domową prowadzimy we własnym zarządzie, śniadania, obiady i kolacje po cenach najtańszych, wszelkie potrawy przyrządzamy na maśle, PIWO pilzneńskie na miary, — WINA austriackie, węgierskie, hiszpańskie, reńskie i francuskie stare. Z PÓWAŻANIEM T. HELLWIG i F. ŻYTNY.

jest bardziej realne od pierwszego, bo uwzględnia rzeczywistą rolę duchowieństwa w społeczeństwie.

Duchowieństwo jest teraz jedną z klas narodu i jak każda klasa, tak i ono dopóty będzie istnieć, dopóki przysługi, które oddaje, będą społeczeństwu potrzebne. Wzajemnie za przysługi oddawane ogółowi każda klasa powinna używać w całej pełni praw obywatelskich, a za byt, który klasom daje społeczeństwo, muszą wypełniać obowiązki, które na nich ono nakłada. To też nie możemy odmawiać duchowieństwu praw obywatelskich, ani wyłączać go z życia publicznego, ale również zupełnie sprawiedliwie możemy żądać, aby ono wypełniało obowiązki na równi z innymi obywatelami. Wskutek tego duchowieństwo nie może się usuwać z pod krytyki publicznej, nie może się zasłaniać nietykalnością kapłańską, musi uznawać kompetencję publicznej opinii.

Lecz tej słusznej zasady nie chce uznawać tak większość duchowieństwa, jak i większość jego przeciwników.

Duchowieństwo dlatego, żeby posiadać znaczenie i wpływ w społeczeństwie, a nie przyjmować natomiast żadnej odpowiedzialności za stanowisko, jakie zajmuje wobec spraw narodowych i społecznych, przeciwnicy zaś uczestnictwa kleru w polityce dlatego, że boją się jego moralnego wpływu na warstwy niższe, który bądź co bądź jest bardzo silny i często, a może, nawet zawsze, jest wyzyskiwany w celach politycznych. Oba te zdania są naturalnie stronnice i tendencyjne, a temsamem niezupełnie prawdziwe. Duchowieństwo bowiem na podstawie przynależności swej do społeczeństwa i przysług mu oddawanych ma słuszne pretensje do równouprawnienia obywatelskiego. Ale zupełnie bezzasadnym jest roszczenie sobie prawa do przywilejów na mocy dogmatu o swem zastępstwie Chrystusa na ziemi. Fałszem i niegodziwością jest mieszać religię do polityki, jak i odwrotnie politykę do religii. Przyznając duchowieństwu równouprawnienie obywatelskie, uważamy temsamem każdą jednostkę duchowną za osobę prywatną i zupełnie ziemską, której wolno poza murami kościoła zajmować się sprawami politycznymi, ale nie wolno nigdy nadużywać orszaku, ambony lub konfesyjonału do zwalczania przeciwników politycznych. Słuszność temu zdaniu przyzna każdy uczciwy, niezacofany kapłan. Nieodłączanie bowiem religii od polityki przez nasze duchowieństwo szczególnieżakonne, przyniosło Polsce ogromne szkody. Obłudna dewocja, demoralizacja, ciemnota, waśnie między samem duchowieństwem w XVII. i XVIII. w. u nas to wszystko skutki nadużywania religii do celów politycznych — do celów, które były obliczone na korzyść kleru, a nie państwa. Duchowieństwo nasze zawsze było więcej rzymskiem, niż polskiem.

Ta tradycja przechowała się nawet po rozbiore Polski.

Stolica apostolska rzuca klątwę na powstanie listopadowe, duchowieństwo nasze nie przykładając ręki do rozpoczętego dzieła. Zawsze oczekuje dyrektywy z Watykanu. W 1863/4 r. znalazł się ks. Mackiewicz i garść duchownych w szeregach powstańców, ale dlatego, że papież Pius IX. rzucając słowa potępienia na koronę carską, dał niejako aprobatę powstaniu. Dziś, gdy się znowu zmieniają stosunki, gdy się papież rzymski uśmiecha do papieża petersburskiego, duchowieństwo nasze znalazło się na czele z arcyb. Popielem u „stóp tronu“. Podobnie w zaborze pruskim narodowe stanowisko duchowieństwa było tylko maską, przywdzianą na czas „Kulturkampfu“. W Galicyi nawet takich przebiegów patriotyzmu u duchowieństwa nie było.

To stanowisko duchowieństwa polskiego zupełnie będzie zrozumiałem, jeśli je rozważać będziemy z punktu polityki całego rzymsko katolickiego kleru.

Od czasu edyktu Konstantego Wielkiego kościół wpadł w zależność od państwa. Próbował zerwać tę obrożę, ale po krótkim tryumfie wrócił do dawnego systemu wdzięcznej uległości. Od tego czasu Kościół prawie zawsze stawał i staje po stronie silniejszego. Nasze duchowieństwo wierne temu prawowi uznaje, jeśli nie oficjalnie, to faktycznie zabory, a idea niepodległości Polski ma wśród duchowieństwa bardzo wyjątkowo bardzo cichych zwolenników. Natomiast większość podziela zdanie konserwatystów krakowskich i na czele z ks. Załęskim w czambuł potępia wszelkie powstania, bunt, demonstracje i t. p. nieszczęścia *). Ten swój filozoficzny pogląd t. j. uległość wobec państwa i rządu, choćby nawet niekatolickiego, motywują unaniem zdaniem Pawła apostoła, że „wszelka władza od Boga pochodzi“. Uspokoiwszy w ten sposób swe

sumienie, stają po stronie krzywdziciela, a nie krzywdzonych.

Zdziwi się może niejedną, jeśli powiemy, że takie mniemanie i postępowanie jest niekatolickie, a jednak tak jest.

Już w IV. wieku jeden z ojców kościoła tłumaczył zdanie Pawła w ten sposób, że tylko prawowita władza, a nie przemoc od Boga pochodzi. „Niema władzy — są jego słowa — tylko od Boga, lecz nie wypływa stąd, że każdy panujący z woli Boga panuje“. Ci zaś duchowni, którzy potępiają powstania przeciw despotom, nie znają pewno słów papieża Mikołaja I. „Król niesprawiedliwy jest tyranem. Trzeba przeciw niemu powstać“. Nie można sobie wyobrazić teologa, któryby nie znał pism Tomasza z Aquinu — a jednak widocznie u nas większość kleru jest w podobnym położeniu.

Podczas soboru trydenckiego pisma tego teologa leżały na stole obok ewangelii, a znakomity kanclerz Sorbony i uczony teolog Gerson, opierając się na zdaniu tego ojca kościoła, że „naród ma prawo do odebrania cesarzowi władzy, którą sobie przemocą przywłaszczył, chociażby nawet wierność zmuszona była mu przysiąc“, pisze w jednej z swoich rozpraw: „Jeśli zaś panujący uciera na sobie wyobraźnię teologa, któryby nie znał pism Tomasza z Aquinu — a jednak widocznie u nas większość kleru jest w podobnym położeniu.“ To dość wymowne.

Duchowieństwo nie tylko nie powinno zwalczać idei narodowej niepodległości, ale równocześnie jako obywatele polscy, powinno pomagać narodowi w walce o jego niezawisłość polityczną.

I dopóki ono tego nie zrozumie, dopóty uważać je będziemy za odłam kosmopolityczny, antynarodowy naszego społeczeństwa, którego też politykę lojalną, służalczą względem rządów zaborczych zwalczać będziemy.

Zrywajmy z Wiedniem!

Ustami przedstawicieli swych w parlamencie zażądała Galicya stanowczo zniesienia upokarzającej kurateli, którą rozciągał nad nią rząd centralny. Nie mieliśmy dotąd własnej woli. Wszystko zależało od Wiednia, który nas jak powijakami krepował swą macoszą opieką. A nam — brakło odwagi sprzeciwić się kiedykolwiek samowoli kierowników państwa austriackiego. Dopiero dziś, gdy świadomość krzywd i należących się nam praw narodowych przecięła do najniższych warstw społecznych, obruszyła nas do żywego ta zależność od ludzi zupełnie obcych i wrogo dla nas usposobionych. Silnym tedy głosem zawołaliśmy przed izbą poselską: „rozdzielcie nas!“ Brzęk targniętych łańcuchów, wiążących nas z mocarstwem zaborczym, rozszedł się głosem echem po wszystkich zakątkach kraju i pobudził śpiących obywateli, nawet tych, którzy o polityce nie chcieli nigdy słyszeć, zadawałając się ciepłem domowej pierzyny.

Ale bo też i sprawa to wielka, bo dotycząca bezpośrednio każdego człowieka w jego uczuciach i interesach, bo zaczepiająca o najniezbędniejsze potrzeby życia. Powiedzmy wprost: wszystko, cośmy dotąd czynili, postanawiali, przedsiębrali, musiało otrzymać zatwierdzenie władzy, płynącej jak ze źródła z Wiednia, a nie masz człowieka w Galicyi, któryby już w parę dni po urodzeniu nie nosił na sobie stempla rządowego. Każdy krok nasz zdany był na łaskę c. k. pensyoborców, którzy drząc przed złym humorem ministerjalnych szefów, wszystkie ich myśli i rozkazy w lot bez najmniejszego oporu wykonywali. Nie potrzebujemy chyba rozwodzić się długo nad tem, że te myśli i życzenia ministerjalne nie wychodziły nam zbytnio na zdrowie. Wiedzą o tem doskonale ci dobrodusznisi obywatele, którzy czyto w sprawie sądowej, podatkowej, przemysłowej, szkolnej, czy jakiegokolwiek innej — a wszystko iść musi do Wiednia! — udawali się po sprawiedliwe wyroki do najwyższych instancji państwowych, obsadzonych przez „miemców-psiajuchów“ (jak się rodowity mazur wyraża). Co tam zyskali — o tem lepiej nie mówić.

W tem miejscu zauważyć musimy, że te stronnictwa i pisma, które w ostry sposób wystąpiły przeciw projektowi wyodrębnienia Galicyi, żądając wprawdzie zreformowania parlamentu, przeceniły znaczenie i wpływ izby poselskiej na losy obywateli państwa. Ten, kto ma fizyczną władzę w swych rękach — a więc rząd — nie potrzebuje zbytnio oglądać się na idealną, urojoną władzę, jaką jest parlament. Rząd robi zawsze to, co zechce, mimo interpelacji i uchwał Rady państwa. Każda ustawa da się jak pończocha na wywrót przekręcić, na widzi mi się ministra znajdzie się odnośny paragraf. A co jeszcze bardziej ogranicza władzę parlamentu, to

jego mieszanie się do spraw *post festum*, gdy wszystko już skończone. Rząd zaś zawsze wyszuka na swą obronę wymówkę i usprawiedliwienie, ukazując się w postaci baranka z pochowanimi wilczymi pazurami. Cóż n. p. pomogła ofiarom krwawego wiecu interpelacya posła Breitera i Daszyńskiego, wniesiona w sprawie rzezi w Ladzkim? Chłopi jak padli, przewierceni karabinowymi kulami, tak i po interpelacyi nie zmartwychwstali. Owóż rząd jest właściwą piastunką, trzymającą nas w swych łapach, a że piastunka ta karmi nas zatrutym mlekiem, więc musimy zmienić ją z obcej — na własną. Jak zaś wszystkich bez wyjątku to jarzmo gniecie i parzy — tak też wszyscy obowiązani są, choćby już dla własnego dobra, zrzucić je z niewolniczych karków.

Powiadamy: wszyscy. Walka o usamodzielnienie Galicyi nie może być wyłącznym obowiązkiem polityków i stronnictw. Nawet najobjętniejsi na sprawy publiczne obywatele powinni stanąć do bojowych szeregów. Wiedzą bowiem nie tylko pod względem politycznym usidlił nas i ubezwładnił. On zarzucił na Galicyę łańcusz przemysłowej konkurencji, chwycił nas w szpony materialnego wyzysku i ssie z nas krew jak pajak. Przy poparciu, przywilejach i ułatwieniach, które rząd centralny hojnie ich obdarza, zasypują kupcy i przemysłowcy wiedniacy kraj nasz bezwartościowymi wyrobami, wyznaczają niskie ceny i mordują wprost rodzimych nasz przemysł i rzemiosłnictwo. Konkurencja z nimi jest przy dzisiejszych warunkach niemożliwa.

Gdyby rzemiosłnicy nasi chcieli współzawodniczyć z nimi znizeniem cen, nie tylko nicby nie zarobili, lecz musieliby do swych trwałych wyrobów, lepszego materiału, rzetelniejszej roboty dokładać. Kapitałów zaś na tę ekonomiczną walkę nie mają. Ledwie wyżyć mogą ze swej pracy. Tandeta niemiecka zabija ich, spycha na nędzę. Trzeba chwycić się innych środków ratunku: powstrzymać zalew obcych fabrykatów, odciąć im dowóz do kraju. Możliwe to jest tylko po wyodrębnieniu Galicyi, gdy sami stanowić będziemy dla siebie prawa, nakładać cła, uchylać ustawy przemysłowe, nadawać przywileje i rozdzielać subwencje.

Stan rzemieślniczy, który bierzemy w obronę, a który obrony tej gwałtownie potrzebuje, bo nikt się nim dotąd opiekować nie chciał, ocalenie swe, byt swój i rozwój znaleźć może tylko w zdobyciu samodzielności Galicyi. Lecz aby zamiar ten przeprowadzić, należy działać energicznie i wziąć się do dzieła natychmiast. Czy dotąd czynili cośkolwiek rzemiosłnicy w celu poprawy swej doli? — Nic, zgoła nic.

Spokojnie patrzali krawcy na tworzące się po całym kraju filie Heilmanna Kohna, na sążniste reklamy Tiringa Braci z Wiednia, na tłum odbiorców, nawiedzających setki mniejszych i większych magazynów wiedeńskich, z apatyą spodładali szewcy na błyszczące wystawy obuwia niby to karlsbadzkiego, zapchane wiedeńską, a nawet berlińską tandetą, nie protestując przeciw temu ani słówkiem, nie przedsięwzięli żadnych środków obrony.

Stan rzemieślniczy tak liczny i tak różnorodny, rozbity jest w puch. Należy się w celu samoobrony połączyć, zorganizować, rzucić społeczeństwu śmiało w twarz potępienie za protegowanie firm szwabskich, i rozpocząć walkę stanowczą z wrogiem najniebezpieczniejszym, bo wydzierającym nam chleb z ust, a więc godzącym na życie nasze.

Z naszej strony z całą gotowością ofiarujemy swe usługi upośledzonej dotąd klasie społecznej, podając myśl rozpoczęcia akcji ratunkowej naprzód tu, we Lwowie. Prosimy wszystkich, którzy w kołach rzemieślniczej braci mają jakiś wpływ i powagę, aby raczyli porozumieć się z nami co do urządzenia wiecu, tej sprawie poświęconego. Na razie kończymy wywody swoje wezwaniem:

Rzemiosłnicy! Łączcie się z tymi, którzy dla szczęścia waszego i dobra całego narodu rzucają hasło: „Zrywajmy z Wiedniem!“

Którędy droga?*)

Udzielając swoich łamów pod dyskusję na temat lazarionów galicyjskich, „Naród“ pierwszy spojrział oko w oko groźnemu wrogowi i podjął z nim śmiałą walkę.

*) Przypomniawszy w piśmie naszym gościnie wszystkim głosom, podającym środki zaradcze przeciw szerzącemu się lazaronizmowi w kraju, umieszczamy powyższy artykuł jako pierwsze echo naszego wyzwania. Po wyczerpaniu tematu przystąpimy odrazu do energicznego działania na myśl wniosków, wynikłych z tej publicznej dyskusji.

Redakcja.

*) Rozbiór Dekalogu.



SZYNKI, WĘDLINY, uznane za najlepsze,
poleca główny SKŁAD WĘDLIN
FRANCISZKA ICHNIOWSKIEGO
Lwów; Batorego 4. — P. T. kupcom znaczny opust.



Walka to rozpaczliwa, a zwycięstwo niechybne wtedy tylko, gdy rzeczywiście cały naród stanie do szeregów!

Sądzę przeto, że i głos, stykającego się wielokrotnie z tą istic stógłową hydrą, rzucić może pewne światło na ową wciąż bardziej ropiącą się ranę.

Lazarioni galicyjscy! — to poprostu straszna epidemia — to żywioł — pożar! Znaną jest powszechnie taktyka przy uśmierzaniu pożaru, polegająca przede wszystkim na odgroźeniu objętej klęską przestrzeni, na umiejscowieniu żywiołu i powstrzymaniu jego gwałtownych postępów.

Ażeby podobny środek zastosować i w naszym wypadku, niezbędnym jest choć pobieżne poznanie przeciwnika.

Lazarioni galicyjscy — to ludzie słabej woli, niezmiernie czułości i lekkomyślni! Te główne rysy przebiegają tak w prostaku jak i inteligencie pozbawionym możliwości zarobkowania, chleba.

Teraz z łatwością zrozumieć można, jakim to właśnie wdzięcznym terenem jest natura polska dla rozwoju tej groźnej epidemii!

Badajmy zło do głębi.

Wszak wiadomym jest, jak człowiek, pozbawiony silnej woli, zależy od wiatru nań wiejącego. Przytem: czem skorupka za młodu nawrze — tem na starość trąci. Nareszcie doszliśmy, skąd ciągną posilki wrogowi.

Więc w celu umiejscowienia naszego pożaru przede wszystkim niezbędnym jest usamodzielnienie młodzieży szkolnej.

Samodzielnej, hartownej jednostki nie mogą złamać ani chwilowe niepowodzenia, ani nawet złośliwość ludzka.

Hartu zaś tego nie mogą wyrobić żadne sporty, gimnastyki, które są tylko półśrodkami, gdy strona duchowa leży odłogiem. Nie jest również dodatnim objawem i owa filisterska dobroczynność biurokratyczna, łaskawie szafująca stypendiami; jest ona właściwie tylko jedną więcej sprężyną rozleniwiającą.

Niech nasza młodzież nie rachuje na jakieś upokarzające ją datki, niech wie, że w życiu tylko rzetelna praca coś znaczy. Niech więc otrzymane stypendium będzie związane z jakimś drobnym obowiązkiem, jak n. p. udzielaniem lekcji, pielęgnowaniem chorych kolegów, a choćby nawet zamiatanie podłogi, nastawianiem samowara, zapalaniem latarni...

Jasne się teraz staje, dlaczego młody człowiek, skończywszy czy wydziałową, czy średnią szkołę ciągnie nadewszystko do urzędu. Dobrze bowiem jest leczyć, stawiać mosty, bić drogi albo posiadać własny warsztat, ale lepiej siedzieć sobie na posadzie rządowej, bo przecież jest się zawsze urzędnikiem, piszącym zamiast maszyny przy biurowym stoliku. Człowiek się tam nigdy tak nie napracuje, jak przy swoim interesie, a pensyjka nie zgorza, a stosownie zaraz i do niej wzniosłe dążności karyerowiczowskie.

Wymarzywszy podobną przyszłość, młody człowiek zetknąwszy się dopiero z trudnościami i brakiem podobnego miejsca, traci głowę, a chociaż umie majdnąć na drażku *salto mortale*, choć na piechotę w gronie kolegów, z profesorami na czele i koniecznie z muzyką zwiedził Dublany, gapił się w Winnikach na sortowanie tytoniu — nie sam sobie poradzić nie może i, prędzej lub później, poddaje się apatii, zwiększając grono lazarionów.

Kiedyż więc wreszcie wniesiemy do naszych uczelni okruszyny życia? Kiedyż zerwiemy ze scholastyką? Kiedyż roztworzymy drzwi i okna średnio-wiecznych gmachów szkolnych, by wpuszczać tam choć trochę cieplejszego słońca, wolnomyślniejszych powiewów?

O! na to jeszcze czas nie przyszedł! Naprzód trzeba, żeby wszyscy, nie mający co włożyć do ust lazarioni galicyjscy uczuli się prawdziwymi obywatelami, trzeba przeprowadzić czteroprzymiotnikowe prawo wyborcze!

A dalej: pedagogzy nasi umieją tylko rozpałtywać nad trudnościami wychowania młodzieży wśród dzisiejszych stosunków, prowadzić na ten temat odczyty z wyczerpującymi dyskusjami no i... dalej robić swoje!

Tymczasem trzeba sobie powiedzieć, że walka z tą piekącą bolączką bez jej umiejscowienia, przechodzi ludzkie siły, staje się wprost niemożliwą! Identyfikacją przykładem w tym wypadku byłaby walka z analfabetyzmem, prowadzona w ten sposób, że uczonoby rodziców i wogóle starszych, nie uczając kompletnie młodzieży i dzieci.

K. B.

Wieści zakordonowe.

Z górnego Ślązka.

1.

Budzący się coraz więcej i więcej ruch narodowy na Górnym Ślązku zwrócił oczy Polski całej na ów odłamek kraju i ludu naszego, pozostającego tak długo pod obcem, wrogiem panowaniem, a mimoto jak skała niewzruszenie stojącego w obro-

nie mowy rodzinnej, odrębności narodowej i zwyczajów starodawnych.

Niestety z żalem przyznać wypada, że tylko lud wiejski górnośląski tworzy ową zapórę, o którą rozbijają się fale morza germańskiego, przeciwnie zaś w okolicach fabrycznych, gęściej zaludnionych: polszczyzna wolno ale zawsze stale się cofa. Zdarzają się i tu większe wysepki, nawet dość gęsto rozsiane, które opierają się jeszcze zalewowi germańskiemu, ale opór ten szczególnie w ostatnich czasach w miarę dorastania młodszego pokolenia systematycznie przez szkołę pruską wynarodowianego, z roku na rok coraz więcej słabnie i mimo celowej i nieprzebierającej w środkach agitacji przeciwnej, morze germańskie coraz to dłuższe i potężniejsze zapuszcza odnogi w okolice do niedawna jeszcze zupełnie polskie.

Nie zmieni tej smutnej prawdy ani zwiększona w trójnasób liczba głosów, oddanych przy wyborach na radykalnych i najradykalniejszych kandydatów polskich, nie zmienia jej gołosłowne twierdzenia okolicznościowych badaczy i przygodnych obserwatorów, gdyż każdy, kto tylko gruntownie poznał lud górnośląski, obecny ruch gorączkowy, nerwowy, nie opierający się na żadnych poważniejszych materialnych podstawach, uważać musi za ruch przejściowy, sztucznie wywołany, systematycznie i celowo wprowadzanie podniecania, ale zawsze więcej skupiający się około osobistości, które w danej chwili umiejętnie wyzyskały lub wyzyskują sposobną chwilę, mniej zaś około ogólnych haseł narodowych.

C. d. n.

Drobne wiadomości.

WŁODZIMIERZ KOZAKIEWICZ.

W ostatniej chwili dowiadujemy się o śmierci Włodzimierza Kozakiewicza, ucznia VII. klasy gimnazjalnej, który wystrząsał z rewolweru, skierowanym w pierś, zniszczył swe, bujnie rozkwitające życie. Znając zmarłego osobiście i wiedząc, jakich był przekonań, możemy wysnuć pobudki tego rozpaczliwego czynu. Nad temi pobudkami zastanowimy się obszerniej w następnym numerze. Dziś żal i boleść nad utratą dzielnej jednostki, która wiele mogłaby oddać korzyści narodowi, zwłaszcza w walce o ideę niepodległości — pogrąża nas w milczącej żałobie, która zdobyć się może tylko na tych słów parę: „Pokój Ci, Duchu bratni“!

SKONFISKOWANO!

SKONFISKOWANO!

Ekscelencye przed sądem. Dr. Dwernicki zażądał podczas sanockiej rozprawy „balowej“ powołania na świadków namiestnika i marszałka krajowego. Na sali jakby wszystko tknięte zostało paraliżem... Pierwszy ocucił się p. prokurator w strachu, aby złowrogie słowa nie doleciały przypadkiem do pałacu namiestnikowskiego i do gmachu sejmowego. Pełen zgrozy zerwał się z prokuratorowskiego stolca i zaprotestował: „Taki wniosek możliwy chyba tylko na... Filipinach, lub innych wyspach oceanu!“ (dosłowne wyrażenie). Rzeczywiście, galicyjskie mózgi biurokratyczne nie mogłyby wprost wyobrazić sobie ekscelencyi, odpowiadającego przed trybunałem — nawet w charakterze świadka — i stojącego na jednej podłodze z robotnikiem o wyartych łokciach. Jakby zresztą zdołał skołkowacić język p. radcy wybelkotać niedyskretne pytania do naczelnika kraju, do głowy stutysięcznej hydry urzędniczej? To nawet nie da się pomyśleć! Nie sprawa tedy nikomu niespodzianki uchwała trybunału, sprzeciwiająca się powołaniu Ekscelencyi na świadków. Taki n. p. Roosevelt, prezydent Stanów Zje-

dnoczonych byłby niewątpliwie na równi z każdym innym obywatelem powołany do rozprawy i nikogo by to wcale nie zadziwiło. U nas stałoby się to sensacją, przechodzącą z pokoleń w pokolenia, gdyby stał się ów cud i sędziowie ośmielili się zaprosić namiestnikowsko-marszałkowskie figury przed oblicze Chrystusa, obstawionego dwoma świeczkami. Przypuszczaliby w takim wypadku można, jakby te zaproszenia wyglądały. Zwykły śmiertelnik otrzymuje wezwanie na ogryzku szarego szpargału w tych mniej więcej słowach: „masz się pan stawić w oznaczonym dniu o tej a o tej godzinie, w przeciwnym razie po myśli takiego a takiego rozporządzenia zostaniesz przymusowo odstawiony“ (charakterystyczna urzędowa forma bierna). Zaproszenie natomiast, wysłane na pozłacanym pergaminie do namiestnika naprzykład, brzmiałoby przypuszczalnie w ten sposób: „Ekscelencyo! C. k. sąd krajowy ośmiela się koronie prosić o łaskawe odwiedziny i przysłuchanie się zeznaniom złoczyńców, którym Ekscelencya we właściwych miejscach raczy poczynić odpowiednie uwagi. W razie przychylenia się do naszej uniżonej prośby, stawi się w oznaczonym przez Ekscelencyę czasie i miejscu kareta (na gumach) z wystarczającą ilością stangretów i lokai. Gdyby Ekscelencya nie raczył się zjawić we właściwym dniu, odroczy my rozprawę do czasu polepszenia się Jego humoru, pod sądni zaś przeczekają tę krytyczną chwilę — we więzieniu.“ — Niemożliwe to z pewnością na Filipinach, gdzie rządzą od czasu hiszpańskiej porażki amerykanie, w Galicji jednak możliwe!

Portretomania. Jak sztyldo z worka wyłazi na każdym kroku pyszałkowatość polskiej natury. Świecidełka, tytuły, godności, ordery — to dobry sposób dogodzenia własnej ambicji, ale stary, zużyty i niedość popularny; ot, w czym sek. Na tę

niedogodność znalazła się jednak rada. Nie nowy to wprawdzie wynalazek i zagraniczny; u nas jeszcze do niedawna w handel nie wprowadzony. Ale mądrość przysłowi takich n. p. jak *exempla trahunt*, to nie martwa literatura, mości panie. Mogła taka dajmy na to Anna Csillag ze swoją pomadą na włosy dobić się przy pomocy swych nadobnych wizerunków światowej sławy, dlaczegożby tej rozkoszy nie mógł zakosztować eksceleńcy Potocki, Badeni lub imć pan Michał Michalski. O, pisemka bardzo popularne à la „Wolne Słowo“, „Herold Polski“ znajdują się zawsze na uniżone usługi. Łaskawie udzieloną fotografię największych naszych wielkości przyjmie taka tam redakcja gratis i franco z najwyższą radością i z pocałowaniem... Ale poco się to wdierać w czyjeś tajemnice redakcyjne. Dość, że portret był jest i będzie w każdym numerze a jasnie oświecone osoby na wszystkie boki, we wszystkich pozycjach, we wszystkich humorach i we wszystkich swych garderobach bezpłatnie się popularyzują. Prawdopodobnie, że i miłość w sercach biednego ludku musiała już przybrać tem ustawicznym obcowaniem ze swymi ziemskimi patronami rozmiary Gierlachu albo — lodowatej Mont-Blanc. Co do nas — nałogowych pesymistów — to nie możemy jakoś dopatrzeć się powodów tej kolosalnej reklamy. Bo przecież panowie ci żadnej maści na porost włosów nie wymyślili, a że mogą poszczycić się odręcznie pismem Najjaśniejszego Pana w słodkim brzmieniu:

„Kochany hrabio! Mianuję Cię namiestnikiem lub marszałkiem mojej Galicyi — toć jeszcze, zdaje się nam, nie wielka racja do obnoszenia się

po świecie. Co do imć p. Michalskiego, przyznać wprawdzie musimy, że mu bardzo do twarzy w tym buńczucznym kołpaku i z gęstą miną, mówiącą: „taj co mi zrobisz?“, wolelibyśmy go wszakże, jeśli już koniecznie posmarować sobie pragnie dostojne oblicze farbą drukarską, zobaczyć go w skórzanym fartuchu kowalskim, z zakasanyimi rękawami i z młotem w przydykanej pięści. Tobo mu z pewnością o wiele większą zjednało popularność, niż źle na nim leżący kontusz. W każdym razie lista portretów jeszcze nieskończona. Z najniecierpliwiejszym utęsknieniem oczekujemy dalszego ciągu naszych kochanych wielkości, jak n. p. excel. Korytowskiego, szefa wyściskaczy podatków, radcy Schechla, dyrektora ubóstwianej policji i innych konkurentów — Anny Csillag.

Polskie koncerty na szwabskich fortepianach. P. Bernard Połoniecki, chcąc spełnić patriotyczny obowiązek i rozradować ucho publiczności lwowskiej polskimi tonami polskich kompozytorów, urządził parę czysto polskich koncertów polskiej muzyki. I wszystko byłoby polskie, cudowne i rozczulające, gdyby nie... Bystre oko jednego z polskich słuchaczy, siedzącego w ostatnim rzędzie, dostrzegło na odchylonym wieku klawiatury jakieś... gotyckie litery. Ba! — to jakiś... niepolski fortepian. Czuć nawet po dźwiękach strun, że — po szwabsku szwargoce. Ale wybaczenie państwo, to trudno, przecież p. Połoniecki nie będzie na łeb, na szyję do jednego występu sprowadzał umyślnie od Horszowskiego fortepianu, skoro na swym własnym składzie ma same — niemieckiej roboty trójnożne instrumenta.

„Stella“ dyamenty. Przeszła moda wywrzaskiwania: „popierajmy przemysł krajowy!“ „kupujmy tylko u swoich!“ To niepopłatny interes, powiedziały sobie patryotyczne redakcje lwowskich dzienników i skoro tylko otrzymały aż na całą stronę(!) anons, reklamujący bezwartościowe świecidełka, na które wprzód tak się ujadło, zamknęły buzie i sz! Niech głupi ludek kupuje fałszowane blaszki, niech krwawo zarobionym groszem wypycha kieszenie szwabskich wyzyskiwaczy, byleby tylko kasa redakcyjna zaświeciła się judaszowymi srebrnikami, zebrany za całostronne i codzienne inseraty. A w oknie wystawowym na pl. Maryackim lampki elektryczne tak się ładnie kręcą! — a fałszowane blaszki tak ponętnie błyszczą i migocą! Kupujmy! złoty interes! — Co do mnie — ja zaczekam, cierpliwie, aż ceny jeszcze niżej spadną i wtedy dopiero przestąpię próg tej dzierzwej jaskini, gdy bezczelni jej właściciele nie tylko świecidełka swe rozdawać będą bezpłatnie, ale do każdego podarunku dodadzą jeszcze choćby jakie 4. korony.

Odpowiedzi Redakcyi.

Mentor. Znadto lojalne i beztreściowe. Poslij Pan to „Gazecie Lwowskiej“ albo „Przeglądowi“.

P. Kar. Ed. Lwów. Związek między dzisiejszym „Narodem“ a zeszłorocznym „Narodem“ wyjaśni Panu numer następny.

P. L. R. S. Pomysł zawiązania tego rodzaju spółki w istocie bardzo dobry. Proszę się z nami osobiście porozumieć.

Drobne ogłoszenia.

Warkocze od 5 K polecam z prowincji, wystarczy próbka włosów, przyjmuję wszelkie roboty w zakres perukarstwa wchodzące. Damską fryzję polecam dla Pań, osobny gabinet. — Peruki wypożyczam i charakteryzuję. **FERDYNAND WEISSHAR**, fryzjer i perukarz, Lwów, pl. Bernardyński 12.

Zaraz zostaną przejęci dwaj kolporterzy i chłopiec do usługi. Wiadomość w Administracji „NARODU“.

Kazania Skargi, Unia Lubelska, Dirce, Olszynka, Wywłaszczenie, Na swoją Ntę oraz wszelkie inne wyczerpane premie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych. — nado oryginalne obrazy olejne i akwarele, tudzież wybór starych sztychów poleca najtaniej **księgarnia, antykwarnia oraz handel dziełami sztuki i starożytności JÓZEFA TOMASIKA** we Lwowie, pasaż Hausmana liczba 9.

W powiecie Kołomyjskim jest do sprzedania 280 morgów ziemi I. kl. Zgłoszenia pod G. M. do Administracji „Narodu“.

Zaraz zostaną przyjęci za stałą pensją i prowizją trzej zdolni agenci do zbierania anonsów. Zgłoszenia do Administracji „Narodu“.

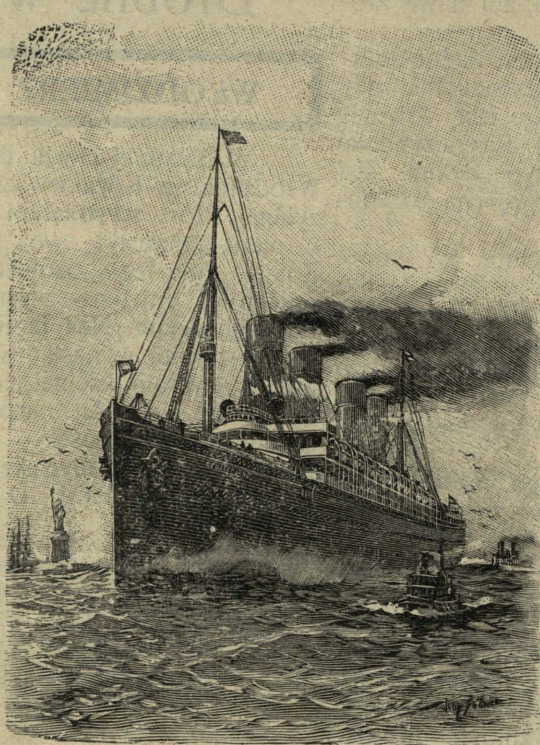
Prawnik poszukuje za skromnym wynagrodzeniem lekcji we Lwowie. Łaskawe zgłoszenia pod W. B. główna poczta.

Brylanty po średnim kursie zawsze w wielkim wyborze
J. DĄBROWSKI
we Lwowie, ul. Hetmańska 4.

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za nie pełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numery), grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodnie spłaty miesięczne. Losy gdziekolwiek zastawione wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcję. — Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacji, losów i monet. — Agentów żadnych nie wysyłamy. Kalendarz bankowy bezpłatnie.

SCHÜTZ I CHAJES
DOM BANKOWY
we Lwowie, plac Maryacki 7.



Najprędsza jazda oceanem
5 dni 7 godz. 38 minut.
Bezpośrednie regularne połączenie podwójnośrubowymi pośpiesznymi i pocztowymi parowcami

z HAMBURGA do NEW-YORKU

przez **Doeer, Boulogne, Cherbourg** następnie do **Kanady, Brazylii, Argentyny, Afryki, zachodnich Indyi, Meksyku, Kuby i centralnej Ameryki.**

Podróże morskie lecznicze i spacerowe.

Bliższych informacji udziela
LINIA:

HAMBURG-AMERYKA.
JENERALNA AJENCYA
dla GALICYI we **LWOWIE**
ul. GRODECKA 95.

Zaprojektowana firma istniejąca od roku 1884.

MAREK FEUERSTEIN

ulica Gródecka liczba 51.

FILIE: BÓBRKA, BRODY, HALICZ i MOŚCISKA.

Pierwsza Galicyjska Fabryka miechów.

SKŁAD MASZYN rolniczych i przemysłowych.

Poleca swój bogato wyposażony **SKŁAD MASZYN ROLNICZYCH**, maszyny do szycia, narzędzia i maszyny dla ślusarzy, kowali, piekarzy, rzeźników i t. p. z najlepszych fabryk krajowych i zagranicznych, — oraz pompy, sikawki, wagi dla bydła, wagi decymalne, kasy ogniowate. Wszelkie artykuły techniczne.

Katalogi na żądanie darmo i opłatnie.

MAGAZYN i PRACOWNIA UBIORÓW MĘSKICH
SKŁAD MATERII ANGIELSKICH, FRANCUSKICH
i KRAJOWYCH.

WŁODZIMIERZ PIETRUSIAK

Lwów, [ul. SOBIESKIEGO] liczba 7.

Wykonuje wszelkie zamówienia w ten zakres wchodzące podług najnowszej mody po cenach najprzystępniejszych.

Fabryka wózków dla dzieci

wyrobów koszykarskich - - - -
- - - - - i bambusowych

poleca

SWE WYROBY

taniej niż wszędzie

OLBRZYMI WYBÓR

KRZESŁA SKŁADANE, LEŻAKI

praktyczne i tanio!

A. KONIEWICZ

Lwów, ulica BATOREGO liczba 12.

CENNIKI GRATIS.

CENNIKI GRATIS.

SKŁAD PŁOCIEN KORCZYŃKICH - - - -
i BIELIZNY GOTOWEJ poleca - - - -

STARZEWSKI Lwów, ul. Halicka 16.

„DRUKARNIA POWSZECHNA“

wykonuje wszelkie roboty w zakres drukarstwa wchodzące.

Lwów, — ulica AKADEMICKA liczba 8.

PRENUMERATA

wynosi:

Kwartalnie 1 kor.
Półrocznie 2 „
Rocznie 4 „

Numer pojedynczy:

we Lwowie 6 halerzy
na prowincyi 8 „

Reklamacje wolne są od opłaty
pocztowej.

NARÓD

OGŁOSZENIA:

Wiersz petitowy, albo jego miejsce
20 halerzy. — Cena większych
i częstszych ogłoszeń zależna od
umowy.

Listów nieopłaconych Redakcja
nie przyjmuje i rękopisów nie
zwraca.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Batoiego 1. 22.

Wychodzi w każdą sobotę o godz. 3. popołudniu.

Redaktor naczelny: LEON FUK.

Prawdziwe życie.

Idzie wiosna!

Doczekaliśmy się jej nareszcie! — nadciąga zwiastun nowego odrodzenia narodowego; wiosna myśli, słowa i czynu! Drgnęło Królestwo: dziesięciomilionowy olbrzym przeżył się do lotu; dziesięć milionów serc uderzyło głosem wielkim, a choć na pozór krzyk to bezładny, jednak ucho wprawne dosłysz w nim przedziwną harmonię, przeczuje bliski hymn zmartwychwstania. Dziesięć milionów ludzi wskrzeszonych do nowego życia — to cud potężny!... Wiosna idzie!

Poznańskie, poparte wieściami z za kordonu, ugruntowało się pewniej w swych posadach i niewzruszenie odiera zbrodnicze ataki godnych potomków zakonu krzyżowego.

Tylko jedną Galicję spowija jeszcze półmrok! Toną w betach ojcowie narodu, przecierając ze złością starcze, zaropiałe powieki, gdy ich polskie pachole budzi, ukazując na wschodzie czerwoną pozogę świtu!

Spiny snem twardym. Nawet ryk dział z nad Jalu, nawet salwy przed „carskim dworcem“, nawet jęki mordowanych braci nie zbudziły nas na dobre! Ale wiosna idzie, może bezwiednie i pomimowoli poddać się musimy jej twórczym tchnieniom i wreszcie zacząć żyć.

Śmieszne to poniekąd aż do łez, że my żyć prawdziwie, ani nawet użyć życia nie potrafimy! Niewola austriacka zabiła w nas wszelkie wybitniejsze władze; dzieci nasze, począwszy od 7-go roku życia — to małoletni starcy duchowi! — jakąż w nich próżnia myśli, zwierzęcość chęci i upodobania; w nas samych rdza biurokratyczna przegryzła odporność, hart i siłę woli. Bez zaborczego rządu — tej niańki naszej, nie jesteśmy w stanie palcem kiwnąć, raczmy tylko niekiedy roztworzyć buzię, a usłużny niemiec pakuje nam swoje papu i jeszcze palcem popycha, — naprawdę baczmy, żebyśmy się kiedy przy takiej

libacyi nie udławili. Dla tego kawałka chleba, podanego ręką ciemieńczy gotowi jesteśmy ideały narodowe podeptać, napluć na świętych bohaterów naszych.

Lecz co najboleśniej, że my właśnie, ludzie chorzy, miażdżeni i przybici stuletnią niewolą, garbusi moralni reformujemy świat cały, wpadając z jednej ostateczności w drugą!

Zajmuje nas przedewszystkiem polityka europejska, ilość i pojemność floty angielskiej i niemieckiej, śledzimy za wycieczką poślubną Alicyi Roosevelt, obliczamy podarunki ofiarowane jej przez rządy i monarchów. I pewnie tylko przez jakiś dziwny zbieg okoliczności Polska nie złożyła u stóp tej amerykańki swojej korony ciemnowej!

Waleczni przodkowie wydają nam się niedoścignionymi bożyszczami! Ta ważna chwila wybrała takich liliputów do czynów niezwykłych. O, jeśli my nie zerwiemy raz z tą wstrętną teraźniejszością i nie wkroczymy na drogę bohaterską, którą usłały nam wieki, a z której gwałtem Moskal i Niemiec wypychają nas w zastaw, stęchlą kałużę spoczynku, to chyba tylko dlatego, że chemy przestać żyć i istnieć!... Nie! Przed nami brzask, wiosna i życie!

Reformujemy, ale w pierwszym rzędzie siebie. Starajmy się żyć życiem prawdziwym, stosownem do chwili i nowoczesnych dążeń. Dzisiejsze życie, to walka straszna i nieubłagana! Z każdym dniem walka ta przybiera szersze rozmiary, bo coraz straszniejszym jest oręż współczesny. Nie miecz to, dzida i koncerz, ale pióro, pieniądź, nauka, sztuka i zasób sił życiowych. Kto nie czuje się na siłach stanąć do tej walki, kto stroni od tętniącego szeroko życia, ten wart zły doli i rychłego zgonu! Starców niedołącznych świat nie potrzebuje, lecz ludzi zdolnych do walki. Szał życia zatacza dziś coraz szersze kręgi. Wychudły asceta, kmięć w siermiędze, ubogi robotnik, białogłowa dziś pragnie czuć, działać, myśleć! Czas poznać, że życie bez wrażeń, ciągłych pragnień, chęci, starć, nawet zawodów równa się agonii, kalectwu, niedołęztwu!

Więc rzućmy się w ten wir prawdziwego życia, działajmy, pracujmy i walczmy, a zahartowani w tym niespożytym ogniu, prawie nieśmiertelni, a bądź co bądź, silni, mężni i odporni, jak granit, zmierzyć się będziemy mogli z wrogami i stanąć na równej stopie ze wszystkimi narodami i państwami nowoczesnymi. A sami czyż nie będziemy mieli tego wielkiego zadowolenia, żeśmy żyli prawdziwym, pełnym życiem, żeśmy każdą chwilę obrócili na społeczny lub własny pożytek?

Do życia więc, do walki i do zwycięstwa w ten wielki wiosenny, dziejowy dzień zmartwychwstania!

Konstanty Boleszczyk.

Król-lud.

Niepojęty urok ma w sobie blask berła i korony. Włózione w złotą oprawę drogie kamienie żarzą się cichym wewnętrznym ogniem i zdają się przenikać ludzkie serce szynem, nieubłagane spojreniem, przed którym gną się mimowoli kolana. Jakaś moc nieziemską zaklęta jest w tym iskrzącym się dyademie...

Mówią jedni, że moc ta wypływa z Boga, a drudzy, że z szatana.

Od początku dziejów moc ta pętała ludzką wolę i ludzkie myśli. Miliony, — a przecież to jest potęga! — padały w przerażeniu na twarz przed jednym człowiekiem, na którego skroniach błysnęła złota obrączka. Jeśli z tych wyżyn padł rozkaz, by ludzie ginęli — tłumy marły bez szemrania; jeśli ustom królewskiego pomazańca spodobało się wyrzec słowo: „idźcie!“ — to zastępy tysiączne i stutysięczne, porzucając dom, rodzinę, ojczyznę, szły milami i milami, pozostawiając po za sobą trupy mniej wytrwałych braci — na zbójcką wyprawę. Bo tak chciał kaprys człowieka, ozdobionego koroną.

KORDOLENS.

Pamiętnik włóczęgi.

(Wrażenia z pieszej podróży po Galicji.)

(Ciąg dalszy).

Stawiano mi przed oczy przykład rówieśników. Każdy z nich wstępował na otwartą, tysiącami stóp ubitą drogę; przyszłość wyłaniała się przed każdym z nich w dokładnych, choć tylokrotnem powtórzeniem wytartych zarysach — moja ukryta była wciąż za mgłami, niewidzialna, daleka i tajemnicza. „Lata idą ci na marne“ — łajano mnie wkoło, a ja nie mogłem, nie chciałem chwycić się żadnego rzemiosła, w którym ludzie używają wiedzy i wiary jak piły i siekiery, aby wyciosać sobie jak najwygodniejsze leże. „Lata ci idą na marne“ — sam sobie to nieraz wyrzucałem, ale dziś widzę, że mi one bardziej obciążają sieć, niż pół wieku, prześlęzonego nad morzem bibliotecznego mądrości. Tych wiosen kilka, co mi przeleciały nad głową świergotem ptasząt, błyskawicą burz i zapachem polnych kwiatów, zmyło z posagu, który całym wysiłkiem woli rzeźbiłem na obraz i podobieństwo przyrody, brud przesądów i błoto kłamstw, uświęconych powszechną opinią. Dziś stoi mój własny posąg w głębi łona nagi, niewzruszony i nieśmiertelny, przed którym korzy się duch twórczy i woła w najwyższej radości: „oto stworzyłem sam siebie!“

Z taką radością i z taką wiarą w siebie kroczę oto teraz po miękkim pyłe gościńca. Z pod

stóp mych wybiega prościutko w dal ta szara wstęga i ginie w błękitach zachodniego widnokręgu. Dokąd ona mnie zawiedzie? Bo że nią powracać nie będę — rzecz postanowiona. To już nie owe zwykłe kilkukilometrowe krążenia około stałego punktu: miasta i domu. Domu nie mam. Wyleciałem jak ptak z ciasnego gniazda i wiem, że dachem mi odtąd będą gałązki coraz to innych drzew, cień coraz to innej surzechy. Lecz ku tym strzechom rwę się z gorączkową niecierpliwością. Zdaje mi się, jakby mnie one mimowiednie wzywały ku sobie, wybawiciela swego. Patrząc w dal i widząc jakoby wychodzącą z pod linii horyzontalnej naprzeciw mnie rzeszę siermiężną. Czapki wznoszą się w górę, tysiączne ręce rozwierają się do bratniego uścisku, twarde oblicza promienią szczęściem... To oni mnie tak witają — mój lud — zato, że im niosę życie swe i siły młodzieńcze i wiedzę, ten ostry miecz w walce o byt, miecz, którego dotąd nie mieli.

Turkot kół przerwał rojenia wyobraźni. Żydowski wózek szarpał się zmęczonym koniem ku miastu. Chłop-woźnica z fajką w zębach obrócił się na koźle i upartym wzrokiem patrzył za mną. Widać było w oczach jego pytanie: „Dlaczego ten pan idzie piechotą?“ Nie znalazłszy odpowiedzi, świsnął batem i pchnął się szybciej do stolicy.

Pierwsza kropla potu spłynęła mi po czole. Słońce przetoczyło się już na ćwierć sklepienia i poczęło kasać ziemię płomiennymi pocałunkami. Fala powietrzna zadrażała drobniutkim dreszczem, marszcząc przydrożne słupy i kamienie. Równoległe z gościńcem biegnące szyny żelazne jeły się w gorący wic jak długie, czarne gąsienice. Tuż za torem

kolejowym stał gęsty las i wyziewał przyjemny chłód z mrocznych głębin... Pół obrotu w prawo kilka kroków po rolnej grudzie, dwa skoki w poprzek szyn (mimo, iż jakaś tam tablica pół niemiecka pół polska odradzała grzecznie lecz stanowczo deptania po nasypie) i ciało moje zanurzyło się w rozkosznej, cieniściej kąpieli. Wysoka, kolan sięgająca trawa kłaniała mi się za każdym stąpieniem, co chwilę chrząszczyk jakiś powierzał w przelocie uszom moim cieniutkim głosem wyśpiewaną tajemnicę, a z wszystkich stron pochowane w zieleni ptaszęta zapraszały mnie w las coraz dalej i dalej aż tam, skąd biło głębokie i jakby żalobne kukanie kukułki.

Upojony czarem leśnej ustroni, rzuciłem się na puszystym mchem usianą polankę. Sędziwy buk mruczał coś nademną wargami krociochowych swych listków i tem łagodnym zrzedzeniem przywoływał roztargnione myśli do porządku. Zwolna wracały z krainy nicości, rozpędzone pierwszym silnym wrażeniem awanturniczego przedsięwzięcia. A naprzód zagładnęła mi w oczy ciekawa myśl: „Jak mnie ludzie obcy przyjmą? Co odpowiedzą na moje przemówienie?“ A potem: „Gdzie będę nocował? Kto mnie pod dach swój zaprosi zechce?“ A potem już niepowstrzymanym rojem rzuciły się na móż najrozmaitsze przypuszczenia i obrazy przygód, które mnie czekały, a o których nie miałem jeszcze dokładnego pojęcia. Niepewność najbliższych chwil i zmysł samozachowawczy trzymały wszystkie nerwy moje w najwyższym napięciu. Krew grała, tętna dosłyszalnym dźwiękiem dzwoniły, moc życia buchnęła nad brzeg cielesnego kielicha. Byłem jak

Im dalej sięgniemy w przeszłość, tem ta moc, skupiona w rękach jednostki, była większa. Za czasów egipskich Faraonów władza króla nie miała najmniejszego ograniczenia. Nikt nawet nie śmiał zastanawiać się nad życzeniem „syna słońca“. Ludzie, gnani bitem królewskiej woli, szli masami całymi na zatracenie jak bydła, nie posiadając żadnej wartości. Wtedy to urok królewskiej władzy jaśniał najsilniejszym blaskiem.

Atoli w gnębionym mrowiu ludzkim powstały o silnej woli i nieustraszonej odwadze bohaterskie natury, które poczuły w sobie godność ludzką i ogromną krzywdę, płynącą ze samowoli jedynowładcy. Wydali więc walkę ciemnościom milionów i pokusili się o rozdzielenie władzy na kilka rak. Wielu z nich śmiały ten zamiar śmiercią okupiło, lecz byli tacy, co zdołali wspiąć się aż do tronu, zerwać koronę z czoła tyrana i władzę z niej promieniującą rozszarpać na kilka osób. Utworzyły się rządy grupy ludzi, zwane rządami *oligarchicznymi*. Ale czas nie zatrzymywał się w biegu i z toni społeczeństw wydobywał coraz więcej uświadomionych i samodzielnich jednostek, które wśród straszliwych walk i przewrotów pięły się coraz wyżej ku słońcu potęgi, rozrywając między sobą władzę na coraz drobniejsze okruchy. Społeczeństwo podzieliło się na klasy, z których najwyższa zagarnęła rządy w swoje ręce — stała się klasą panującą. Blask korony zbladł, rozprysnąwszy się na setne promienie.

Nowożytnie dzieje są obrazem przenikania świadomości i poczucia siły do najniższych i najszerszych pokładów społecznych. Promienie swobód wciskają się do najuboższego serca i powołują do życia wszystkich bez wyjątku. Duch czasu woła aby każda wola wypowiedziała swe zdanie, zważając na szali wyroków władzy. Bo cała władza przez przeciąg historycznego postępu spłynęła z czoła absolutnego króla na milionowe głowy ludu. Drgnęły pod tem ożywcem tchnieniem tłumy i poczęły targać ostatnie więzy, pętające ich wolę. Ta krwawa walka pomiędzy obudzonemi masami a garścią uprzywilejowanych szaleje od czasów rewolucji francuskiej aż do dziś dnia. I dziś dobiega do końca. Ostatni promyk wszechwładzy gaśnie na zmole despotycznego cara, blask korony królewskiej zmięsza zupełnie — a natomiast rozpala się na skroniach ludu wieniec wolności i potęgi.

Dziś królem jest ludi wola jego jedynym prawomocnym rozkazem, a wszelka władza z ludu wypływa.

Jednostka i klasa wobec wyroku ogółu, wypowiedzianego bezwzględna większością głosów, musi zamilknąć.

I tak dzieje się wszędzie, gdzie zwyciężyła prawda, sprawiedliwość i rozum. I tętni w tych wolnych państwach pełne, radosne życie, mnożą się dostatki, kwitną umiejętności i sztuki, szczęście rozlewa się po sercach prawdziwych obywateli szeroką strugą.

Tylko u nas prócz jęków, narzekań i przekleństw nic nie słychać. Dlaczego? Bo mamy uszy zatkane na głos dziejowego fatum, rozsiewającego prawa swobód po świecie; bo mamy serca złożone w trumnach trwogi i gnuśności; bo nie protestu-

lokomotywa pod parą, gotowa na lot niepohamowany, rozbijający wszelkie zapory.

Spojrzałem dumnie w oko. Wtem śmiech serdeczny zakrztusił mi gardło. Obok siebie na ziemi spostrzegłem drobne zawiniątko — pudełko, które wzięłem ze sobą na tę bezpowrotną wycieczkę. Cały skarb mój: teka literacka, mapa Galicji, nieodstępna książka i bielizna do zmiany; już wszystko. Choćby mi i to gdzieś w drodze zmykło — co tam za strata! Pokłoniłyby się ręce moje Panu Bogu i rzekły: „Bądź pochwalony za ten opatrnościowy wypadek, albowiem nie potrzebujemy już otąd dźwigać bezużytecznego ciężaru.“

Na razie usłyszałem jednak głos z innej strony i nie dziękczynny, lecz błagalny. Oto żołądek mój uderzył w przeciągłe po całym wnętrzu rozlegające się płaczliwie bulgoty. Byłem głodny. Na tę myśl objęła mnie znów w czarne dłonie troska, czem ja się żywić będę, kto mi da utrzymanie? Począłem pospiesznie przetrząsać wszystkie kieszenie; błysnęły w palcach srebrne kążki. Zliczyłem: całe trzy korony i jakiś ułamek z czwartej. Miałem zatem gotówkę przy sobie, która odeгнаła na odległość dwóch dni trwogę głodowej śmierci. Uśmiechnięty począłem pieścić blaszki metalowe i lizać je zadowolonym spojrzeniem jak pies, liżący łapę swego pana. I nawet mi wtedy przez myśl nie przeszło, że mój duch, wolnego ducha mego poddał pod jarzmo martwej materii, że mój stał pokornym niewolnikiem metalu, któremu-m życie swe powierzył.

(C. d. n.)

jemy przeciw rażącemu bezprawiu, jakim jest skupienie władzy w rękach jednostek, w rękach jawnych wrogów, w rękach jednej, nielicznej w narodzie warstwy.

Ludu polski! Kiedyż ty drgniesz całym duchem i pójdziesz w dyby pętać niepoprawnych swych i nielitości wychciemiężycieli? Kiedyż sięgniesz za przykładem braci swoich z za kordonu po należące ci się prawa? Czy dasz tej chwili wielkiej która cię może z ucisku uwolnić, przejść po nad twą głową bezpłodnie? Czy wzgardzisz królewską koroną i królewską potęgą? Sami kierownicy twoi wzywają ciebie do współudziału w rządach. Chwyć tę sposobność i obróć ją na ulżenie swym męczarniom. Namyślają się dać ci powszechne, równe, tajne i bezpośrednie prawo głosowania, przez które dowolnie wybierać będziesz swych urzędników i tobie służących dzierżycieli władz państwowych. Zażądaj tego śmiało i stanowczo! Padł w Radzie państwa wniosek, aby ofiarować ci samodzielność i wyzwolić z pod jarzma Niemców, wrogów twoich, którzy siedząc przy biurkach ministerjalnych, tam we Wiedniu, myślą tylko nad tem, w jakoby to cię sposób wyzyskać i podatkami utrapić — poprzez wniosek ten i domagaj się, aby tę ziemię, którą zamieszkujesz i potem swym zlewasz, wydarto niemieckiej zmurze i oddano ci we własny zarząd, we własne posiadanie. Żądaj śmiało a wytrwale wyodrębnienia Galicji. Nie lękaj się, że cię potem gnębić pocznie upiór ginącej szlachty. Gdy ty tylko podniesiesz dumną głowę i okrzykiem z milionowych piersi zawołasz: „chcę samym sobą rządzić!“ — zobaczysz jak zbledną w jednej chwili szlacheckie oblicza, jak z przerażonej dłoni uherbowanych zdradcy wysunie się berło i potoczy się do stóp twoich.

Tylko ty, męczeńska rzeszo polska, po tę należącą ci się koronę władzy, wystąp z królewską odwagą, z królewską godnością i z królewskim rozkazem!

Nad trumną samobójcy.

Minionej niedzieli przesunął się cicho przez ulice Lwowa smętny orszak z arką śmierci na młodzieńczych barkach. Parę kroków za cmentarną bramą owioną gorącym tchnieniem pożegnalnych słów, spłynęła w chłodny cień świeżo wykopanego grobu srebrna trumna. Była to jakby łaza upuszczona w ziemię ojczystą z powiek gnębiętego narodu; jedna z tych krwawych łez, od której odwracają się wszystkie oczy, aby jej nie widzieć, nie zauważyć, choć wyciśnięta jest ze samego dna serdecznych bólów ludzkich.

W jednym z dzienników lwowskich między interesujące motłoch wiadomości brukowe wetknęto parę następujących wierszy:

„W ogrodzie domu przy ul. Gołębiej, odebrał sobie życie wystrzałem z rewolweru, uczeń VII. kl. gimnazjalnej, *Włodzimierz Kozakiewicz*; powód samobójstwa: rozstrój nerwowy“. I koniec. Dziennikarstwo, to wykrzywione zwierciadło duszy społecznej, spełniło swój obowiązek. Sumienia ludzkie uspioło spowszedniałym narkotykiem frazesu: „rozstrój nerwowy“. Świat odwrócił oczy i uszy od tej strasznej, śmiertelnym jękiem zakończonych skargi. „Te łzę utoczył zbyt rażący promień słońca“ — zawołano, aby jeno nie dotknąć mętnego, głęboko w społeczeństwie nurtującego źródła, skąd coraz częściej takie łzy cieką.

Atoli nam ten sąd powierzchowny nie wystarcza. Zanadto ukochaliśmy naród nasz, abyśmy świadomie zataić mogli i chcieli ranę jego wewnętrzną, występującą na wierzch krwawymi kroplami. Przy sposobności tragicznej śmierci ś. p. Kozakiewicza sięgnęliśmy głęboko w życie nasze narodowe i śmiało dłonią wywleczyliśmy na jaw istotne pobudki strasznych czynów, za które spada kłątwa na głowy dzisiejszych kierowników społeczeństwa. Lecz wprzód posłuchajmy słów odezwy, rozrzuconej na grobie młodego samobójcy przez jego przyjaciół:

„Żałobny cień upadłej Polski, padł już w kolebce na jego czoło i jak niestarte piętno pozostał aż do ostatnich oddechów tego niewolnika, co wiecznie marzył o zerwaniu pęt, o dniu wyzwolenia.

„My, przyjaciele jego, słyszeliśmy go nieraz, jak wołał nieustannie do swych rówieśników, nie zważając na halsztuk mundurka szkolnego: Siła tylko daje zwycięstwo. Silnym jest, kto się nie boi — ofiar! I sam złożył wiele ofiar, które z nim pójda na czas jakiś do mogiły.

„Widzieliśmy go tropionego przez wrogów wolnego ducha — a nigdy nie upadającego na duchu.

„Wiecznie żywił nadzieję usłyszenia na barykadach bojowej pieśni. Zabito w nim tę nadzieję — wydarto mu życie własną jego dłonią. Zabiła go niemoc naszego społeczeństwa do ofiarnych, bo-

haterskich wysiłków. Chciał oglądać brzask, ale światła przewodnie w nim i przed nim gasiła szkoła, społeczeństwo i niewola — więc poszedł w ciemność, w mrok śmierci“.

Takim to silnym, nieskalanym głosem, włożonym w piersi przyjaciół, usprawiedliwia się duch który odleciał „z krainy mogił i krzyżów“ z czynu, za który go potępił kościół i szkoła, przesąd i opinia. Dogmat religijny, nakazujący życie uważać za własność Boga, jemu tylko przyznaje prawo rozporządzania jestestwem ludzkim. Biada więc temu, kto samobójczą dłonią wdziera się w wolę Boga, niwecząc jego wyroki!

A za dogmatem staje służebnica jego: opinia i mówi: „tchórzem jest ten, kto od życia ucieka, uchylając się od walki o byt!“ I zdanie to, nie przepalone w tyglu krytycznych rozmyślań, obiega wszystkie języki i wszystkie pokolenia; mogiła samobójcy gnie się pod głazami rzuconych na nią potępień.

O nie! Zdanie to — to kłamstwo ohydne! jedno z tych, któremi osłonić chcemy dzisiejsze swoje upodlenie. Samobójstwo — w naszych obecnych stosunkach — jeśli nie jest ucieczką z obawy przed karą za zbrodnicze czyny — to bezwątpienia jest świętem męczeństwem, równem temu, które zadawały kły dzikich bestyi na arenie rzymskiego cyrku w oczach rozbestwionych cesarzy.

Bo zaiste! Co więcej godne jest pogardy? Czy dobrowolna i sromotna zgoda z fałszem i służalstwem, przymierze z podstępą przemocą i uciskiem — czy dobrowolna śmierć, uwalniająca duszę od zatopienia jej w bagnie nikczemności? Co więcej zasługuje na miano tchórzostwa: czy śmiało rozdarcie tętniących życiem i młodością żył i upust krwi rozbudzonej szlachetnej, a nienasyconą żądzą, czy stłumienie w sobie wszystkich podniosłych dążeń i cofanie się krok za krokiem przed brutalną siłą, która żąda zaparcia się wszystkich ideałów?

Gdyby postanowienie śmierci oznaczać miało tchórzostwo: w całej Galicji pozostałoby przy życiu mało co nad secinę ludzi, a powstania nasze nie byłyby śmieszną donkiszoteryą garstki zapaleńców, ale jedną wielką krucyatą przeciw gwałtom zaborców. Gdyby pragnienie śmierci było tchórzostwem: od ilu już lat radowilibyśmy się wolną Ojczyzną! Ale nie, przeciwnie: usuwanie się od wszelkich cierpień i odpowiedzialności, dreszcz przed następstwami śmiałych czynów, młodość na widok krwi i bólu — to dopiero szczyt tchórzostwa, które powaliło nas bezwładnie pod stopy wyznawców „siły przed prawem“. Życie nasze narodowe zna tylko dwie drogi: męczeństwo lub podłość. Wybór nastąpić musi już w pierwszych latach młodości, bo stamtąd już poczyną się rozdwój, które z biegiem czasu coraz bardziej te dwa kierunki od siebie oddala. Każdy z nas już na ławie szkolnej jest Herkulesem na rozstajnej drodze, ale jak mało z nas wstępuje w ślady wielkiej tej mitologicznej postaci! Nic dziwnego, że wybrałszy cierniową ścieżynę, mając kilku zaledwie druhów przy sobie i widząc nieprzejrzane tłumy od najwyższych do najniższych warstw z wyciem zwierzęcem z bluzgiem oszczerstw, kłamstw i śmiechów w ustach, idące w przeciwną stronę, w przepaść zagłady, nic dziwnego, że młodzieniec ów traci wiarę w spełnienie się ukochanych jego nadziei: w powrót na łono wolnej Ojczyzny. Straciwszy zaś z wiarą i cel życia, mówi życiu temu: „tyś już niepotrzebne“. I przecina je — kulą.

Jest więc każde takie szlachetne samobójstwo groźnem *memento* dla narodu, dla tych zwłaszcza, którzy wpływ mają na losy jego, szczególnie zaś dla przewodników i wychowawców młodzieży polskiej. Życie bowiem jednostki nie jest majątkiem pozaświatowych jakichś, niewyczuwalnych potęg, lecz jest własnością narodu, z którego wytrysnęło. Obowiązkiem więc społeczeństwa jest to życie ochraniać i jak roślinę w początkach jej rozwoju świeżą wolną i słoneczną otaczać atmosferą, a nie tłumić oddechy jej stęchłym powietrzem i cieplarnianą więzi krata. Tymczasem u nas wszystko zmierza do tego, aby młode dusze, rwące się do słońca, obciąć do jednego poziomu jak płot z karłowatych krzewów w parkach angielskich i odziać w jednolity uniform lojalnych zasad i dogmatów. To też młodzież nasza dusi się i mdleje w ciasnych kasarniach szkolnych i jedna część — olbrzymia — spada z zenitu swych wzniosłych marzeń w błoto filisterskiego życia, a druga — na dno mogiły. Niebo nadziei narodowych ciemnieje, bo spadają z niego najjaśniejsze i najgorętsze gwiazdy.

I ta ostatnia, rozpalająca się dopiero gwiazda, która tydzień temu zleciała w grób, powiększyła mrok ojczystych błękitów i krwawą łąą obciążyła sumienia urzędowych ojców i wychowawców młodzieży.

TEODOR HELLWIG i FRANCISZEK ŻYTNY

dawniej J. Ważny, Lwów, Czarnieckiego 1. 2, polecają swój świeżo nabyty i obficie w towary zaopatrzony handel towarów korzennych, delikatesów i pokoje do śniadań. KUCHNIĘ domową prowadzimy we własnym zarządzie, śniadania, obiady i kolacje po cenach najtańszych, wszelkie potrawy przyrządzamy na maśle, PIWO pilzneńskie na miary, — WINA austriackie, węgierskie, hiszpańskie, reńskie i francuskie stare. Z PÓWAŻANIEM T. HELLWIG i F. ŻYTNY.

Szkoła polska.

Mówić chcemy o czemś nowem, co jeszcze nie istnieje. Bo my szkoły polskiej nie posiadamy. Mamy tylko szkołę austriacką z językiem wykładowym polskim; mamy dyrektorów i nauczycieli z końcówką na „ski, lecz z początkiem na c. k.; mamy historię kraju rodzinnego, w której bohaterami są Habsburgowie; mamy 12 godzin w tygodniu języków „zdechłych“, 6 godzin języka, którym zgrabnie obracała Marya Teresa a zaledwie 3 godziny języka, którym grzmiał Mickiewicz, błyskał Słowacki i komenderował Kościuszko. Toż przecie monstrum takie na szkołę polską chyba nie wygląda. A i Polacy z takiej szkoły nie wychodzą w kształtach Sobieskich, Dąbrowskich, Rejtanów, skoro dzisiejszy szczyt patriotyzmu stanowi Dzień duszycki, Głabiński, Potocki, wychowankowie rządowych pensjonatów. Po prostu szkoła galicyjska skraca naszą wielkość, ścina nam głowy i serca, zostawiając na najwyższym punkcie — brzuch. Ostatecznie w kraju naszym i brzuch nie będzie miał wnet co robić; gdy nam i to utną, coż zostanie? Nogi, które pójdą na szynki i studzieninę dla Gautschów i Bülowów. No, nie ponętne to widmo przyszłości. Ale aby je zobaczyć, potrzeba mieć nieco bystrzejsze oczy od p. Petelenza i Płazka, którym nawet okulary nie pomogą. Niebezpieczeństwo bliskie i nieuniknione dostrzegły najpierw orle żrenice mroźnicy naszej i widok ten taką zgrozą przeniknął męczenników przestarzałego systemu wychowawczego, że mimo grózb i wykleć, mimo przepisów i zakazów targnął się ten młody lew w okowach na surowością osłoniętą powagą swoich poskramiaczy. Młodzież sama przy każdej sposobności, na zebraniach, na obchodach jasno i wyraźnie określiła, co ją uciska i gwałci jej ducha, jakich zmian i ulg pragnie, jak sobie szkołę stosowną dla celów swych życiowych i narodowych wyobraża. Ale na te głośne wołania, na które rozmyślnie zakładano dziennikarski tłumik, nikt nie odpowiadał; władze i społeczeństwo zapychały do uszu watę urojonej nieomyślności swych salomonowych wyroków, brały w doświadczoną rękę trzcinę, wystruganą w ministerstwie oświaty i „po ojcowsku“ trzepały skórę kapryśnym dzieciakom. Natomiast skoro jakiś „wytrawny“ (czytaj: niestranny) pedagog, pobierający już z dwadzieścia lat dyrektorską pensyjkę, wjechał na krokodylu dziennikarskiej reklamy do sali ratuszowej ze swym odczytem „o wychowaniu młodzieży“ — a wtedy ludziska zbiegali się jak do Colosseum Hermanów i każde słowo niestrannego dyrektora, który starczym rzeniem wykształcał z urzędniczej piersi swe głęboko niepojęte głupstwa, przyjmowali jak wiatyk na wieczną drogę pedagogicznego zacołania. Tych rad posłuchać, to warto — choćby tylko dlatego, że wyszczągają się z pod czaszki poszytej siwym włosem. Siwy włos — to nielada powaga, choćby on nawet tkwił — w końskim ciemieniu!

Dla nas jednak najwyższą i jedyną powagą jest głos tych, którzy cierpią. Jeśli chcesz się dowiedzieć, jakie są prawdziwe uczucia i myśli przedśmiertne, nie idź do kata, ale do tego, komu on ma stryczek założyć na szyję. Dlatego my, poruszając sprawę reformy — nie! — zupełnego przestrojenia szkolnictwa, wnioski swoje oprzemy na sądach i skargach samej młodzieży uczącej się; na poglądach zaś, płynących z kół nauczycielstwa o tyle tylko zwracając będziemy uwagę, o ile wolne będą od celowego kłamstwa, serwilizmu i oznak starczego uwiadu.

Aby wydać ostateczne pewniki, mogące uzdrowić obłożnie chorą naszą szkołę, rozstrząsnąć naprzód musimy dwa pytania i zgodzić się w stanowczej na nie odpowiedzi. A zatem: dla kogo i pociągamy młode pokolenie? Powtóre zaś: Jaka jest natura gleby, otwartej na posiew naukowych i moralnych ziarn prawdy? Skoro rozbrzyźnie przed oczyma naszymi jasna gwiazda przewodnia w wychowaniu synów i córek polskich, a potem skoro dobędziemy na dłoń serduszko z pisklęcej piersi i odczujemy w niem tętna, poruszone ręką odwiecznego przeznaczenia dziejowego — wtedy dopiero same przez się bez długich namysłów i sporów wysypią się z głowy reformatorskie wnioski jak gruszką z rozwiązanego worka.

Wszelako worek ten rozwiążemy dopiero w następnym numerze.

Wieści zakordonowe.

Z górnego Śląska.

Piszący te słowa, przebywając dłuższy czas na Górnym Śląsku i pracując dla ludu górnośląskiego jako redaktor ilustrowanego pisma tygodniowego „Gwiazda“, wychodzącego w Bytomiu, a więc w głównym centrum przemysłowym Górnego Śląska, miał sposobność zbadania stosunków i przekonania się, że Górnoślązak w większej części to materialista w całym tego słowa znaczeniu, dalej że cały prawie ruch obecny górnośląski, to walka konkurencyjna poszczególnych wydawców pism ludowych polskich,

wyzyskujących hasła patryotyczne dla celów osobistych, że głosy oddane na kandydatów polskich są głównie wyrazem niezadowolenia, panującego w kołach robotniczych, niezadowolenia, któreby się musiało objawić dla każdego rządu, kierującego się nie dobrem ogółu, ale poszczególnych tylko warstw społeczeństwa, że dzieci wybitniejszych przewodników górnośląskich, a nawet ludzi, żyjących z piśm i wydawnictw polskich, nie rozumieją po polsku, a nawet z rodzicami rozmawiają w języku niemieckim, że zwiększona liczba abonentów pism polskich odpowiada ogólnemu postępowi i zwiększonej konieczności informowania się o sprawach bieżących, pisma zaś polskie ludowe tylko o tyle mogą konkurować z koleżankami niemieckimi, o ile większe abonentom dają korzyści, jak n. p. zagadki z premiami, zabezpieczenia od wypadków każdego abonenta aż do 200 M., dalej przez zamieszczanie banalnych sensacyjnych wiadomości, których każde poważniejsze pismo zamieściłoby nie mogło.

Z chwilą gdy — przeciętnie rzecz biorąc — robotnik górnośląski do tyle nauczył się po niemiecku, że bez większych trudności zrozumie pismo niemieckie i dojdzie do tego stopnia wykształcenia umysłowego, że nie znajduje i nie może znaleźć w pismach polskich odpowiedniego dla siebie pokarmu umysłowego, z chwilą więc gdy pisma polskie pod względem treści i ilości materiału ze względów materialnych w dalszym ciągu nie mogą konkurować z owiele wyżej pod względem wydawniczym stojącą prasą niemiecką, z tą chwilą ów Górnoślązak przestaje abonować pisma polskie zapisuje sobie jedno z licznych 10—16 stron obejmujących, z humorystycznymi dodatkami i t. d. wychodzących pism hakatystycznych, powoli poczyną się w dalszym ciągu wstydzic języka ojczystego i niezadługo potem już zalicza się do najwięcej patryotycznie usposobionych Prusaków, chcących ze siebie jak najprędzej zmyć wszelki ślad pochodzenia polskiego.

A takich smutnych wypadków codziennie nie dziesiątki, nie setki, ale tysiące nieomal trzeba obserwować.

C. d. n.

Drobne wiadomości.

Resurrexit. Raz już chcemy przeciąć wszelką wątpliwość i zasłonić się przed deszczem natrętnych pytań: czy „Naród“ dzisiejszy ma jaki związek z „Narodem“ zeszłorocznym, czy jest zupełnie nowym wydawnictwem? Smutny to byłby dla nas objaw, gdyby pismo takiej wielkiej poświęcone sprawie, jak bezwzględna walka o niepodległość Polski, nie znalazłszy zwolenników, zginęło bezpowrotnie, na zawsze. Może się to wydarzyć gazetom brukowym, wycelowanym w kieszeń tłumów, pragnących się zabawić sensacyjnymi plotkami, ale sztandar bojowy nieśmiertelnej idei, choćby sto razy upadł, setny pierwszy raz się podniesie i póty razić będzie obojętne oczy, póki się hasło, na nim wypisane, nie urzeczywistni. Tak, „Naród“ zeszłoroczny powstał dziś na nowo jak Feniks, odrodzony we własnych popiołach. Zmieniły się zewnętrzne warunki wydawnicze, ale zasadnicza myśl i dążność pozostały niezmienione. „Naród“ trwać będzie zawsze, mimo prześladowań, oszczerstw i zawistnych ujadów, mimo nawet śmierci swych założycieli, aż do chwili, kiedy podniesie się grobowy głaz nad żywcem pogrzebionym narodem i anioł pokoju rzeknie: „Polska zmartwychwstała!“

Konstytucyjna wolność prasy. Hm, aniśmy przypuszczali, że się tak rychło ponowi paroksyzm febrji konfiskacyjnej, mimo zapewnień panów cenzorów, że wrażliwe ich czerwone okówki z powodu specjalnych rozporządzeń nadzwyczaj zobojętniały na czernidło gazetarskiej bibuły. Wierz tu, baranie, zakłębom i nastaw wilkowi łapę. Przyjąwszy zatem oświadczenie tych rządowych stróżów myśli z naiwną wiarą za prawdę, pozwoliliśmy sobie na zupełnie bezstronną, krótką, choć dobitną krytykę niektórych urzędów biurokratycznych. Ale gdzież tam. Cholewiczny okówek cenzorski obudził się z chwilowej drzemki, skoczył jak oparzony na kolumny „Narodu“, szast, szast — i dwa artykułki wyleciały jak zęby z pod chuligańskiej pięści. — Co prawda wstawimy je niebawem napowrót w szpalty, za pośrednictwem jednego z parlamentarnych posłów naszych, ale wiemy przynajmniej po tej przykrej operacji, co sądzić o arlekinowych szatach wolnomyślności, w które się od niejakiego czasu, gwoli zyskania sympatyj roznamietnionych tłumów, władze nasze stroją. Pamiętamy dobrze owe przeszłoroczne znechania się nad „Narodem“, z którego zupełnie niewinnych artykułów pozostawały całe gołe stronicy i potrafiemy w stosownej chwili i w stosowny sposób przypomnieć się dobroczyńcom naszym. Dziś tylko z najwyższym zdziwieniem zapytujemy: „czy to mają być owoce krwi zdobytej wolności słowa i druku?“ — W takim razie zamało jeszcze krwi wsiąknęło w ziemię, z której wyrasta drzewo konstytucyjnej austriackiej!

Pisma bezwyznaniowe. Jak w Afryce i Australii są małpy bezogoniaste, tak znów osobliwością Galicyi są pisma bezgłowe, bezsensowe i bez-

wyznaniowe. Koniec końcem trzy te przymiotniki jedno i to samo oznaczają. Wspólną cechą tych osobliwości afrykańskich i galicyjskich jest brak ludzkiej mowy, którą zastępują wycia, skomlenia, gwizdy, syki i szczekania. Mowa ludzka zawiera w sobie zawsze głębiej lub płycej pojętą myśl, która kieruje wolę do rozumnego celu. Małpy myśleć i celowo działać nie potrafią. Co najwyżej uda im się mimowoli jakiś dowcip, który w gruncie rzeczy jest wynikiem i dowodem ich upośledzenia umysłowego. Jeśli n. p. taka jedna lub druga małpa, siedząc na gałęzi drzewa, którego owocami się żywi, rzuci na przechodzącego człowieka twardym orzechem i nabije mu guza na czole — to w pierwszej chwili wygląda bardzo komicznie i może każdego pobudzić do serdecznego śmiechu. Ale spytajno taką małpę, dlaczego skałczyła istotę zupełnie nieznaną i nic jej nie czyniącą złego, to ci się głupio wypatrzy w oczy, zrobi rozzdzierająco smutny grymas i plunie ci w twarz, poczem spokojnie weźmie się do ogryzania orzechów. Drzewo galicyjskiego dziennikarstwa zaroilo się ostatnimi czasy od tych bezogoniastych i bezmózgich stworzeń. Jedyną racją ich istnienia jest komizm, wabiący przechodniów, którzy przystaną, rozśmieją się na widok małpich koziołków i grymasów i idą w dalszą znojną i poważną drogę życia.

Błogosławiący arcybiskup. Ulica Piekarska w czas popołudniowo-niedzielny. W tę i w tamtą stronę snują się gromadki ludzi; ci na cmentarz, tamci z powrotem od świeżo uspanych mogił. Hej! nagle zakurzyła się droga tumanami pyłu... Jedzie, jedzie ognistymi ogierami w lśniącej karecie... Kto taki? — pytają piechotnicy, odwracając ciekawe głowy. Niepodobna pochwycić oczyma. Śmignął, przeleciał, zniknął... Góry z drogi! lasy z drogi! dzieci z drogi!... Ach! — co to za krzyk? co się stało?... Czemu nie uciekło?... Zwinęło się piłką pod kopytami końskimi, skręciło się pod kołami jak przyduszony robak i legło z pokrwawioną głową w kurzu ulicznym. Prerażony woźnica ściągnął konwulsyjnie zaciśniętą dłoń z lejce, powóz stanął. Z okna karety wychyliło się pulchne, czerwone oblicze. Łaskawy wzrok padł na rozciągnięte drobne ciało dziewczęcia, okolone krwawą strugą i cofnął się ze wstrętem... „Uciekaj!“ — zagrzął ciekawo rozkaz, bat świsnął, konie zerwały się i poczęły gnać jak opętane. „Trzymaj! Łapaj!“ — wrzasnął tłum i krzykiem tym smagnięty policyant konny puścił się w pogoń za znikającym powozem. W chwilę potem policyant i kareta wracali z wolna na miejsce wypadku. Lokaj zeskoczył, otworzył drzwi od powozu, błysnęły fiolety i najdostojniejszy nasz arcybiskup ks. Józef Bilczewski dotknął stopą brukowych kamieni, spiesząc w dziedziniec domu, dokąd zaniesiono przejechaną córkę stróża!

„Widzisz, dziecino, Pan Bóg cię miał w swojej opiece i wybawił od śmierci“ rzekł ów apostoł Chrystusowy do oprzytomiałego dziecka. — „Nie lękaj się, nic ci nie będzie; pobłogosławie cię i pomodłę się za ciebie“. Położył delikatną rękę na jasną główkę, zrobił znak krzyża, odwrócił się, wsiadł do karety i pojechał...

Daremnie szukałem w dziennikach przez dni parę jakiejś wzmianki o tem arcybiskupie błogosławieństwie, daremnie by się było wypytawać w policyi o szczegółach odwiedzin biskupich u stróża. Milczy świat, gdy kat chwata.

Nad-mowca. Wielcy ludzie nie zdarzają się tak często jak wielkie katastrofy. Nawet ci, którzy się zjawiają, przepadają niekiedy w zapomnieniu, albo mrą niedocenieni w swej wielkości. Jużto najczęstsze skargi na brak uznania pochodzą z ust poetów. Któryż wieszcz — a spotkać ich można w teraźniejszych płodnych czasach co najmniej dwóch na każdym kroku — któryż syn, wnuk lub bastard Apollina nie załamuje rozpacznych rąk nad obojętnością ludzką wobec genialnych jego utworów? — Mniejsze nieco współzawodnictwo istnieje między mowcami. Tych jest stanowczo mniej, jakkolwiek każda libacyjka, każde zgromadzenie i każdy obchód ma swoich kilku lub kilkunastu „znakomitych“ oratorów. Ale pierwszorzędných gwiazd na błękitie wymowy od czasów Demostenesa i Cicerona tak jakby nie było. „Trzeba tę lukę wypełnić“ — pomyślał p. Petelenz, wielbiciel starożytności i sam w swych pojęciach starożytny. A że pan Petelenz szczególnym afektem zaszczycić raczył młodzież szkolną, przeto kunszt swój rozwinął przede wszystkim na polu pedagogicznych reform. Reformować — toć przecie najwładźniejsza rzecz pod słońcem, to najtańszy sposób nabycia sławy, choćby ta reforma obracała się w ciasnym kieracie przepisów szkolnych i rozporządzeń ministerjalnych. Słyszeliśmy tedy p. dyrektora na publicznym występie w sali ratuszowej, gdzie z młodzieńczym zapalem dużo mówił, a nic nie powiedział, słyszeliśmy go na patryarchalnych konferencyach rodzicielskich, gdzie jeszcze więcej mówił i jeszcze mniej powiedział, dziś odsłonił jego wilhelmowski talent krasomówczy, ukrywający się przed uchem ulicznego profana w murach szkolnych. Tam p. dyrektor, czy go chce kto słuchać, czy nie, gada najwięcej. Zbije się szyba — półgodzinne treny Jeremiaszowe, przeleci swadek dymu tytoniowego po korytarzu — godzinę grmiące gromy Jowiszowego oburzenia; na-

dejdzie chwila rozdawania blankietów na stemple szkolne — dwugodzinna oracya filozoficzno-etyczno-moralna. A taka np. sposobność jak mickiewiczowski wieczorek w gimnazjum; toż to na miesiąc przedtem świeżbiączka językowa nie daje p. dyrektorowi oka zmrzyć. P. dyr. prosi o słowo wstępne — komitet zrecznie się wykreca, p. dyr. żąda — komitet się namyśla, p. dyrektor grozi — komitet... zezwala. I p. Petelenz ognistymi słowy brata się z ukochaną młodzieżą, ściska ją i całuje i pieści niedźwiedziemi łapy — a potem wszystko to drukuje, aby świat wiedział, że p. Petelenz miał mowę, w której jest apelacya do Mickiewicza, do p. Boga i wszystkich świętych, są pioruny na głowy pozaszkolnych uwodzicieli młodzieży, jest i ojcowska rada i wezwanie do ślimaczej uległości dla władz szkolnych i wszystko jest, oprócz — sensu i szczerości. Oj, panie c. k. nadmowco, mimo wszelkich wzdęć oratorskich nie przerośniesz ty snąć, poza kostki, Demostenesa.

Papugi narodowe. Bądź co bądź, jakkolwiek źle się dzieje, przecież patriotyzm w Polsce jak ba-

teczny kwiat tęczyowy lśni i nie usycha. Wyłączna to zasługa kobiet naszych. Nie darmo to Bismarck drżał przed niemi, jak Gautsch przed „Kołem polskiem“. Ale nie wiedzieć co tak, na widok tych niewiniątek, dreszczem przejmowało żelaznego kancle-rza, który korzył się tylko przed ostrzem miecza. Mógł się chyba jedynie lękać ostrych sztyletów ich języczków, które nad wyraz zwinnie umieją obracać. I na tem też cały ów dziw wzbudzający patriotyzm polega. Kobiety polskie umieją bardzo pięknie deklamować, a nawet lzy ronić, gdy tego wymaga sprawa narodowa, ale biada całemu patriotyzmowi, gdy przeciw niemu stanie do walki — moda. Wówczas te nadobne córy, żony, matki i nawet babki polskie biorą natychmiastową separacyę z ideałem narodowym i rzucają się z rozkoszą w objęcia węża, określonego około zakazanego drzewa. Takim zaś drzewem zakazanym, którego owoce spożyte otwierają nam piekielne bramy, jest hakata, wabiąca niewiasty nasze tandetnemi szmatkami i fałataszkami. Aż serce boli, gdy się widzi sklepy bławne i galanteryjne z firmą niemiecką a najczęściej wiedeńską, o takim

n. p. polskiem brzmieniu jak Stauber, obłożone strojąciami się wobce piórka papugami narodowymi, paplającymi tak ślicznie i płynnie o miłości Ojczyzny. Ile to poszło z kraju tą drogą pieniędzy, za które możnaby całą Galicyę zmienić w jedną wielką fabrykę „konfekcyi damskiej“, a tymczasem nasz lud mrze z nędzy, a papugi narodowe tyle łez czułych nad nim wylewają! O cześć wam, kobiety polskie!

Teatr Oesera przyjeżdża! Bliższe szczegóły, to znaczy bliższe określenie sposobów oszukiwania go wyłudzenia pieniędzy podadzą afisze. Nowa pułapka szwabska na ubogą naszą kieszeń, nowe rozcięcie żył i upust krwi suchotniczej. Słychać, że ludziska odkładają już groszaki na te sensacyjne „Vorstellungi“, postanawiając pościć za to parę dni dłużej, niż kościół nakazuje, — zamiast chwycić bezzelonego przybłądę za kołnier, i nie pozwoliwszy mu stopą dotknąć naszej ziemi, wyrzucić wprost na Bukowinę, do Rumunii lub... na Honolulu!

Drobne ogłoszenia

co do których informacji udziela Administracya „NARODU“.

Potrzebna jest natychmiast angiela do konwersacyi i reprezentacyi domu w miejscu kąpielowem.

Guwernantka z łaciną i niemieckim językiem, do przygotowania 2-ga dzieci do I-szej i II-giej gimnazyalnej klasy potrzebna.

Kilka Bon polek (freblanek) z dobrymi rekomendacyami znajdują natychmiast umieszczenie.

Pracznica-klucznica z dobrymi świadectwami może być natychmiast umieszczoną w hrabskim domu.

Kilka lepszych kucharek na wyjazd zaraz potrzeba.

Kamerdyner z dobrymi świadectwami, liczący do 35 lat może być natychmiast po kawalersku umieszczony.

Służące do wszystkiego na dobrą płacę natychmiast potrzebne.

Dwaj gumienni z dobrymi świadectwami od 1. maja potrzebni.

Kilku służących z dworskimi świadectwami zaraz potrzeba.

Służący miejski dochodzący na płacę 24 koron natychmiast potrzebny.

Kupię zaraz 120 morgów ziemi z budynkami.

Oficyaliści prywatni znajdują umieszczenie.

Kasyerka biurowa z kaucyą 600 kor. potrzebna zaraz.

Potrzebna natychmiast do zarządu domu inteligentna osoba w wieku 23—25 lat, władająca językiem rosyjskim, polskim, która również mogła udzielać początków muzyki i fortepianu. Płaca 80 kor. miesięcznie.

Młyn wodny turbinowy o 3 kamieniach, 2-eh walcach z budynkami gospodarczymi i z 14-ma morgami pola za kwotę 13 tysięcy złr. zaraz do sprzedania.

Poszukuje się małej realności do kupna na Bukowinie lub na pograniczu tejże.

Cheć Pan w łatwy sposób zarobić pieniądze?

to niech Pan zażąda darmo i opłatnie katalog ilustr. zegarów, zegarków, wyrobów jubilerskich, chińskiego srebra, przyborów, narzędzi zegarmistrzowskich i towarów muzycznych

F. PAMM, — Kraków
ul. Zielona 1. 3.

Kazanie Skargi, Unia Lubelska, Dirce, Olszynka, Wywłaszczenie, Na swoją Nute oraz wszelkie inne wyczerpane premie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, — nadto oryginalne obrazy olejne i akwarele, tudzież wybór starych sztychów poleca najtaniej **księgarnia, antykwarska oraz handel dziełami sztuki i starożytności** **JÓZEFA TOMASIKA** we Lwowie, pasaż Hausmana liczba 9.

Starsze rutynowane niemki na wyjazd umieści się zaraz.

Zaraz zostaną przyjęci za stałą pensyą i prowizją trzej zdolni agenci do zbierania anonsów. Zgłoszenia do Administracyi „Narodu“.

Prawnik poszukuje za skromnem wynagrodzeniem lekcyi we Lwowie. Łaskawe zgłoszenia pod W. B. główna poczta.

Warkocze od 5 K polecam z prowincyi, wystarczy próbka włosów, przyjmuję wszelkie roboty w zakres perukarstwa wchodzące. Damską fryzurę polecam dla Pań, osobny gabinet. — Peruki wypożyczam i charakteryzuję. **Ferdynand Weissnar**, fryzjer i perukarz, Lwów, pl. Bernardyński 12.

Gimnazjalisty z klasy VII. lub VIII. możliwie niemca, do udzielania łaciny poszukuje się.

Bony francuski, niemki, polki, froebianki, do umieszczenia zaraz.

Lektorki muzycznej z konwersacyą także niemiecką, poszukuje się.

Kucharki dworskiej z dobrymi świadectwami poszukuje się.

Kucharza zarazem służącego trzeźwego, uczciwego człowieka do jednego pana we Lwowie poszukuje się.

Młodego pisarza korespondenta ze szkołą rolniczą poszukuje się.

Dozorcy kamienic, bezdzietni, umieszczeni zostaną zaraz za dobrą dopłatą.

Kilku kucharzy, kawalerów poszukuje się.

Rutonowaną klucznicę w średnim wieku z dobrymi świadectwami poszukuje się.

Panny służącej z krojem poszukuje się.

Kilku fernali, żonatych, z dziećmi starszemi poszukuje się.

Małżeństwo bezdzietne na wieś, żona lepsza sługa umiejąca gotować, prać, prasować, mąż furman, poszukiwane.

Zgrabnej przyjemnej, ze świadectwami pokojowej do obsługi przy stole poszukuje się.

Gospodyn w średnim wieku, wykwinnej kucharki, do jednego pana we Lwowie poszukuje się.

Lokaja dworskiego z dobrymi świadectwami poszukuje się.

Biuro Niemczynowskiej, Lwów, Rynek 12 a poszukuje realności z ogródkiem blisko tramwaju 6.000 tysięcy koron.

Pasy lite, ryckie, gudzy, szpinki, karabele w wielkim wyborze.

J. DĄBROWSKI
we Lwowie, ul. Hetmańska 4.

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za niepełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numery), grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodnie spłaty miesięczne. Losy gdziekolwiek zastawione wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcyę. — Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacyi, losów i monet. — Agentów żadnych nie wysyłamy. Kalendarz bankowy bezpłatnie.

SCHÜTZ I CHAJES

DOM BANKOWY
we Lwowie, plac Maryacki 7.

Najprędsza jazda oceanem
5 dni 7 godz. 38 minut.
Bezpośredne regularne połączenie podwójnośrubowymi pośpiesznymi i pocztowymi parowcami

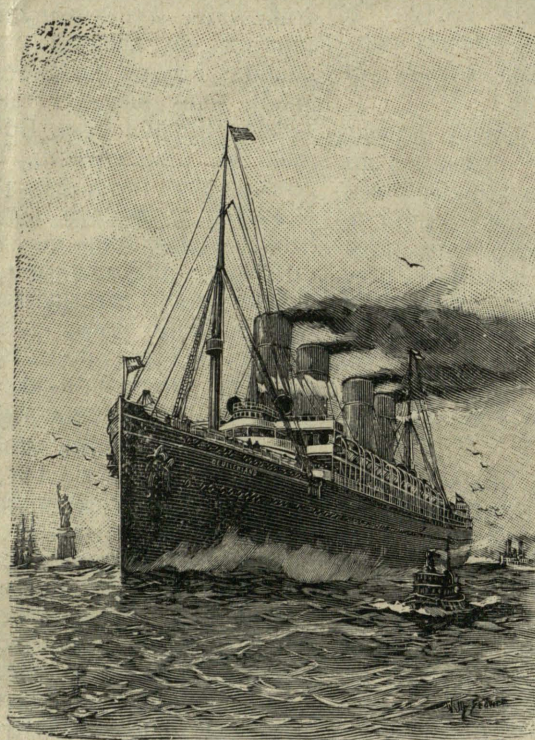
z HAMBURGA do NEW-YORKU

przez Doeer, Boulogne, Cherbourg następnie do Kanady, Brazylii, Argentyny, Afryki, zachodnich Indyi, Meksyku, Kuby i centralnej Ameryki.

Podróże morskie lecznicze i spacerowe.

Bliższych informacji udziela LINIA:

HAMBURG-AMERYKA.
JENERALNA AJENCYA
dla GALICYI we LWOWIE
ul. GRODECKA 95.



Zaprotokołowana firma istniejąca od roku 1884.

MAREK FEUERSTEIN

ulica Gródecka liczba 51.

FILIE: BÓBRKA, BRODY, HALICZ i MOŚCISKA.

Pierwsza Galicyjska Fabryka miechów.

SKŁAD MASZYN rolniczych i przemysłowych.

Poleca swój bogato wyposażony **SKŁAD MASZYN ROLNICZYCH**, maszyny do szycia, narzędzia i maszyny dla ślusarzy, kowali, piekarzy, rzeźników i t. p. z najlepszych fabryk krajowych i zagranicznych, — oraz pompy, sikawki, wagi dla bydła, wagi decymalne, kasy ogniotrwałe. Wszelkie artykuły techniczne.

Katalogi na żądanie darmo i opłatnie.

MAGAZYN i PRACOWNIA UBIORÓW MĘZKICH
SKŁAD MATERII ANGIELSKICH, FRANCUSKICH
i KRAJOWYCH.

WŁODZIMIERZ PIETRUSIAK

Lwów, ul. SOBIESKIEGO liczba 7.

Wykonuje wszelkie zamówienia w ten zakres wchodzące podług najnowszej mody po cenach najprzystępniejszych.

Jest do sprzedania dom z dwoma parcelami budowlanymi o dwóch frontach, gotówka potrzebna 26.000 koron.

Gospodarz młody, energiczny, lat 27 o skromnych wymaganiach przyjmie posadę ekonoma na ordynary lub kawalersko zaraz.

Potrzebny jest spółnik lub spółniczka do interesu na wieś z kapitałem 10.000 złr. Zgłoszenia pod K. G. w Administracyi „Narodu“.

Przyjęci zaraz zostaną 2 kolporterzy. — Zgłoszenia w Administracyi „Narodu“.

SKŁAD PŁOCIEN KORCZYŃKICH — — —
i **BIELIZNY GOTOWEJ** poleca — — —

STARZEWSKI Lwów, ul. Halicka 16.

PRENUMERATA

wynosi:

Kwartalnie 1 kor.
Półrocznie 2 „
Rocznie 4 „

Numer pojedynczy:

we Lwowie 6 halerzy
na prowincyi . . . 8 „

Reklamacje wolne są od opłaty
pocztowej.

NARÓD

OGŁOSZENIA:

Wiersz petitowy, albo jego miejsce
20 halerzy. — Cena większych
i częstszych ogłoszeń zależna od
umowy.

Listów nieopłaconych Redakcja
nie przyjmuje i rękopisów nie
zwraca.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Lwów, ul. Batorego I. 22.

Wychodzi w każdą sobotę o godz. 3. popołudniu.

Redaktor naczelny: LEON FUK.

Święto narodowe.

Mało dziś jeszcze głów, zdolnych rozerwać dwa od wieków zrosłe ze sobą pojęcia: święto i religia. Jak święto — to zaraz i kościół i świeczki i ornaty i dym kadzielnicy i kropidła; nie może być inaczej. Jak Bóg narodzenie — to i szopki, jak rezurekcja — to i pukanina. „Chrystus zmartwychwstał!” — *an: feuer!* — chłopie, z tej samej rury, skąd wylatuje kulka, przewiercająca w imię nienawiści i pychy brzuch bliźniego. *An— feuer!* — niech się Chrystus cieszy!

Mrok średniowiecznych przesądów nie uciekł jeszcze przed światłem rozumu i wiedzy. Dla gruboskórnych dusz Bóg — to nie idea miłości, ale blask złota, piramidalna infuła, grzmot dzwonów i huk karabinów, zupełnie jak dla dzikich indyan, padających na twarz przed strzelającym z armaty Kolumbem. Święta dzisiejsze — to korzenie się przed przełomem i pychą. Rozpamiętywanie mąk bohatera ludzkości — to owcza skóra, w którą odziewa się wilcza drapieżność.

Ale w cienie te poczyną wsiąkać brzask nowej epoki. Inne święta nadchodzą. Bohaterem tu nie jeden człowiek, którego cierpienia, choćby nawet wielkie, nikną jak łza w morzu cierpień wszechludzkich, ukrytych i przez nikogo niepodzielanych. Męka robaka, przeciętego pługiem, stokrotnie niezniesniejsza jest od męki lwa, zatrawiającego przedśmiertnym rykiem całą puszcze. A gdy tych robaków, wijących się w cichych konwulsjach, miliony i miliony, to jak wobec rozumu wygląda zabobonny kult jednej istoty? Gdyby chociaż ofiarą jednostki zmniejszały się cierpienia ogółu: cześć Boga-człowieka pojęłoby i serce i głowa. Ależ bo mimo ewangelii, a nawet często przez nią — męki ludzkie rosną z dnia na dzień. I nie są to święta terazniejsze ubóstwianiem niesprawiedliwości i kłamstwa?

Wyniesiona pod niebiosą godność jednostki, a zepchnięta wobec majestatu tego w proch („prochem jesteś”) godność rzesz — jest źródłem nędzy

ludzkiej, jest usprawiedliwieniem bezprawia i krzywd, dokonywanych bez skrupułu na tłumach dla dogodzenia woli wyżej w hierarchii społecznej postawionego człowieka, na którego jakoby miał spływać strumień mocy bożej. Religia jest pod tym względem niemoralną i staje się przeżytkiem czasów barbarzyństwa.

Chcąc przyspieszyć kroku w dziejowym pochodzie, zmierzającym do uprzystępnienia wszystkim istotom pełnych rozkoszy życiowych, należy sprowadzić przewrót pojęć religijno-społecznych: z piedestału bóstwa strącić jednostkę, a podnieść na nią całą ludzkość. Nie ogół stosować się winien do woli jednostki, choćby najszlachetniejszej, lecz naodwrot: jednostka winna być sługą dobra ogólnego. Cierpienia i ofiary, które człowiek złożył z sił i życia swego ludzkości, albo jej częście: narodowi swemu, nie dają mu jeszcze prawa do wznoszenia się na ołtarze, otoczone kłęczącym tłumem, bo ta ofiara nie jest zasługą jego, ale obowiązkiem, do którego każdy jest powołany. Tylko na takiej zasadzie oparte społeczeństwa zdolne są do życia i rozwoju. Za podniosły przykład posłużyć nam może Japonia, gdzie osoby znikają w słonecznym blasku idei, gdzie zastępy całe kładły się krwawym pokotem pod kulami wrogów, z uśmiechem na wargach, w przekonaniu, że przyczyniły się do szczęścia swego narodu. I nie żądają za to nic, żadnego odznaczenia, nawet pośmiertnej sławy.

U nas tylko jednostka podnosi pysznie głowę ponad ogół, u nas wzgląd na dobro narodowe podporządkowuje się ambicyom indywidualnym, u nas roi się o świat i uroczystości, stworzonych *ad personam* jedyne Boga lub jego świeckich, czy duchownych zastępców. Chwile zaś, w których ogół odniósł albo wielkie klęski, albo wielkie zwycięstwa i dobrodziejstwa, są dniami powszednimi, na które nikt nie zwraca uwagi. Jesteśmy ujarzmieni prywatą i dlatego należymy do społeczeństw ginących.

Wszelako dają się już spostrzeżać i u nas pociesające objawy zerwania ze średniowiecznymi pojęciami. Zanika coraz bardziej wiara w strupieszale dogmaty, wypowiedziane ongiś zarozumiałymi ustami,

tracą na powadze autorytety wszelakiego rodzaju i czuć coraz silniejszą dążność zastąpienia świąt indywidualnych świątami społecznymi i narodowymi, t. j. świątami, przeznaczonymi do uczczenia wspólnych bólów lub wspólnych radości.

Naród polski chwil takich smutnych i wesołych ma wiele, bo przeszedł tak wstrząsające tragedie swym dzieje, jak żaden inny.

Jedną z najbardziej słonecznych chwil, na której wspomnienie radośnie uderza każde serce polskie, jest dzień Trzeciego Maja, pamiątka zerwania się całego narodu z niemocy moralnej do nowego życia, pamiątka ustanowienia wiekopomnej konstytucji.

Chyba zbyt czcnie uzasadniać szczegółowo powody, dla których dzień ten powinien stać się najważniejszym świętem narodem, obchodzone z taką przynajmniej uroczystością, jak dzień Zmartwychwstania Pańskiego. Dość o tem już rozprawiano — nadeszła pora wykonania powziętych szlachetnym uczuciem zamiarów. Obowiązek ten spada w pierwszym rzędzie na młodzież, która zmusić powinna starsze, zastygłe w konserwatyzmie niewolniczym pokolenie do przyjęcia i uznania nowego święta. Co zaś do młodzieży szkolnej, to ta stanowczo i nieugięcie domagać się powinna uwolnienia jej w dniu 3-go maja od nauki.

Do czynu młodzieży polska! Niech wywalczenie tego pierwszego prawa: obchodzenia uroczystości pamiętnych chwil dziejowych narodu będzie wstępnym krokiem do większych i trudniejszych zwycięstw. Nie zrażaj się żadną przeszkodą, pomna słów sławnego angielskiego męża stanu, Disraeliego, który stwierdził, że: „prawie wszystko, co jest wielkie, dokonane zostało przez młodzież”.

Giętkie karki.

Cieszyła nas do niedawna groźna, buntownicza, nieustępująca ani na krok postawa Królestwa wobec gwałtów carskiego rządu. Strajk, sztylet

KORDOLENS.

Pamiętnik włóczęgi.

(Wrażenia z pieszej podróży po Galicyi).

(Ciąg dalszy).

Dopiero kiedy wzrok zatrzymał się na głowie cesarskiej, wyciągniętej w błyszczącym krawku, wstąpił mi przejął do tych judaszowych srebrników, które poczęły mi parzyć palce. Oburzyła mnie słabość moja, szukająca podpory w pieniądzu. Stała mi w myśli postać Chrystusa i Sokratesa, którzy brzydzili się wziąć w rękę grosz, a przecież utrzymali się na powierzchni życia, więcej w tem dobrowolnym ubóstwie zdziaławszy, niż miliony wszystkich Rotszyldów i Vanderbildów, razem wzięte. W pierwszej zatem chwili chciałem brzęczący mój majątek chwycić w garść i dalekim rzutem rozsiać go po krzakach i paprociach. Jeśli bowiem zgodziłem się na apostołowanie sprawiedliwości i prawdy, na wniesienie w lud prometeuszowego ognia wolności, tedy wszystkie słabości i niskie żądze powinny być precz odemnie odrzucone, a życie moje zdane wyłącznie na bujną siłę młodych mięśni. Praca ciała dla siebie — praca ducha dla ludu — ten sąd zamknął ostatnim ogniem łańcuch mych rozmyślań. A jednak mimo tych rozumnych wniosków słabość niewyrobionego charakteru przemogła idealne postanowienia, które spłókał dreszcz lęku na myśl tylu upokorzeń, które przejść musi człowiek, utrzymywany ludzkim miłosierdziem.

Schowałem pieniądze i począłem wzbudzony

przedzierać się dalej przez las, nie zważając na chłostę gałęzi, które były mi liściastą różgą po twarzy. Przypadkiem rzucony na ziemię wzrok odkrył mi nową pociechę, lecz zarazem i wymówkę, przywołującą na pamięć słowa ewangeliczne: „spójrzcie na ptaki niebieskie, co nie orzą, ani sieją...” Pod listkami, rozkładającymi się jak dłoń, prosiły obłoki o rosę, płonily się słodczą zażawione poziomki. Odgarnąłem lodyżki — rój gwiazd czerwonych zaświecił mi przed oczyma. Wielbiąc przyrodę, zgartywałem w rękę soczyste perły, które w paru minutach przygłuszyły nieznosne udrczenie głodu. A po tej królewskiej uczcie nie zostało dwanaście koszuw ułamków, ale cały las, migocący rubinowymi jagodami.

Ostatni rząd drzew rozstał się przedemną, szara wstęga gościńca położyła się pod stopy, wiodąc mnie do niewielkiej osady, skupionej po obu stronach drogi, a składającej się z kilku brudnych chat i ogromnej karczmy. W tej bezładnej czeredzie krzywych ścian i słomianych dachów królował biały, czysty domek, objęty gestami kiściami winnej lato-rośli. Zaciekawiony inteligentnym wyglądem budynku, pchnąłem podwórzowe wrota i wszedłem. Już u progu powitał mnie dźwięk obcej mowy. Stała przedemną roślina, barczysty Niemiec, o rozumnej twarzy i łagodnym wejrzeniu. Na szeroką, brunatną brodę spadała mu z warg długa fajka, którą co chwilę przybijał świeżą szczyptą tytoniu. Po izbie uwijała się gospodyni, baczną na każdy szczegół, uchybiający schludności mieszkania. W miętym tem zaciszu sam język rwał się do swobodnej pogawędki. To też po paru wstępnych objaśnieniach padały z trójga ust naszych słowa podobne

tym, które wynurza dawna, przypominiana przyjaźń. Na stół wytoczył się jak koło u wozu duży bochenek czarnego, razowego chleba, przy którym pełna misa kwaśnego mleka, przykryta grubym śmietanowym korzuchem, wyglądała jak księżyc wobec na pół nieba nasuniętej chmury. Uprzejme prośby przedstawiciela germańskiego plemienia zburzyły doszczętnie samolubne pojęcie, wpajane mi od dzieciństwa, o wyłącznie naszej staropolskiej gościnności. Przekonałem się później, że ten Niemiec, który mimo długoletniego oddechania polskiem powietrzem, nie umiał z siebie i dwóch wyrazów polskich wystękać, przerósł uprzejmością wobec nieznanego mu gościa o cały sążeń moich przechwalonych ziomków. W czasie posiłku opowiadał mi szczegółowo o gospodarstwie, o sprzedaży bydła i zboża, z czego niemałe ciągnął korzyści — a kiedyśmy zeszli na nasze stosunki i gdy go spytał o lud okoliczny, machnął tylko ręką i z pogardliwą miną wyrzekł: „*dummer Bauer*!”. Zrobiło mi się przykro po tej lakonicznej odpowiedzi. Zimne milczenie odstęczyło nas od siebie. W tej chwili po przeciwnej stronie drogi przed brudną karczmą powstał krzyk rozpitego chłopstwa; posypały się obelgi i przekleństwa, pięści zawziętością zaciśnięte podniosły się groźnie w górę. Spojrzałem mimowolnie na Niemca: siedział spokojnie z wyłożonym na stół łokciem, ze spuszczonej powiekami i pykając z fajki, myślał nad czemś głęboko... Pierwszy raz w życiu rzuciła mi się w oczy z całą swą jaskrawością różnica między kulturą niemieckiego osadnika, a ciemnotą galicyjskiego chłopca, pierwszy raz uczułem namacalnie wyższość i przewagę, jaką nad nami mają Niemcy.

C. d. n.

i bomba były jedynym argumentem, popierającym żądania polskiego narodu. Rosta we wszystkich nas pierś dumą i nadzieją. Na te nieznane u nas hasła rewolucyjne, na ów czynem stwierdzony okrzyk mickiewiczowski: „gwałt niech się gwałtem odciśka!“ — przechodził i naszą służebniczą Galicyę dreszcz bojowego zapału.

Niestety złudzenie dość szybko pierzchnęło. Zgniłe jabłko leżące obok zdrowego, poczęło je zarażać swą zgnilizną. Z bagna galicyjskiego powstał na zabór rosyjski duch ugody. Miłośnicy panujący car Mikołaj II raczył obwieścić ukaz o dumie państwowej. I oto otworzyła się furtka dla nikczemnych, bojaźliwych natur. Za duszno im było w atmosferze walk i krwawych poświęceń. Obludny patryotyzm ich — a któż nie jest dziś patryotą! — znalazł na poczekaniu wygodne i napozór rozumne usprawiedliwienie. „Porzućmy, wołają te dusze karłowate — i przeklinajmy drogę rewolucji, a wstąpmy na powolną i bezpieczną drogę ewolucji. Nią także, choć później, dojdziemy do celu. Zadowolajmy się tem, co nam dają. Otworzono nam wrota do dumy, korzystajmy z wolnego wstępu i zasiądźmy na ławach przedstawicieli niewolników cara. Głosy nasze może zaważać coś na szali humoru samowładcy, u którego może się uda nam wyzłuszczyć czasem jakieś psie prawo“. Tak rozumują ugodowcy i narodowi demokraci. I wcale ich nie odstrasza przysięga, czekająca ich u wrót parlamentu, która brzmi: „My, niżej wymienieni, przyrzekamy wobec Boga Wszechmogącego spełniać włożone na nas obowiązki członków izby państwowej według całego naszego rozumienia i sił, zachowując wierność Jego Cesarskiej Mości Najjaśniejszemu Cesarzowi i Samowładcy Wszechrosyjskiemu i pomyśleć tylko o szczęściu i pożytku Rosyi, na dowód czego własnoręcznie podpisujemy się“.

Z zupełnie spokojnym sumieniem godzą się patryoci polscy na podpisanie tego piekielnego cyrografu. Mając tedy przed oczyma tak jawny dowód zdrady wobec podeptanej brutalną stopą Ojczyzny, musimy zapytać o warta taka plugawa przysięga? Jeżeli ci, którzy ją składają, wierzą w Boga — a warto w tem miejscu zaznaczyć, że narodowa demokracja konwulsyjnie trzyma się sztandaru katolickiego — w takim razie zaprzędają się z duszą i ciałem katowi własnego narodu i kalają się podłością, która ich stryczkiem ozdobić powinna. Jeśli zaś mają sekretny zamiar przysięgi tej nie dotrzymać, w takim razie plamią honor swój krzywo-przysięstwem, pozbawiającem ich wszelkiego zaufania ludu, w imieniu którego występują. Tak więc ci, którzy godzą się na przyjęcie mandatów do dumy i wogóle zadowolają się tylko tem, czem ich łaska Jego Cesarskiej mości obdarzyć raczy, zasługują w całej pełni na miano zdrajców i targowiczów, obarczonych klątwą całego narodu.

Ten szczególny przykład nasuwa bardzo ważne pytanie, z którego wypłynąć musi stanowcza zasada, w jaki sposób postępować mamy wobec rządów zaborczych. Czy wolno nam związywać się wobec nich przysięgą? Bezwarunkowo nie! Przysięga, dobrowolnie złożona, jest jawnem wyrzeczeniem się praw, nam należnych, jest zgodą i uświęceniem rozbioru, jest uznaniem gwałtu dokonanego nad nami. Kto przemocy przysięga, ten jak dobrowolny niewolnik traci raz na zawsze prawo do wolności.

Takich niewolników chcą z nas uczynić stronnictwa ugodowe, które radzą zajmować wiernopoddańca przysięgą opłacone stanowiska rządowe i pędzą nas w podwoje dumy, tego przyszłego zbiorowiska fagasów carskich.

Zginajcie giętkie i podłe karki wasze, renegaci narodowi, przed nogą, która po czerepach waszych filozoficznych stąpa, kucicie się sami dobrowolnie w łańcuchy — my z wami w hańbiący jassy nie pójdziemy! Twardo i nieugięcie trwać będziemy przy swoich słusznych i nieprzedawnionych prawach i przed najgroźszem nawet prześladowaniem ani na krok się nie cofniemy. Mogą nas dręczyć i mordować, mogą nam wszystkiego odmówić, my ani jedną prośbą, ani jednym słowem nie uznamy w tyraniach swych prawowitych zwierzchników. I tą mocą odporną sprawa polska zwycięży, a jeśli zdołamy być lepsi dla narodu, to nie jezuickiem łaszeniem się, ani wykrętną dyplomacją — ale krwią i ofiarami!

Wampir.

Wampir, jestto olbrzymi nietoperz, żyjący w Ameryce, o którym lud tamtejszy baję, że pod osłoną nocy spada cicho na śpiącego człowieka i popyssa żę krew, aż nie poczuje pod sobą — trupa. Nas także obsiadł podobny wampir, ale o nim głośno mówić nie wolno. Mówmy więc o czem innym.

Prócz niezliczonych pośrednich i bezpośrednich podatków, dodatków i naddatków do podatków ściga od nas rząd inne jeszcze daniny, które tem bardziej smucić nas muszą, że są dobrowolnie płacone. Do podatków tych zaliczyćby należało w pierwszym rzędzie — loteryę państwową. Jestto jedna z poważnych przyczyn galicyjskiej nędzy. Zastawiono tę pułapkę na najbiedniejszy lud, którego żadnym już, ustawą określonym podatkiem, obciążyć nie można; choć i białe myszki, t. j. inteligencja łapie się często na tę zwodniczą przynętę. Ale przedewszystkiem lud ciemny; ten dostarcza najobfitszego pożywienia nienasyconemu smokowi. Żadna buda jarmarczna, żadna procesya, żadna mezażerya z małpami, krokodylami i tygrysami, nie ściga tylu rozgorączkowanych widzów, co żółte kartki, wystawione za oknem loteryjnego kantoru. Ostatni grosz biedaka spada do rządowej szkatuły z nadzieją, że przecież kiedyś szczęśliwa wygrana wkładki z nawiązką wyciągnie. Ale grosz i nadzieja bezpowrotnie przepadają. Nie, za pozwoleniem; nadzieja nigdy nie ginie, owszem powraca silniej wzbrana falą namietności. Grający zamiast korzystać z dotkliwej nauki, zdobywa się w jakiś tajemniczy sposób na coraz wyższe stawki, grzeźnię dalej w bagno loteryjne, nie zdając sobie sprawy, że nigdy już z niego nie wybrnie.

Jeśli z ciemnoty ludu korzystają rozmaite plugawe indywidua, przéróżne Oesery i „Stelle“ — czemużby nie mógł na ten łatwy i nadzwyczaj moralny zarobek puścić się rząd, zwłaszcza, że milionki, ściągane rocznie z kas loteryjnych, mają w sobie dziwny czar pociągający!

Ale w kraju, w którym nad prasą i myślą ludzką panuje, niepodzielnie despotyczny pan prokurator, wystarczy, jeśli lud, a nawet wyższe warstwy społeczne czerpać będą oświatę z egipskich senników, które uczą każdy sen, czy objawienie zmieniać na niezbitcie w tym a w tym dniu, na tej i na tej loteryi wychodzące numera.

Loteryomania przekroczyła już nawet okładki senników a przedostała się do codziennego życia, w którym zaiste tyle opatrnościowych kombinacji liczbowych ciśnie się do uszu i oczu na każdym kroku. Na przykład: idzie pogrzeb; policyant na przodzie, dalej 33 księży, jeden z infułą, za trumną rząd fiaków. Doskonałe numera! Policyant 89, księży 36 (infuła liczy się potrójnie), fiaków 21 — przesłiczne terno! musi wyjść na Wiedeń; stawka 2 korony. Albo: przekupka na rynku kichnęła raz po raz piętnaście razy; niezwykła rzecz! 15 na ekstrakt Lwów, stawka korona, musi wyjść bezwarunkowo! I tak ciągle — do nieskończoności. Każde słowo, zdanie, przedmiot, oznaczający symboliczną cyfrę, płaci rządowi podatek — kartką loteryjną.

Jeśli już samo przegrywanie na loteryi jest plagą, to o ile większem nieszczęściem jest wygrane „ambo“ lub „terno“. Biedny ten szczęśliwiec, któremu udało się parę koron wydrzeć loteryjnemu potworowi, wpada już w szpony jego na zawsze, staje się do śmierci niewolnikiem wyzyskującej go do ostatnich granic gry oszukańczej. Po paru tygodniach cała wygrana wraca do skarbu państwa, szal loteryjny podnosi zaciętość, stawki rosną, rujnując materialnie ofiarę, przed nałogowym graczem otwiera się przepaść rozpacz, którą zapełnić usiłuje drugi nałóg — pijaństwo. Ostatni to cios, dobijający zmarnowany żywot.

Nęda w kraju dosięga szczytu: rząd wydiera ostatni kęs chleba ustom ciemnego pospólstwa. I dziw, że nikt nie poważył się dotąd zażądać zniesienia tej zdzierczej instytucji, stojącej na usługach rządu, tego samego rządu, który wymyślił ostre kary i środki ochronne przeciw zawodowym szulerom. O logiko, o etyko dyplomatyczna!

Ze stanowiska obowiązku narodowego występujemy ostro przeciw temu uprawnionemu wyzyskowi mas i odtąd śmiało i wytrwale domagać się będziemy jaknajszybszego zamknięcia rządowych jaskiń loteryjnych.

Pożyczka dla bankruta.

Niedawno czytaliśmy odezwę Gorkiego pod napisem: „Nie dajcie rządowi rosyjskiemu pieniędzy“.

„Od 30 października — pisał Gorkij — tj. od ogłoszenia carskiego manifestu konstytucyjnego do dziś, sądy wojenne wydały katom 397 osób, 18.000 osób zesłano na Syberję, zduszono 79 gazet na prowincyi a 57 w stolicach. Liczba tych, którzy zginęli od strzałów, wynosi dziesiątki tysięcy, głód panuje w 22 guberniach. Koterja, która zowie się rządem rosyjskim, może oprzeć się jedynie na wojsku, ale nie ma pieniędzy, aby móżdż srożej prześladować ludność. Pod naciskiem braku pieniędzy pragnąc je skąds wydosłać, rząd odgrywa komedję z reprezentacją ludową. Nie dajcie ani kopiejki, niech dzisiejszy dom Romanowów, który zawsze prowadził politykę wroga kulturze europejskiej, nie dostanie znikąd ani grosza“.

Był to głos ludu rosyjskiego, ale niestety podobny do głosu wołającego na puszczy. Społeczeństwa, mające pretensje kroczenia na czele cywilizacji, dają pieniądze wandalowi wszelkiej kultury, katowi własnego ludu, krwiożerczemu rządowi o mongolskich szczękach, gotowemu później pokasać rękę „dobrodziejów“. Nie wiedzieć komu tu się dziwić, czy pokornemu rządowi rosyjskiemu, przyjmującemu ubliżającą pożyczkę (nominalnie 2¼ miliardową, faktycznie zaś z powodu niskiego kursu rosyjskich papierów, wynoszącą niespełna dwa miliardy franków) — czy „realnym finansistom, rzucającym złoto w dziurawą kieszeń cara-batuszki, gdzie tyle już franków bezpowrotnie utonęło?

Ale jest jeden moment w tym jarmarku europejskim czy też loteryi z miliardowymi stawkami, moment, budzący swym komizmem już nie zdziwienie, ale homeryczny śmiech. Oto niedawny bankrut pożyczka nowemu bankrutowi, świeżo upieczonemu na różnie japońskim i rewolucji, 1½ miliarda franków: Austria, której każdy obywatel dźwiga na swej głowie 200 koron długu państwowego, stroi się w piórka wierzyciela. „Rodak“ Gołuchowski „energicznie poparł pożyczkę rosyjską“, która naturalnie pomoże „zaprzyjaźnionemu państwu“ do podtrzymania stanu wojennego w Królestwie polskiem.

Republika francuska, a raczej publiczna niewiasta polityczna i liberalna Anglia, kraina koni i lordów, zakupi Wittym i Durnowem karabiny maszynowe, aby krwią zalały pożar rewolucji, podsyłając zbrodniami rządu rosyjskiego. Parlament, któryby nie zaprotestował przeciw temu kupczeniu krwią i prawami 120 milionów, okryłby się wieczną hańbą. Każdy kapitalista polski czy żydowski, który weźmie udział w pożyczce lub nie zbankrutuje banku, biorącego pokrwawione papiery rządu carskiego, stanie się Judaszem własnych rodaków i bohaterem stanu wojennego w Królestwie polskiem, po przyjęciu brudnych srebrników honorarium bankierskiego — „obwiesić się na drzewie“ według słów pisma świętego, lub na kasie wertheimowskiej, coby mu było bardziej do twarzy.

Wieści zakordonowe.

Z górnego Śląska.

Z drugiej strony jednakże i to z dnia na dzień w liczniejszych wypadkach zaznaczyć również wypada, że na Górnym Śląsku w walce narodowościowej jak w ogniu czyszczącym, wyrabiają się powoli jednostki o silnie rozwiniętym poczuciu narodowym, które co dotyczy poglądów politycznych i praktycznego zastosowania różnych świadczeń celem darcia do upragnionego przez nas wszystkich celu, t. j. wyrobienia politycznego, o całe niebo wyżej stoja od inteligencji galicyjskiej, a o 100% co najmniej przywyższają niejednych redaktorów pism galicyjskich. Na tych jednostkach przeważnie opiera się ten prawdziwy, wolny od blagi i wzajemnych konkurencyjnych wysiłków wydawniczych ruch górnośląski, ci stanowią owo czyste ziarno ludu górnośląskiego, ale liczba tych choć z roku na rok się zwiększa ani za lat 30, ani za lat 50 nie będzie się mogła poważniej — t. j. liczebnie — prezentować.

Wobec tego zapyta niejeden, jakże tu mówić można o rozbudzeniu ludu górnośląskiego, skąd ta ogromna liczba głosów, oddanych na kandydatów polskich przy wyborach do sejmu i parlamentu?...

Odpowiedź na to pytanie dać można dopiero po szczegółowym wyjaśnieniu stosunków górnośląskich, wyjaśnieniu, z jakich warstw się składa społeczeństwo górnośląskie, jakie i czyje interesy się tam ścierają, czem jest Śląsk Górny dla całego zaboru pruskiego i co stanowi on dla państwa pruskiego i wogóle dla urzeczywistnienia idei wszech-niemieckiej, która od chwili powstania państwa niemieckiego, t. j. od wojny francusko-niemieckiej, w jednym nieprzerwanym ciągu stanowiła oś tak wewnętrznej jak i zewnętrznej polityki niemieckiej i która w mglistej przyszłości już widzi czarno-biało-czerwone (barwy państwa niemieckiego) słupy na Uralu.

Po wyjaśnieniu dla czego Niemcy a tout prix dążą i dążyć muszą, bo to dla nich kwestya życia i śmierci, do zupełnego zgermanizowania Śląska Górnego i to w najbliższej przyszłości jako też i dla czego my Polacy za żadną cenę tego dopuścić nie możemy, odpowiedź na to pytanie sama się nasunie.

Walka bowiem, która obecnie się toczy na Śląsku Górnym, to nie igraszka, to nie zabawka, to walka o życie i śmierć, mająca pierwszorzędne znaczenie nie tylko dla nas Polaków, ale dla całego szczepu słowiańskiego.

Niech się w tej walce nikt nie łudzi tem, że obecny cesarz niemiecki i wogóle cała polityka Ho-

TEODOR HELLWIG i FRANCISZEK ŻYTNY dawniej J. Ważny, Lwów, Czarnieckiego 1. 2, polecają swój świeżo nabyty i obficie w towary zaopatrzone handel towarów korzennych, delikatesów i pokoje do śniadań. KUCHNIE domową prowadzimy we własnym zarządzie, śniadania, obiady i kolacje po cenach najtańszych, wszelkie potrawy przyrządzamy na maśle, PIWO pilzneńskie na miary, — WINA austriackie, węgierskie, hiszpańskie, reńskie i francuskie stare. Z POWAŻANIEM T. HELLWIG i F. ŻYTNY.

henzollernów, to prawdziwy teatr marionetek; tem, że z dnia na dzień ta polityka z samej natury nam tylko jest wroga a z dnia na dzień na innych opiera się podstawach i niewiedzieć dokąd dąży.

Znajacemu gruntownie ducha pruskiego przeciwnie, wszystkie fazy tej polityki, zajedno czy wewnętrznej czy zewnętrznej przedstawiają jeden analogiczny związek z sobą, a wszystkie symptomy wskazują na to, że Niemcy bezustannie mają oczy zwrócone na Wschód, a piket hauba pruska każdej chwili, jest gotową do urzeczywistnienia wielkiej misji teutońskiej.

Jaka rola w tej kwestyi Górnemu Śląskowi przypadła w udziale, wyjaśnię w następnych artykułach, sądząc, że za miarę dotychczasowej mej działalności na Górnym Śląsku służyć mogą wyroki sądów pruskich, skazujących mnie za własne artykuły, które się rozchodziły w tysiącach egzemplarzy, na wysokie kary pieniężne i długoletnia kara więzienia za te „zbrodnie“ przed którą mi się szczęśliwie do Galicji zbiedz udało. Zaznaczam jednakże już tu wyraźnie i dobitnie, że jak obecnie się stosunki na Górnym Śląsku ułożyły, kraj ten piastowski, odwiecznie polski i który powinien i musi pozostać polskim, słusznie przez pewnego polityka „das offene Pulverfass“ nazwany, rzeczywiście otwartą beczką prochu jest i być nią, przestać nie powinien i..... biada, gdyby żołnierz pruski odważył się przekroczyć granice Królestwa Polskiego!...

Jeden błysk, jeden huk przeciągły i..... zwarte masy milionowe ludu górniczego górnośląskiego, przyzwyczajone w głębi ziemi codziennie śmierci w oczy spoglądać, owe dzieci pod względem wyrobienia politycznego, a olbrzymy pod względem siły i potęgi, jeśli właśnie swą siłę fizyczną i zbiorową mogą zużytkować praktycznie, legendowe „śpiące wojsko“ Bolesława, może i powinno w danej chwili odegrać rolę decydującą.

Rzecz to w każdym razie przywódców górnośląskich, znając zaś lud górnośląski dość dobrze, mogę zaręczyć, że lud ten, jak pokazały w Laurahucie i codziennie nieomal pojedyncze wypadki krwawe, których większość nie dochodzi do szerszej wiadomości, żyjący w okręgu przemysłowym, w którego obrębie leży kilka miast większych od 70—120 tysięcy mieszkańców, jak Bytom, Katowice, Królewska huta, Gliwice i t. d. i kilkadziesiąt miast i wsi mniejszych, a wszystko to stanowi prawie jedno wielkie milionowe miasto robotnicze, — to nie demonstrujące tłumy lwowskie, to nie robotnicy petersburscy, którzy na pierwszy strzał wojska regularnego idą w rozsypankę, ale to masy milionowe, które raz rozognione, bez względu na skutki ofiary, na oślep naprzód pędzą.

Kto wie, czy rząd pruski poinformowany o tem aż nazbyt dobrze, nie „zechciał“ wziąć tej ewentualności pod rozwagę?...

Stanowisko, zajęte przez Prusaków wobec wypadków w Rosyi i Królestwie ogromnie przypomina bajkę o lisie i kwaśnych winogronach. Kto wie, czy to przypadkiem nie Górny Śląsk krasi te śliczne a tak przez Prusaków pożądane owoce?!!...

Lwów.

Czesław Bol. Desperak.

Korespondencya z Rawy ruskiej.

Ofiara militarizmu. Apatyczną ciszę naszego miasteczka przerywają kiedy niekiedy tylko wystrzały, nie rezurekcyjne, ale ostre, przecinające pasmo nieznosnego życia... w koszarach. Już trzeci z rzędu w przeciągu krótkiego czasu odbiera sobie życie. Ostatnią ofiarę widziałem sam przed kilkunastu dniami w kostnicy podobnej do chlewa. Na brudnej ławie leżał pośrodku trup młodego „syna cesarskiego“. Kula karabinowa przeszła mu gardziel i rozdarła na szerokość „paroli“ kość czołową i poszła gdzieś dalej — czy do nieba o pomstę? Gazy bezdymnego prochu rozsądziły nos, zbieleły oczy złowrogo świeciły z pod warstwy zakrzepłej krwi. Wokół stali koledzy samobójcy tegosamego „cugu“ i posepnie kiwali głowami. Jeden łzy otarł. Przyśtałem do niego z zapytaniem, co skłoniło nieboszczyka do tego rozpaczliwego kroku?

„Ach! panie, to był taki dobry kolega, taki dobry rzemieślnik, krawiec, za 5 miesięcy miał już iść do domu. Ale nie miał szczęścia do kapitana. Czepiał go się niewinnie od „narokowania“, na dzień puszczając go do roboty, a na noc zamykał do aresztu. W ostatnich czasach, wiedząc, że już niedługo będzie go miał, dawał mu „einzla“ (samotne więzienie). Teraz znowu miał dostać „einzla“ i „szpangi“, nie mógł już widać wytrzymać i zabił się. Szkoda go panie — taki był dobry“.

Żołnierze poczęli między sobą szeptać. Z urzeczonych słów dowiedziałem się, że zaraz po śmierci zdarto z niego „komiśne“ ubranie i bieliznę, a nałożono to, w czym leżał, podartą bluzę i szare spodnie „komiśne“. Kapitan dla okazania „gemajnym“ co to jest władza kapitańska, mówił w koszarach, że się nie boi żadnej kary, nawet na tamtym świecie. Na dowód tych słów zastępca ziemski tamtego świata, ksiądz kapelan — nie pokropił białej paki, w której złożono zwłoki „verfluchter Bagaže“. Pochowano go pod cementarnym płotem.

Darmo wyglądasz syna, nieszczęśliwa matko! Nie smuć się, bo zginął on, jako cesarski, na świadectwo skuteczności wojskowej dyscypliny.

K. W.

Drobne wiadomości.

Poeta-męczennik. Dnia 24. bm. przypada 43. rocznica zgonu Mieczysława Romanowskiego, który miłość Ojczyzny opłacił życiem w powstaniu z 1863 roku, ugodzony kulą moskiewską w samo czoło w bitwie pod Józefowem. Gdyby los dozwolił rozwinąć się temu młodemu geniuszowi, Polska dołączyłaby do trzech swoich wielkich gwiazd na błękie niebieskich natchnień czwartą o równym blasku, a może jeszcze żarliwszem palającą uczuciem. Ale obowiązek, od którego nigdy nie wykrecał się poeta, kazała mu zapomnieć o swych zdolnościach i przyszłej sławie i rzucić nieużytkowane skarby ducha na ofiarę śmierci. A śmierć ofiarę tę przyjęła.

Dziwnie głęboko zapadają słowa poezji Romanowskiego w duszę czytelnika, szczególnie zaś pociągającym ku sobie urokiem owładają one serca młodzieży, która Romanowskiego wydzwignęła na piedestał niedoścignionego ideału młodzieńca-bohatera.

W rocznicę zgonu, zastającej nas w tak ważnej chwili pogrążonych w duchowym letargu, powtarzamy wyrwany z piersi, która 43 lat temu „uderzyła o dno trumny“ okrzyk „O, czuwał Polsko! — abyś nie przepadła!“ Niech słowa te rozegrmiają się po całej ziemi polskiej i niech pobudzą śpiących rycerzy do ostatnich zapasów z konającą w szponach rewolucji tyranią.

Strach ma wielkie oczy. Przestraszył się gorliwy arcybiskup diecezji lwowskiej i spędził razem wszystkich duszpasterzków, by ich zapytać, czy chcą dalej wiernie strzyc wierne, potulne owieczki? Jednomyślnie czy bezmyślnie rzekli: „Chcemy. Manietnicy z Król. polskiego — to kozy rogate, co chcą chrztu i pogrzebu za darmo. Naruszają mądre prawa Opatrzności. Kto wie czyby wtedy więcej ludzi nie umierało, mając nadzieję bezpłatnego transportu do wieczności. Podziękował rzewnie arcybiskup Bilczewski pastuszkom owieczek, baranków i tym podobnego inwentarza, „zaznaczając, że Ojciec niebieski popamięta im to i wynagrodzi w „tamtem“ życiu, a w „tem“ sam ks. arcybiskup winkiem i kolacją.“

Żołnierska dola. Dnia 19. b. m. wyruszył ze Lwowa smutny, jakby pogrzebowy kondukt, to jeden batalion 30. pułku maszeruje w kierunku dworca kolejowego, skąd pociąg ma go na długo wywieźć z kraju. Muzyka gra dziarskie marsze, ale na twarzach żołnierzy nie widać żadnej radości, owszem z twarzy tych wieje smutek, tęsknota za krajem, którego już przez długi czas nie zobaczą. Za konduktem wielu wieśniaków, którzy przyszli pożegnać swe dzieci, naokoło płacz i lament, — to matki oplakują synów, siostry braci. Pochód robił wrażenie przygnębiające. Nareszcie stanęli na dworcu. Tam czeka już pociąg. Żołnierzy pakują jak towar jakiś do wagonu „für 40 Mann und 6 Pferde“. Przeraził ich świst lokomotywy — i pociąg wywozi ich już na trzyletnią tułaczkę, do kraju im zupełnie nieznanego, do ludzi odmiennych im obyczajami, wiarą i mową. Smutne refleksy cisną się mimowoli na usta każdego świadka tej sceny. Lud przyzwyczajony przez życie całe do swobody, kochający ponad wszystko ojczystą ziemię, traci ją w kwiecie wieku, zamknięty na przeciąg 3 lat do ciemnych murów koszar, gdzie zamiast swiergotania skowronka budzi go ostra trąba sygnałowa, gdzie się go uczy robić rozmaite zwroty, które mu się nigdy w życiu nie przydadzą, mówi się do niego niezrozumiałym szwagotem słowa komendy, wpaja weń wreszcie miłość ojczyzny „austriackiej“, przyzwyczajają go się do strzelania własnych braci. Wyszłyżys już przepisane trzy lata, wraca do domu zmierzowany, zmęczony, do żadnej pracy niezdolny, dziękując Bogu, że los pozwolił mu wrócić pod rodzinną strzechę, a nie błąkać się po obcych krajach, wśród obcego otoczenia. — Ot, żołnierska dola!...

„Sztandar“. Obłuda czy tchórzostwo? zapytać należy, biorąc do rąk pierwszy numer dwutygodnika „społeczno-politycznego“ p. t. „Sztandar“. Z treści widocznym jest aż zbyt, że to jest nowy kwiatek na śmietniku pracy narodo-demokratycznej, ale redakcja trzepie rękami i nogami i woła, że „nie jest organem żadnego ze stronnictw politycznych“. Może i prawdę mówi. Nie jestto organ stronnictwa politycznego, ale organ zgrai oszustów politycznych. Piszę się o obronie robotnika przed wyzyskiem, a dotychczas podczas każdego strejku organy narodo-dem. stawały po stronie wyzyskiwaczy. Tanie słowa, co nie obowiązują do niczego. Kilka ich set kosztuje tylko 6 hal. na 2 tygodnie. Dalej wojowniczo występuje redakcja (o Baden!) przeciw... Wydziałowi krajowemu i grozi mu „siłą“, jeżeli nie wniesie projektu o powszechnym, tajemnym i bezpośrednim głosowaniu. Co za szczyt odwagi obywatelskiej. Połknięto tylko jedno malutkie słówko „równe“! Wszak to przed pierwszym — redaktor

był „na czczo“ a za opuszczenie tego słówka płaci się suto. Na czele pisma umieszczono hasło: Polacy wszystkich zaborów łączcie się! Czyby nie lepiej przetłumaczyć hasło: Polacy wszystkich zaborów cieszc się, bo powstał Sztandar. Alleluja!

Uroczysty obchód w 112. rocznicę zwycięstwa Jana Kilińskiego, bohatera Warszawy, odbędzie się w niedzielę dnia 22. kwietnia b. r. z następującym programem: 1) o godzinie 9-tej rano solenne nabożeństwo w kościele katedralnym obrz. łac., 2) o godzinie 1/2 12-tej złożenie hołdu i wieńców pod pomnikiem Bohatera Warszawy, następnie odśpiewane zostaną pieśni patriotyczne, 3) o godzinie 8-mej wieczorem oświetlenie pomnika i zakończenie uroczystości. Do wzięcia udziału w uroczystym obchodzie zaprasza Św. Reprezentację miasta, Korporację i Stowarzyszenia ze sztandarami, młodzież szkolną i rękodzielniczą, oraz wszystkich czczących pamięć niezapomnianego Bohatera — Towarzystwo Polskiej Młodzieży im. Jana Kilińskiego i Redakcja „Narodu“.

Oeser w Bärenlandzie. Być wyrzucanym, opluty, wyszydzanym i mimoto siedzieć z flegmą na miejscu, na to potrzeba świńskiej, albo pruskiej natury. A p. Oeser ma i jedną i drugą. A prócz tego jest p. Oeser i beczelny. Przyczepił się jak pijawka do głupiego motłochu ulicznego, którego bawią dziecinne obrazki, otoczył swą plugawą budę i osobę silnym zastępem policyjnych komisarzy, agentów i żołdaków i ssie krew polską, pieniądz polski!

A patriotyczne społeczeństwo nasze jak trusia! ani mru mru. Czyż nie jest wobec tego wytłumaczona obelga, którą nas niedawno ten szwab obrzydliwy uraczył: „das kann nur im Bärenlande geschehen“. (możliwe to tylko w kraju niedźwiedzi). Kiedy przed paru dniami udała się do Oesera deputata młodzieży polskiej, żądając stanowczo, aby budę zwinął i natychmiast wyniósł się z miasta i z kraju, to ten beczelny drab z cynicznym uśmiechem odrzekł: „ich verstehe nicht, warten Sie, vielleicht wird dieser Herr verstehen“. (nie rozumiem; proszę, zaczekać, może ten pan zrozumie) i pobiegł po komisarza policyi. O tak, policja lwowska, ten nasz anioł stróż opiekuńczy, strzeże p. Oesera lepiej, niż carska gwardya przyboczną swego najjaśniejszego pana; biada temu, kto krzywym okiem spojrzy na pruskiego wykpiętosza. Ale więzienia policyjne stoją otworem dla tych biedaków polskich, których rząd pruski, ograbiwszy z ostatniego centa, wyrzuca poza granice swoje z powrotem do Galicji, gdzie na nich czeka już szpicel i aresztuje za włóczęgostwo i żebranie, jak to się n. p. działo przed dwoma dniami. A p. Oeser, misjonarz hakatystyczny, objęddza z tryumfem miasta galicyjskie, wyciąga z nich krwawe tysiące i chlubi się w dodatku rozlepionymi po murach afiszami, że jego program cieszy się niebywałym powodzeniem. Podłość pruska i polska głupota!

Amatorowie tanich pieczeni. Że w dzisiejszych złych czasach utrzymać się jest rzeczą trudną, temu już chyba nikt nie zaprzeczy. Trzeba więc spekulować, żeby wszystko nabyć tanim albo żadnym kosztem, rozumują niektórzy ludzie i starają się tę myśl w czyn wprowadzić. Z tej to zapewne przyczyny widzimy często np. na festynach ludzi, uciekających tajemniczo za zbliżeniem się kontrolora, oglądającego bilety. „Ta czy ja zwaryowała za takie głupstwa płacić pieniądze“ zawołała zaperzona i zirytowana jejmość, której przedkładano nieetyczność podobnego postępowania. A jednak postępowanie takie stało się u wielu ludzi chroniczną chorobą.

Chcący się o tem naocześnie przekonać, niech uda się na przedstawienia np. premiery do teatru miejskiego i rozglądnie się dobrze po balkonach i parterze. Wpadnie mu tam w oczy kilku widzów, zwłaszcza studentów pogardzających widoczną krzesłami, bo przyglądających się widowisku stojąco. To pewnie stojąca galerya, pomyśli nieobeznany ze stosunkami i na drugi raz żąda biletów na stojące miejsca. Spotka się jednak tylko z litościwym okiem p. Wojciecha i odpowiedzią, że galerya stojąca nie istnieje. Zaintrygowany więc tem wszystkim bada tę zawiłą kwestyę i dochodzi do wniosku, że ci panowie wchodzą sobie poprostu bez biletów, legitymując się bileterom kilkoma grajcarami wsuniętymi mu do łapy. No, na takie oszukaństwa będące na porządku dziennym, nie zwraca nikt uwagi, bo w ogóle wszystko najgorsze może się dziać, żeby tylko nie naruszało spokoju publicznego i honoru naszej policyi.

Prorocze słowa. Zabobonni ludzie powinni koniecznie uznać „Naród“ za organ Ducha świętego. Przepowiednie nasze, dotyczące zię zwłaszcza głupoty galicyjskiej są nieomyłne. Małeńki przykładzik. W n-rze 2-gim naszego pisma w notatce, zatytułowanej: „portretomania“ zachwycaliśmy się posagowymi minami naszych ekscelencji i innych miejskich czy cesarsko-królewskich znakomitości, rozpięających się zamiast w swych urzędniczych fotelach — na świstkach lwowskich piśmidełek. Zauważyliśmy wszelako dotkliwie braki w tej galeryi typów i piękności. Wołaliśmy tedy rozpaczliwym głosem o ukazanie stęsknionym oczom naszym tych przejaśnionych kwiatuśków, co się skromnie kryją w trawce... złotego kołnierzyka, obwiedzonego zielonym

sznurkiem. Wołaliśmy — o ekscelencję Korytowskiego. I oto wysłuchan jest głos nasz przez portretorobną redakcję. Tydzień zaledwie minął — już ekscel. Korytowski wiał po wszystkich trafikach, wciśnięty w szpalty „Herolda Polskiego“. Śliczny! Śliczny! ...Wołamy dalej: *vivat sequens!* Niech się nam ukaże dyrektor Schechtel! — Ba, panowie. Ale co będzie, gdy braknie ekscelencji i głów? Pewnie nastąpią półgłówki. Bo uważcie: poszedł już Potocki, poszedł Badeni, poszedł Michalski, poszedł arcy-Bilczewski, poszedł Korytowski, pójdzie Schechtel, Rybicki, Płazek — a potem? Potem ukaże się chyba ekscelencja Durny-Jasio.

30 dni kasarniaka! Czaszka, przykryta wojskowym kołpakiem jest tem cenniejsza, im ma więcej podobieństwa do rogu, napełnionego tabaką. Broń Boże, aby w niej błysnął jakiś promyk oświaty. To mogłoby ją łatwo zdradzić przed nieprzyjacielem w nocy, lub spowodować wybuch prochowni, przed

którą paradyje z karabinem na ramieniu ciemny jak but rekrut. Z tych to prawdopodobnie powodów książka w kasarni uważana jest za coś tak niebezpiecznego, jak n. p. czerwona spinka przy białej koszuli. Są to rzeczy, za które, po kilkakrotnem powtórzeniu idzie się pod lufy manlicherów. Za pierwsze takie przekroczenie kara jest nieco łagodniejsza. I tak n. p. znaleziono u jednego lwowskiego „gemeina“ straszną rzecz! — „Ogniem i mieczem“. No proszę; poco żołnierzowi innego ognia i innego miecza, kiedy ogień ma w „patrontaszy“, a miecz kilkucentymetrowej długości na skórzanym pasku przy boku. Żądać czegoś więcej, niż w przepisach stoi — to bunt! Zarządzono ostrą rewizję w kasarni, czy prócz ognia i miecza nie znajdują utopionego w tornistrze „Potopu“ lub ukrytego w sienniku „Wołodyjowskiego“. Ale mimo najgorliwszych poszukiwań nie znaleziono już żadnej umysłowej kontrabandy. Skończyło się na tem, że nieszczęśliwy

posiadacz niefortunnej książki usłyszał z ust swej najwyższej szarży groźny i nieodwołalny wyrok w tych słowach: „30 dni kasarniaka!“

KĄCIK HUMORYSTYCZNY.

— Jaka jest różnica między lwowskim a sanockim policyantem?

— Lwowski policyant, zobaczywszy tłum, woła: „Proszę si rozejść z kupy!“, sanocki zaś wrzeszczy: „hau, hau!“ (vide akta sądowe z procesu sanockich demonstrantów).

Dowód na wszechmoc Boga.

W jednym z lwowskich gimnazyjów katecheta, chcąc dowieść wszechmocy boskiej, rezonuje: — „Spojrzyjcie tylko na góry; oto według prawideł fizyki góra, mając olbrzymi ciężar, powinna opadać na dół — a ktoż to ją wyciągnął tak wysoko i trzyma niewzruszenie pod niebiosami? — oto palec wszechmocnego Boga!“

Drobne ogłoszenia

co do których informacji udziela Administracja „NARODU“.

Potrzbna jest natychmiast angielka do konwersacyi i reprezentacyi domu w miejscu kąpielowem.

Guwernantka z łaciną i niemieckim językiem, do przygotowania 2-ga dzieci do I-szej i II-giej gimnazjalnej klasy potrzebna.

Kilka Bon polek (freblanek) z dobrymi rekomendacyami znajdują natychmiast umieszczenie.

Pracznica-klucznica z dobrymi świadectwami może być natychmiast umieszczoną w hrabskim domu.

Kilka lepszych kucharek na wyjazd zaraz potrzeba.

Kamerdyner z dobrymi świadectwami, liczący do 35 lat może być natychmiast po kawalersku umieszczony.

Służące do wszystkiego na dobrą płacę natychmiast potrzebne.

Kilku służących z dworskimi świadectwami zaraz potrzeba.

Służący miejski dochodzący na płacę 24 koron natychmiast potrzebny.

Kupię zaraz 120 morgów ziemi z budynkami.

Oficyaliści prywatni znajdują umieszczenie.

Młyn wodny turbinowy o 3 kamieniach, 2-ch walcach z budynkami gospodarczymi i z 14-ma morgami pola za kwotę 13 tysięcy złr. zaraz do sprzedania.

Kilku kucharzy, kawalerów poszukuje się.

Kazanie Skargi, Unia Lubelska, Dirce, Olszynka, Wywłaszczenie, Na swojską Nutę oraz wszelkie inne wyczerpane premie Towarzystwa przyjaciół sztuk pięknych, — nadto oryginalne obrazy olejne i akwarele, tudzież wybór starych sztychów poleca najtaniej **księgarnia, antykarska oraz handel dziełami sztuki i starożytności JÓZEFA TOMASIKA** we Lwowie, pasaż Hausmana liczba 9.

Starsze rutynowane niemki na wyjazd umieści się zaraz.

Warkocze od 5 K polecam z prowincji, wystarczy próbka włosów, przyjmuję wszelkie roboty w zakres perukarstwa wchodzące. Damską fryzjękę polecam dla Pań, osobny gabinet. — Peruki wypożyczam i charakteryzuję. **FERDYNAND WEISSHAR**, fryzjer i perukarz, Lwów, pl. Bernardyński 12.

Gimnazjalisty z klasy VII. lub VIII. możliwie niemca, do udzielania łaciny poszukuje się.

Bony francuski, niemki, polki, froebianki, do umieszczenia zaraz.

Lektorki muzykalnej z konwersacją także niemiecką, poszukuje się.

Kucharki dworskiej z dobrymi świadectwami poszukuje się.

Kucharza zarazem służącego trzeźwego, uczciwego człowieka do jednego państwa we Lwowie poszukuje się.

Młodego pisarza korespondenta ze szkołą rolniczą poszukuje się.

Dozorcy kamienic, bezdzietni, umieszczeni zostaną zaraz za dobrą dopłatą.

Poszukuje się małej realności do kupna na Bukowinie lub na pograniczu tejże.

Rutynowaną klucznicę w średnim wieku z dobrymi świadectwami poszukuje się.

Kilku fernali, żonatych, z dziećmi starszemi poszukuje się.

Małżeństwo bezdzietne na wieś, żona lepsza sługa umiejająca gotować, prać, prasować, mąż furman, poszukiwane.

Zgrabnej przyjemnej, ze świadectwami pokojowej do obsługi przy stole poszukuje się.

Gospodyni w średnim wieku, wykwinnej kucharki, do jednego pana we Lwowie poszukuje się.

Lokaja dworskiego z dobrymi świadectwami poszukuje się.

Biuro Niemczynowskiej, Lwów, Rynek 12 a poszukuje realności z ogródkiem blisko tramwaju 6.000 tysięcy koron.

Spółnika z małym kapitałem do intratnego interesu, poszukuje się zgłoszenia pod H. K. do Administracji „Narodu“.

Sprzedam majątek w zachodniej Galicji około 400 morgów dobrej ziemi z inwentarzem żywym i martwym, potrzebny kapitał 70.000 koron. — Zgłoszenia przyjmuje pod J. R. Administracja „Narodu“.

Posiadacze losów

mogą u nas dostać za niepełny kurs dzienny i na życzenie te same losy (tj. te same numery), grając na nie bez przerwy, nabyć na dogodne spłaty miesięczne. Losy gdziekolwiek zastawione wykupujemy i przeprowadzamy powyższą transakcję. — Polecamy uprzejmie naszą firmę do wszelkich obrotów bankowych. Kupno i sprzedaż obligacji, losów i monet. — Agentów żadnych nie wysyłamy. Kalendarz bankowy bezpłatnie.

SCHÜTZ I CHAJES
DOM BANKOWY
we Lwowie, plac Maryacki 7.

LIGĘZA i GÓRSKI

Lwów, Halicka 21

polecają najtaniej:

Parasolki. Rękawiczki. Paski. Pończochy. Haft. Dodatki do krawieczyzny i drobiazgi damskie.

MASZYNY do SZYCIA i HAFTU SINGERA

za gotówkę ze znacznym opustem lub na raty pod przystępnymi warunkami. Bezpłatne kursa szycia i haftu. Za opakowanie i dostawę do kolei nie liczę.

Cenniki gratis i franco.

WŁADYSŁAW KUKAWSKI

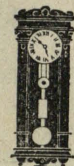
SKŁAD MASZYN DO SZYCIA

Lwów, Pasaż Mikołascha.

UWAGA: Kierowałem długie lata firmą sp. Józefa Iwanickiego i innemi pierwszorzędnymi, moja więc wiedza w dziale maszyn do szycia daje Odbiorcy zupełną gwarancję za doborowy towar.

Władysław Kukawski.

Chce Pan w łatwy sposób zarobić pieniądze?



to niech Pan zażąda darmo i opłatnie katalog ilustr. zegarów, zegarków, wyrobów jubilerskich, chińskiego srebra, przyborów, narzędzi zegarmistrzowskich i towarów muzycznych

F. PAMM, — Kraków

ul. Zielona 1. 3.

Kielichy srebrne prawdziwe lyońskie w wielkim wyborze zawsze na składzie.

J. DĄBROWSKI

we Lwowie, ul. Hetmańska 4.

Zaprotokołowana firma istniejąca od roku 1884.

MAREK FEUERSTEIN

ulica Gródecka liczba 51.

FILIE: BÓBRKA, BRODY, HALICZ i MOŚCISKA.

Pierwsza Galicyjska Fabryka miechów.

SKŁAD MASZYN rolniczych i przemysłowych.

Poleca swój bogato wyposażony **SKŁAD MASZYN ROLNICZYCH**, maszyny do szycia, narzędzia i maszyny dla ślusarzy, kowali, piekarzy, rzeźników i t. p. z najlepszych fabryk krajowych i zagranicznych, — oraz pompy, sikawki, wagi dla bydła, wagi decymalne, kasy ogniowate. Wszelkie artykuły techniczne.

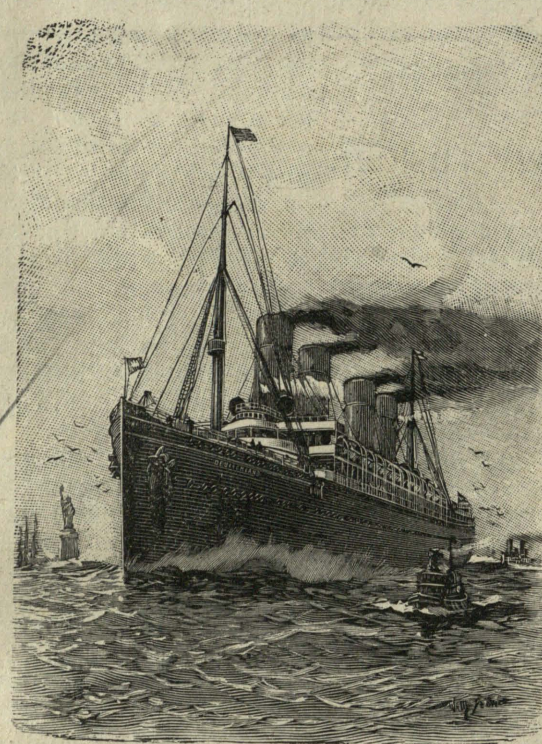
Katalogi na żądanie darmo i opłatnie.

MAGAZYN i PRACOWNIA UBIORÓW MĘSKICH
SKŁAD MATERII ANGIELSKICH, FRANCUSKICH i KRAJOWYCH.

WŁODZIMIERZ PIETRUSIAK

Lwów, ul. SOBIESKIEGO liczba 7.

Wykonuje wszelkie zamówienia w ten zakres wchodzące podług najnowszej mody po cenach najprzystępniejszych.



Najprędsza jazda oceanem 5 dni 7 godz. 38 minut.

Bezpośrednie regularne połączenie podwójnośrubowymi pośpiesznymi i pocztowymi parowcami

z HAMBURGA do NEW-YORKU

przez **Doeer, Boulogne, Cherbourg** następnie do **Kanady, Brazylii, Argentyny, Afryki, zachodnich Indyi, Meksyku, Kuby i centralnej Ameryki.**

Podróże morskie lecznicze i spacerowe.

Bliższych informacji udziela

LINIA:

HAMBURG-AMERYKA.

JENERALNA AJENCYA

dla GALICJI we **LWOWIE**
ul. GRODECKA 95.

Jest do sprzedania dom z dwoma parcelami budowlanymi o dwóch frontach, gotówka potrzebna 26.000 koron.

Gospodarz młody, energiczny, lat 27 o skromnych wymaganiach przyjmie posadę ekonoma na ordynaryę lub kawalersko zaraz.

Potrzbny jest spółnik lub spółniczka do interesu na wieś z kapitałem 10.000 kor. Zgłoszenia pod K. G. w Administracji „Narodu“.

Przyjęci zaraz zostaną 2 kolporterzy. — Zgłoszenia w Administracji „Narodu“.

SKŁAD PŁOCIEN KORCZYŃKICH - - - -

i **BIELIZNY GOTOWEJ** poleca - - - - -

STARZEWSKI Lwów, ul. Halicka 16.

